Biblioteka pisarzy polskich

LIPSK, F. A. BROCKHAUS.

22

BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

TOM III.

PISMA

JULIUSZA SŁOWACKIEGO.

TOM DRUGI.

LIPSK:
F. A. BROCKHAUS.

1894.

68

Wyższa Szkoła Pedagogiczna
BIBLIOTEKA GŁÓWNA
Kielce
114427 L-P

SPIS RZECZY.

Strona

Kordjan. Część pierwsza trylogii. Spisek koronacyjny . . 3
Anhelli 105
Ojciec zadżumionich w El-Arisch. Z przedmową w prozie. 149
W Szwajcarji 169
Wacław. Z uwagą w prozie 185
Poema Piasta Dantyszka, herbu Leliwa, O piekle . . 219
———Przypisy do poematu o pickle 269
Mazepa. Tragedja w pięciu aktach 274

KORDJAN,

CZĘŚĆ PIERWSZA TRILOGJI.

SPISEK KORONACYJNY.

Więc będę śpiewał i dążył do kresu:
Ożywię ogień, jeśli jest w iskierce.
Tak Egipcjanin w liście z Aloesu,
Obwija zwiędłe umarłego serce —
Na liściu pisze zmartwychwstania słowa;
Chociaż w tym liściu serce nie ożyje,
Lecz od zepsucia wiecznie się zachowa,
W proch nie rozsypie. — Godzina wybije
Kiedy myśl słowa tajemną odgadnie —
Wtenczas odpowiedź będzie w sercu — na dnie.

JULIUSZA SŁOWACKIEGO: Lambro.

PRZYGOTOWANIE,

ROKU 1799 DNIA 31 GRUDNIA W NOCY.

(Chata sławnego niegdyś czarnoksiężnika Twardowskiego w górach Karpatskich — przy chacie obszerny dziedziniec — dalej skały — w dole bezlistne bukowe lasy. Ciemność przerwana błyskawicami. Czarownica czesze włosy i śpiewa.)

CZAROWNICA.

Z gwiazd obłąkanych,
Z włosów czesanych,
Iskry padają.
Jak z polskiej szabli;
Widzą je djabli,
Odpowiadają
Błyskami chmur.
Lecą — świst piór
Buki ugina.

SZATAN.

(Zlatuje w postaci pięknego Anioła.)

Ha, Czarownico! czy biła godzina?

CZAROWNICA.

Która?

SZATAN.

Godzina, której żaden człowiek
Dwa razy w życiu nie słyszy?

CZAROWNICA.

Uderzy

Za dziesiątem mgnieniem powiek,
Z Babilońskiej ludów wieży.
A gdy bić będzie, choć głucha, usłyszę.
Lecz gdzie są, panie, twoi towarzysze?
Leniwo śpieszą z błękitu podniebień:
Żółw, z którego to zgrzebło utoczył mi tokarz,
Prędzej chodził —

SZATAN.

To zgrzebło pokaż mi je — pokaż!
Łzy mi płyną — poznaję Twardowskiego grzebień,
On mię zgrzebłem tem czesał, gdy w psa wlazłszy skórę,
U nóg mu się łasiłem! Odejdź moja pani —
Goście sproszeni zlecą się na łysą górę.

(Czarownica odchodzi.)

(Woła.) Szatani!

(Błyska dziesięć razy i dziesięć szatanów spada.)

Spadł z nieba deszcz szatanów, niech ziemię polewa —
Jeśli jeszcze na ziemi są Edeńskie drzewa,
Niech rosną, to jesienią człowiek owoc zbierze —
Siadajcie! — Cóż między wami
Nie widać Mefistofela?

ASTAROTH.

Zaszedł na grób przyjaciela —
Na grobie Twardowskiego odmawia pacierze.

SZATAN.

Taki się teraz zrobił czuły i pobożny,
Jak poeta. — Lecz księżyc zabłysnął dwurożny,
Czas przystąpić do dzieła —

DJABLI.

Co nam król rozkaże?

SZATAN.

Obejrzeć trzeba koła w wiekowym zegarze,
Krwią dziecięcą namaścić gwichty i sprężyny;
Niech nam bije wyraźnie lata, dnie, godziny.
Przynieście go, postawcie. — Co? czy nie zepsuty?

ASTAROTH.

Wszystkie koła, wszystkie druty,
Całe, rdza wieków nie trawi;

Godzinnik z hostji,
Po nim żądło Lewiatana,
Przez wieki wieków się toczy;
Na dnie wskazuje ząb smoczy,
Na godziny żądło osy;
I dotąd trwa nieprzerwana
Włosień siwa, z kós szatana,
Któremu zbielały włosy
Od strachu, gdy grom z obłoku —
Pamiętacie? A sprężyna
Z ojczyzny Tella, Kalwina,
Na ludzkiem wsadzona oku,
Chodzi jak na dyamencie,
W kółek i sprężyn zamęcie.
Zamknięta grzesznika dusza,
Kurant po kurancie jąka,
Noga kossacza pająka,
Wszystkie sprężyny porusza,
Jak wahadło —

SZATAN.

Dość opisów,
Gehenno, Astarocie, najstraszliwsi z bisów,
Jak Assesory sądu, gdy zegar bić zacznie,
Liczcie wieki, dni — lata —

(Zegar bije, szatani liczą.)

Świecie! świecie! świecie!
Wąż wieczności łuskami w okrąg ciebie gniecie;
Zębem zatrutym boki ogryza nieznacznie —
I wieki mrą nad tobą, zasypując pyłem
Umarłych pamiątek.
Ja widziałem twój początek.
Ta garść gliny powietrzem opasana zgniłem,
Ten trup chaosu w trumnie zamknięty błękitów,
Strawiony zgnilizną czasów,
Okrył się rdzami kruszców, i kością granitów
Porósł mchem kwiatów i lasów;
Potem wydał robaki co mu łono toczą.
I myślą

Biada im! jeśli marzeń ziemią nie określą
Kołem widzenia — biada jeśli je przekroczą —

GEHENNA.

Królu! wiek dziewiątnasty uderzył.

SZATAN.

Astaroth
Niech liczy lata — może ten co za obłokiem
Gromy ciska, chcąc wesprzeć jaki ziemski naród —
Może wiek, który ludziom skrócił jednym rokiem,
Może ukradł szatanom dzień jeden, godzinę;
Więc się o nią upomnę u Boga,
Lub buntowną chorągiew rozwinę.
We mnie i w przyrodzeniu zgwałconem ma wroga.

ASTAROTH.

Tysiąc ośmset lat wybiło.

SZATAN.

Więc się koło tortury całe obróciło?
Każdy ząb jej rozdziera, każda śruba ciśnie.
Teraz gdy niebo zabłyśnie,
Błyskawica trwa dłużej niż te wszystkie lata,
Zbiegłe męczarnią dla świata;
A każdy rok, jak ślimak sunął się leniwo,
Dla nędzarzy, dla głupich kochanków nadziei;
A gdy śliną ośrebrzył ślad zbiegłej kolei,
Ślizgał się po niej człowiek pamiątką pierzchliwą.
Obłąkani w przeszłości żeglarze
Brali imię dziejopisów;
Sztuką ich było pisać wielkie kalendarze,
Pełne królewskich imion i dat i napisów.
Inni myślą ścigali treść myśli —
Filozofy — głęboko myśleli,
Aż nad ciemną przepaścią zawiśli,
Obudzili się, w przepaść spojrzeli,
I zawołali: ciemno! ciemno! ciemno!
To hosanna dla nas szatanów,
To śpiew naszych kościelnych organów:
Kto myślał przez godzinę, jest lub będzie ze mną.
Wiek co przyjdzie ucieszy szatany.

(Mefistofel wchodzi.)

MEFISTOFEL.

Nasz szatan prorokuje w cudotwornym stroju!
Ma płaszcz cały Woltera dziełami latany,
I pióro Russa sterczy na zawoju — —

SZATAN.

Mefistofelu! przyszła do działania pora:
Wybierz jaką igraszkę wśród ziemskiej czeredy.
Już nie znajdziesz cichego wśród Niemców doktora,
Po szwajcarskich się górach nie snują Manfredy,
I mnichy długim postem po celach nie chudną —
Więc obłąkaj jakiego żołnierza.

MEFISTOFEL.

To trudno!
Żołnierz to ryba, która kruczkom nie dowierza,
I ma rozsądek zdrowy — przy takiej latarni
Obaczy kurzą nogę djabła kusiciela.

SZATAN.

Samiż tylko rycerze ujdą nam bezkarni?
Słuchaj! wśród narodów wiela.
Jednemu się ludowi dzień ogromny zbliża —
Idź tam, jego rycerze noszą krzywe szable,
Jako księżyc dwurożny, jako rogi djable:
I rękojeść tych kordów nie ma kształtu krzyża.
Pomóż im — oni mają walkę rozpoczynać
Taką, jakąśmy niegdyś z panem niebios wiedli.
Oni się będą modlić, zabijać, przeklinać.
Oni na ojców mogiłach usiedli
I myślą o zemsty godzinie.
Ten naród się podniesie, zwycięży, i zginie!
Miecz na wrogach połamie,
A potem wroga myślą zabije,
Bo myśl jego ogniste ma ramię —
Ona jak powróz, wrogi uwiąże za szyje,
I związanych postawi na takim pręgierzu,
Że wszystkie ludy wzrokiem dosięgną i pławaniem —

MEFISTOFEL.

Królu, niech poszukam w djabelskim psalterzu
Modlitwy na dzień, co się zowie zmartwychwstaniem —

Zmówię ją za ów naród. — Dzień pierwszy, dzień wieku,
Dziś mamy prawo stwarzać królów i nędzarzy,
Na całą rzekę stóletniego cieku.
Więc temu narodowi stwórzmy dygnitarzy,
Aby nimi zapychał każdą rządu dziurę.
A gdy wzrośnie ich potęga,
Ten naród, jak piękna księga,
W starą oprawiona skórę,
Pargaminowem świecić będzie czołem.

SZATAN.

Dobra rada, stańcie kołem.
Stwarzajmy ludzi do rządu.
Zawołajcie czarownicy —
(Szatan daje rozkazy, djabli pracują.)
Żywioły ziemi i ładu,
W atmosferowej szklanicy
Zamknięte i w jeden zlane,
Przez chemików połamane;
Kwasorody, gaz węglowy,
Zlewam w kocioł platynowy —
Dmijcie duchy! —
(Gromy biją w kocioł.)
W żywioł ziemi,
Dorzucić szpilek kaprala
Z główkami laku, któremi
Kreśli plany, królów zwala:
Szpilek czterdzieści tysięcy
Rzućcie w kocioł —

DJABLI.

I nic więcej?

SZATAN.

Nic. —

DJABLI.

Coś z rozumu kaprala? —

SZATAN.

Nic.

DJABLI.

Skończmy.

SZATAN.

Niechaj leci!

(Gromy biją, duch ulatuje.)

Stary — jakby ojciec dzieci,
Nie do boju, nie do trudu;
Dajmy mu na pośmiewisko,
Sprzeczne z naturą nazwisko,
Nazwijmy od słowa ludu,
Kmieciów, czyli nędznych chłopów. —
Teraz jak z niebieskich stropów,
Rzućcie wodza ludziom biednym.

DJABLI.

Panie! czy skończysz na jednym?

SZATAN.

Wrzucić do kotła dyament! —
Dyament w ogniu topnieje.
Wylać sekretny atrament
Z Taylleranda kałamarza,
Co w niewidzialność blednieje,
Od okularów rozsądku —
I dąć w kocioł — w kotła wrzątku
Obaczymy co się stwarza.

DJABLI.

Już gotowy! mimo czary,
Wyszedł jakiś człowiek godny!
Złe w tym kotle były wary,
Płyn za rzadki lub za chłodny.

SZATAN.

To nic! to nic! takich trzeba
Biednym ludziom rzucać z nieba;
Będą przed nim giąć kolana —
Jest to stara twarz Rzymiana,
Na pieniądzu wpół zatarta.
Dajmy mu na pośmiewisko
Sprzeczne z naturą nazwisko;
Ochrzcijmy imieniem Czarta —
Teraz puśćcie! niechaj leci!

DJABLI.

Lepszy będzie człowiek trzeci.

SZATAN.

Teraz z konstellacji raka
Odłamać oczy i nogi,
Dodać kogucie ostrogi,
I z trwożliwego ślimaka
Oderwane przednie rogi —
Cóż tam w kotle?

DJABLI.

Ktoś z rycerzy.

SZATAN.

Wódz! chodem raka przewini!
Jak ślimak rogiem uderzy,
Sprobuje — i do skorupy
Schowa rogi, i do skrzyni
Miejskiej zniesie planów trupy,
Czekając aż kur zapieje. —
Rzucić w kocioł Lachów dzieje,
Słownik rymowych końcówek,
Milion drukarskich czcionek,
Sennego maku trzy główek! —
Cóż tam?

DJABLI.

Starzec, jak skowronek
Zastygły pod wspomnień bryłą.
Na pół zastygłą, przegniłą.
Poeta — rycerz — starzec — nic
Dziewięciu Feba Sułtanic —
Eunuch — —

SZATAN.

Przyśpieszmy dzieła,
Bo z tamtej krakowskiej wieży
Słyszę dzwon rannych pacierzy;
W powietrzu się rozpłynęła
Woń kadzideł katedralnych.

CZAROWNICA.

Przeklęte wasze dzieło, wicher djablej mowy,
Rozczesał z mojej chaty włos słomianej głowy!

Ozy mi na nią dachówek dacie z hostji mszalnych?
Zawierucha wierzbowe gałąski obrywa;
Ludzie nie znajdą różczek na kwietnią niedzielę.

SZATAN.

Milcz padalcze! — czas upływa,
Twórzmy razem wielkich wiele.
Co nakażę, rzucać w tygle:
Rdzę pozostałą,
Na Omfalii igle,
Od, krwią wilgotnych, Herkulesa palców;
Ze rdzy się zrodzi nie mało,
Wysmukanych rycerzy — ospalców —

DJABLI.

Tłum, tłum, tłum polecial na ziemię
Jak chmura —

SZATAN.

Śpieszmy nowe tworzyć brzemię,
Nim jutrznia błyśnie ponura,
Nim się żywioły ochłodzą —
Rzucić język Balaama oślicy;
A ci, co się z niego wyrodzą,
Narodowej się chwycą mównicy —
Mówców plemię.

DJABLI.

Tłum! tłum! tłum poleciał na ziemię!
Jak zwichrzone szpaków stado.

SZATAN.

Widzicie tę postać bladą,
Z mętów kotła już na pół urodną?
Twarz uwiędła i wzrok w czarnem kole;
Paszcze myśli otwiera wciąż głodna,
Wiecznie dławi księgarnie i mole;
I na krzywych dwóch nogach się chwieje,
Jak niepewne rządowe systema.
Chce mówić — posłuchajmy co na świat posieje?

TWÓR, pokazując z kotła głowę.

Czy lepiej kiedy jest król? czy kiedy go nie ma? —

SZATAN.

Precz z tym sfinksem co prawi zagadki!
Sam jej djabeł rozwiązać nie umie —
Niech w szkolarzów zasiewa ją tłumie,
Oplątaną w dziejowe wypadki!
Niech z ministerjalnej ławy,
Nad rozlewem żyzniącym krwi Nilu,
Ze złamanych kolumien podstawy
Gada — hieroglifem stylu.

ASTAROTH.

Panie! patrz tam z kotła pary,
Znów się jakiś twór wylęga:
Twarz ma okropnej poczwary.
Przez pierś jeneralska wstęga.

SZATAN.

Witajcie go! oto twór
Niszczyciel, jakby horda Nogajca!
On w stolicy owłada dział mur;
On z krwi na wierzch wypłynie — to zdrajca!
A gdy zabrzmi nad miastem dział huk,
On rycerzy ginących porzuci;
Z arki kraju wyleci jak kruk,
Strząśnie skrzydła, do arki nie wróci —
Kraj przedany — on wyda pod miecz!

GŁOS W POWIETRZU.

W imię Boga! precz stąd! precz!

(Wszystko znika.)

CHÓR ANIOŁÓW.

Ziemia, to plama
Na nieskończoności błękicie;
Ciemna gwiazda w słonecznych gwiazd świecie,
Grób odwieczny potomków Adama.

ARCHANIOŁ.

Onego czasu, jedna z gwiazd wiecznego gmachu
Obłąkała się w drodze, jam ją zgonił lotem
Czułem w dłoni jej serce bijące z przestrachu,
Jak serce ptaka ludzkim dotkniętego grotem;
I drżącą położyłem przed tronem Jehowy.
A Bóg rzekł do mnie, światy tworzącemi słowy:

«Krew ludzka skrzydła twoje rumieni.»
Padłem twarzą na Boskie podnoże,
Na proch gwiazd, na kobierce z promieni —
Boże! Boże! Boże!
Skrzydeł pióra otarłem o ziemię,
Krwawa była — widziałem! widziałem.
Za grzechy ojców w groby kładące się plemię!
Lud konał — gwiazda gasła — za gwiazdą leciałem —
Lud skonał —
Czas, byś go podniósł Boże, lub gromem dokonał
A jeśli Twoja dłoń ich nie ocali,
Spraw, by krwi więcej niśli łez wylali —
Zmiłuj się nad nimi Panie! —
A Bóg rzekł: «Wola moja się stanie.» —

CHÓR ANIOŁÓW.

Ziemia — to plama
Na nieskończoności błękicie,
A Bóg ją zetrze palcem, lub wleje w nią życie
Jak w posąg gliniany Adama.

PROLOG.

PIERWSZA OSOBA PROLOGU.

Boże! ześlij na lud Twój, wyniszczony bojem,
Sen cichy, sen przespany, z pociech jasnym zdrojem;
Niechaj widmo rozpaczy we śnie go nie dręczy!
Rozwieś nad nim kotarę z rąbka niebios tęczy.
Niech się we łzach nie budzi, przed dniem zmartwychwstania;
A mnie daj łzy ogromne i męki niespania,
Po mękach wręcz mi trąbę sądnego Anioła;
A kogo przed tron Boga ta trąba zawoła,
Niechaj stanie przed tobą. Daj mi siłę, Boże!
A komu palec przekleństwa na czoło położę,
Niech nosi znak na czole. — Pozwól Panie tuszyć,
Że słowem zdołam cielce złote giąć i kruszyć —
Z bronzu wzniosę posęgi, gdzie pokruszę gipsy.
A kto ja jestem? jestem duch Apokalipsy. —
Obróćcie ku mnie oczy zamglone i twarze —
Oto stoję wśród siedmiu złocistych lichtarzy
Podobny do człowieka — szata, w długość szczodra.
Spływa do stóp; pas złoty przewiązał mi biodra,
Głowę kryję włos biały jak śniegi, jak wełna;
Z oczu skra leci ogniów dyamentu pełna,
Nogi mam jak miedź, świeżem ogniskiem czerwona;
Głos huczy jako woda wezbraniem szalona.
W ręku siedm gwiazd niosę, a z ust mi wytryska
Miecz ostry, obosieczny, a twarz moja błyska.

Jak słońce w całej mocy wyświecone kołem.
A gdy przedemną na twarz upadniecie czołem,
Powiem wam: Jestem pierwszy — i ostatnim będę.

DRUGA OSOBA PROLOGU.

Ja wam zapał poety na nici rozprzędę!
Wy śmiejecie się z zapału mego towarzysza —
Kto on? do tureckiego podobny derwisza —
Owe siedem lichtarzy, jest to siedem grodów,
Stoi wśród siedmiu złotem nalanych narodów —
Wygnaniec. — A włos czarny w siwość mu zamienia,
Nie wick, ale zgryzota. — W oczach blask natchnienia.
W ręku gwiazdy — to myśl, z których jasność dniowa;
Miecz w ustach obosieczny, jest to sztylet słowa,
Którym zabija ludzi głupich — albo wrogów.

TRZECIA OSOBA PROLOGU.

Zwaśnionych obu spędzam ze scenicznych progów.
Dajcie mi proch, zamknięty w narodowej urnie,
Z prochu lud wskrzeszę, stawiam na mogił koturnie,
I mam aktorów wyższych o całe mogiły.
Z przebudzonych rycerzy zerwę całun zgniły;
Wszystkich obwieję nieba polskiego błękitem;
Wszystkich oświecę duszy promieniem i świtem.
Urodzonych nadziei — aż przejdą przed wami,
Pozdrowieni uśmiechem, pożegnani łzami. —

CZĘŚĆ I.

AKT I.

SCENA I.

(Kordjan, młody piętnasto-letni chłopiec, leży pod wielką lipą na wiejskim dziedzińcu; Grzegoż, stary sługa, nieco opodal czyści broń myśliwską. Z jednej strony widać dom wiejski, z drugiej ogród — za ogrodzeniem dziedzińca staw, pola i lasy sosnowe.)

KORDJAN, zadumany.

Zabił się — młody. — Zrazu jakaś trwoga
Kładła mi w usta potępienie czynu;
Była to dla mnie posępna przestroga,
Abym wnet gasił myśli zapalone.
Dziś gardzę głupią ostrożnością gminu,
Gardzę przestrogą, zapalam się, płonę —
Jak kwiat liściami w niebo otwartemi,
Chwytam powietrze, pożeram wrażenia,
Myśl Boga z tworów wyczytuję ziemi,
I głazy pytam o iskrę płomienia.
Ten staw odbite niebo w sobie czuje.
I myśli nieba błękitem.
Ta cicha jesień, co drzew trzęsie szczytem,
Co na drzewach liście truje,
I różom rozwiewa czoła,
Podobna do śmierci anioła —
Ciche wyrzekła słowa do drzew — Gińcie drzewa! —
Zwiędły — opadły — —

Myśl śmierci z przyrodzenia w duszę się przelewa —
Posępny, tęskny, pobladły,
Patrzę na kwiatów konanie,
I zdaje mi się, że mię wiatr rozwiewa.
Cicho! — Słyszę po łąkach trzód błędnych wołanie,
Idą trzody po trawie chrzęszczącej od szronu,
I obracają głowy na niebo pobladłe,
Jakby pytały nieba: gdzie kwiaty opadłe?
Gdzie są kwitnące maki po wstęgach zakonu?
Cicho, odludnie, zimno — — Z wiejskiego kościoła
Dzwon wieczornych pacierzy dźwiękiem szklannym bije;
Ze skrzepłych traw modlitwy żadnej nie wywoła,
Ziemia się modlić będzie, gdy słońcem ożyje —
Oto ja sam, jak drzewo zwarzone od kiści!
Sto we mnie żądz, sto uczuć, sto uwiędłych liści;
Ilekroć wiatr silniejszy wionie, zrywa tłumy.
Celem uczuć zwiędnienie — głosem uczuć szumy
Bez harmonji wyrazów. — Niech grom we mnie wali!
Niech w tłumie myśli jaką myśl wielką zapali — —
Boże! zdejm z mego serca jaskółczy niepokój,
Daj życiu duszę i cel duszy wyprorokój —
Jedną myśl wielką roznieć, niechaj pali żarem,
A stanę się tej myśli narzędziem, zegarem;
Na twarzy ją pokażę, popchnę serca biciem,
Rozdzwonię wyrazami i dokończę życiem.

(Po chwili)

Jam się w miłość nieszczęsną całem sercem wsączył — —

(Myśli — potem nagle się obraca do Grzegorza)

Grzegorzu, przestań strzelbę czyścić —

GRZEGORZ.

Jużem skończył.
Co mi panicz rozkaże?

KORDJAN.

Chodź tutaj mój stary —
Nudzę się. —

GRZEGORZ.

Nie nowina; cóż ja poczną na to?
Chcesz panicz, powiem bajkę, szlachetnie bogatą —

Mamy ja w szkatule mózgu dykteryjki, czary,
Po babce mojej starej, co w Bogu spoczywa —
Chcesz pan tej co się gada? czy tej, co się śpiewa? —

(Kordjan milczy; Grzegorz mówi następującą bajkę.)

Było sobie niegdyś w szkole,
Piękne dziecię, zwał się Janek.
Czuł zawczasu Bożą wolę,
Ze starymi suszył dzbanek.
Dobry z niego byłby wiarus,
Bo w literach nie czuł smaku;
Co dzień stary Bakalarus
Łamał wierzby na biedaku,
I po setnej, setnej próbie
Rzekł do matki: Oj kobieto!
Twego Janka w ciemię bito,
Nic nie wbito — weź go sobie! —
Biedna matka wzięła Jana,
Szła po radę do plebana.
Przed plebanem w płacz na nowo,
A księżulo słuchał skargi,
I poważnie nadął wargi;
Po ojcowsku ruszał głową.
Wysłuchawszy pacierz złego:
«Patrz mi w oczy!» rzekł do żaka,
«Nic dobrego! nic dobrego!»
Potem hożą twarz pogładził,
Dał opłatek i piątaka,
I do szewca oddać radził.

Jak poradził, tak matczysko
I zrobiło. — Szewc był blisko —
Lecz Jankowi nie do smaku,
Przy szewieckiej ślipiać igle.
Djabeł mięszał żółć w biedaku,
Śniły mu się dziwy, figle;
Zwyciężyła wilcza cnota,
Rzekł: W świat pójdę o piątaku!
A więc tak jak był — hołota,

Przed terminem rzucił szewca,
I na strudze do Królewca
Popłynął
Jak do wody wpadł i zginął.

Matka w płacz, łamała dłonie;
A ksiądz pleban na odpuście
Przeciw dziatkom i rozpuście
Grzmiał jak piorun na ambonie.
W końcu dodał: — «Bogobojna
Trzódko moja, bądź spokojna —
Co ma wisieć, nie utonie.»

Mały Janek, gdzie się chował
Przez rok cały zgadnąć trudno.
Wsiadł na okręt i żeglował,
I na jakąś wyspę ludną
Przypłynąwszy, wylądował.
Owdzie król przechodził drogą.
Jaś pokłonił się królowi,
I dworzanom i ludowi;
A kłaniając, szastał nogą
Tak układnie, że król stary
Włożył na nos okulary.
I wnet tymże samym torem,
Dwór za królem, lud za dworem,
Powkładali szkła na oczy.
Owoż król ten posiadł sławę,
Jakoby miał wzrok proroczy;
I choć stracił oko prawe,
Tak kunsztownie lewem władał,
Że człowieka zaraz zbadał,
Na co mierzy, na co zdatny:
Czy zeń ma być rządca kraju,
Czy podstoli, czy też szatny.
Lecz tą razą wbrew zwyczaju,
Król pan oczom nie dowierza —
Czy żak Janek na tancerza?

Czy na rządcę dobry kraju?
Więc zapytał: «Mój kochanku,
Jak masz imię?»
«Janek.»
«Janku!
Cóż ty umiesz?»
«Psom szyć buty.»
«A czy dobrze?»
«Oj tatulu!
Czyli raczej panie królu!
Jak szacuję, ręczyć mogę,
Że but każdy ostro kuty,
I na jedną zrobię nogę,
Czyli raczej na łap dwoje —
To na zimę. — Z letnich czasów
But o jednym szwie wystroję,
Na oplatku, bez obcasów;
A robota takiej wiary,
Że psy puszczaj na moczary —
Suchą nogą przejdą stawy.»
«Masz więc służbę, złotem płacę,»
Rzekł do Janka pan łaskawy,
I za sobą wiódł w pałace.
A gdy dzień zaświtał czwarty,
Szły na łowy w butach charty.
A szewc chartów w aksamicie,
Przy królewskiej jechał świcie;
Złoty order miał na szyi.
W trzy dni został szambelanem,
W sześć dni rządcą prowincyi —
W dni dwanaście został panem.
Starą matkę wziął z chałupy,
Król frejliną ją mianował.
A plebana pożałował
W Biskupy. —

KORDJAN.

Cha! cha! cha! przednia powieść.

GRZEGORZ.

A widzi pan, widzi,
Jak zabawiłem gadką — niech się pan nie wstydzi —
W tej powieści moralna kryje się nauka.

KORDJAN.

Jaka? Powiedz mi stary.

GRZEGORZ.

A któż jej wyszuka?
Dość że jest sens, powiadam.

KORDJAN.

Wierzę.

GRZEGORZ.

Trzeba wiary.
Bo widzi panicz, kiedy gada sługa stary,
To w słowach dziecku nie dawać trucizny.
Błąkałem się ja długo zdala od ojczyzny,
I tak mi było ciężko od tęsknego żalu,
Że żołnierze ciosali kołki na wąsalu.
Odcinając się szablą, nie brałem pociechy,
Bo żadnych kłosów ludziom nie wysieją śmiechy —
A smutek niby mądra książka w sercu żyje,
I mówi wiele rzeczy, i człowiek nie gnije
Jak muchomór pod sosną, lecz zbiera po szczypcie
Przestrogę do przestrogi. — Byłem ja w Egipcie!
Ponoś no o tej walce nie mówiłem panu!
Czy wolno?

KORDJAN.

Mów! mów, stary!

GRZEGORZ, kręcąc wąsa.

Daj go tam szatanu
Kaprala — tęgi człowiek! Wywiódł wojsko w pole,
Nie w pole, w piaski raczej; równo jak po stole,
Otwarto na wsze strony, kędyś wzrok obrócił.
Oko biegnąc po piaskach, Boga szuka w niebie.
Wódz szyki w pięć kwadratów sprawił ku potrzebie,
I niby pięć gwiazd jasnych na pustynie rzucił.
Mnie świecącemu w jednej, widać było cztery.
Przed walką, przypominam, śmiech nas ruszył szczery —

Bo trzeba panu wiedzieć, na wojska ogonie
Snuły się z bagażami osły — przy bagażach
Przywlekli się z Francji w bagnetów zachronie
Mędrkowie, co to baśnie piszą w kalendarzach.
Gardziliśmy jak Niemcem tą chmurą komorów,
Tą psiarnią, co jak truflów wietrzyła kamieni.
Więc gdy do walki wiele stanęło pozorów,
Zawołaliśmy głośno: Osły i uczeni!
Chowajcie się w kwadraty! dalej za pas nogi! —
Dalibóg, korzystali z łagodnej przestrogi.
Przyznam się jednak panu, że choć żołnierz bitny,
Przed walką byłem nieco nadzwyczaj ponury. —
Jak dziś pamiętam: zdala lał się Nil błękitny,
Dalej jakiegoś miasta widać było mury;
I nad głowami niebo czyste bez obłoku,
A powietrze, choć bardzo jasne, grało w oku,
Nad katafalkiem niby od gromnic płomyki —
Lecz co najbardziej ludu zadziwiło szyki,
To były owe wielkie murowane góry.
Stąd by je było widzieć, gdyby nie Karpaty.
I gdyby z nieba można zetrzeć wszystkie chmury.
Wtem wódz przyjechał konno — zagrzmiały wiwaty.
Acz bez winnych kielichów. Wódz wskazał na wieże
I rzekł: S o l d a t s! — co znaczy, powiedział: Żołnierze!
Słyszałem wszystko — wódz rzekł: Patrzcie, wojownicy!
Ze szczytu piramidy — co znaczy: z dzwonicy,
Ze szczytu tych piramid sto wieków nas widzi!
Więc spojrzałem gdzie wskazał, po nieba błękicie;
Aż tu patrz — niech kto ze mnie jak z prostaka szydzi,
Opowiem. — Klnę się panu, na piramid szczycie.
Jak w kościołach sławnego malują Michała,
Taki stał rycerz, w zbroi, promiennego ciała,
I płomienistą dzidą przebijał z wysoka
Wijącego się zdala na pustyni smoka,
Co ku nam leciał w chmurze kurzawy i piasku —
Sto dział zagrzmiało, oczy zgubiłem od blasku.
A kiedym wzrok odzyskał, aż tu Mameluki
Krzywemi nas szablami dziobią gdyby kruki —

To końmi do ucieczki obróceni wrzkomo,
Siadają na bagnetach jak małpy —

KORDJAN.

Cóż dalej? —

GRZEGORZ.

A wstydźże się pan pytać! Każdemu wiadomo,
Żeśmy zawsze łamane parole wygrali,
I gdyby nie ta dżuma — — Ale pan nie słucha!

KORDJAN, zamyślony, mówi sam do siebie.

Wstyd mi! Starzec zapala we mnie iskrę ducha.
Nieraz z myślą zburzoną w ciemne idę lasy,
Szczęk broni rzucam w sosem rozchwianych hałasy.
Widzę siebie wśród świateł czarodziejskich sławy,
Wśród płomienistych szyków; szyki wstają z ziemi,
Ziemia wstaje jak miasto odgrzebane z ławy —
Głupstwo — dzieciństwo marzeń — — Z myślami takiemi
Nie śmiałbym się wynurzyć przed starców rozsądkiem!
Więc szukam — kogo? Sługi, co rozwlekłym wątkiem
Snuje głupie powieści.

(Myśli — potem nagle do Grzegorza.)

Idź sobie, Grzegorzu!
Jak się panna na konną przechadzkę wybierze,
Dasz mi znać.

GRZEGORZ.

Panicz może dziś nie dospał w łożu?
Bo starego odpędza jak natrętne zwierzę!
Bywszy niegdyś w niewoli, znałem ja młodziana,
Co miał wiele nauki, nie gardził mną przecie,
I dziękował za powieść, gdy dobrze dobrana.
Było to wcale piękne i szlachetne dziecię!
Smutno skończył!

KORDJAN.

Cóż, umarł?

GRZEGORZ.

A gdzie tam, mój panie!

KORDJAN.

Więc żyje!

GRZEGORZ.

On nie żyje! Gdy nas Rosyanie

Wzięli w dwunastym roku; spędzili jak trzodę
I na Sybir zawiedli. — Dwóchset naszych było:
Wiarusy kęs nadpsute, oficerstwo młode;
A jak wzajem sprzyjali, wspomnieć starcu miło!
Jeden drugiemu nigdy nie powie jak: bracie!
Chleb łamią jak opłatki, w jednej chodzą szacie.
Ten, o którym rzecz wiodę, zwał się Kazimierzem —
Otóż kiedy się Moskal pastwił nad żołnierzem,
Pan Kazimierz za wszystkich cierpiał, potem z głowy
Dobył myśli — zawołał na tajemne zmowy,
I odkrył zamiar wcale dostojny, bo śmiały.
Nie szydź panie, kto kupi niewolą włos biały,
Ten rozpaczy szalonej w ludziach nie potępi.
Więc on myślał, że straże kozackie wytępi,
Zmarłym wydrze żelazo, i polskie wiarusy
Do Polski odprowadzi. — Poznali się Rusy
Na malowanych lisach — wywiedli na pole;
Cały nasz pułk Baszkirów ostąpił w półkole;
Wołga stała za nami. Pułkownik tatarski
Przeczytał głośno jakiś niby dekret carski:
A w tym dekrecie stało, aby polskie jeńce,
Rozdzielać na dziesiątki i w pułki powcielać.
Wtenczas nasze wiarusy wziąwszy się za ręce,
Krzyknęli: «Nie pójdziemy!» — Zamiast nas wystrzelać,
Czy wierzysz pan, że owe tatarskie szatany
Rzucali nam na szyje rzemienne arkany,
Właśnie jakby na koni zdziczałych tabuny?
Oh! co czułem, to z sobą poniosę do truny!
Związaliśmy się wszyscy rękoma co siły —
Pamiętam, z prawej strony — nie, z lewej od serca —
Stał przy mnie żołnierz, wiekiem, ranami pochyły;
Ku niemu zwinął koniem baszkirski morderca.
Więc biedak rękę moją na kształt szabli ścisnął,
Potem ociężał na niej, bezwładny obwisnął —
Patrzę mu w twarz, posiniał cały na kształt trupa:
Oczy wybiegły, szyja związana powrozem.
Tu Baszkir zaciął konia, koń spięty dał słupa,
Skoczył — a starzec jak koń uwiązany lozem,

Pociągnął się po piasku, po krzemiennej warście.
Widziałem na krzemieniach włosów siwych garście,
Z krwi wyrwane kroplami. — Koń leciał jak strzała,
Już trup zniknął — a jeszcze widać było konia.
I myśl przy koniu starca krwawego widziała!
Staliśmy jak garść kłosów pożółkłych śród błonia;
Głuche było milczenie, zgroza, obłąkanie.
Piszcząc, kołem jak krucy krążyli poganie —
Wybierali oczyma, gdzie powrozem skiną,
Śmierć dając, chcieli zabić przedśmiertną godziną.
Wtem, panie! nasz Kazimierz! ów Kazimierz młody!
Skoczył w tłumy Baszkirów — i z tłumu wyskoczył,
Z pułkownikiem tatarskim rzucił się do wody:
Tak ujętego wroga między dwie kry wtłoczył,
A kry się zbiegły, głowa z baszkira odpadła
Jak mieczem odrąbana i na krze usiadła
Z otwartemi oczyma — —

KORDJAN.

A Kazimierz?

GRZEGORZ.

Zginął.

KORDJAN.

Grzegorzu, czy nie pomnisz zmarłego nazwiska?

GRZEGORZ.

Nie wiem. On pod imieniem Kazimierza słynął —
Co mu tam dziś nazwisko po śmierci? Pan ściska
Rękę starego sługi? —

KORDJAN.

Boże! jaki ten stary
Rósł zapałem w olbrzyma. Lecz ja nie mam wiary;
Gdzie ludzie oddychają, ja oddech utracam.
Z wyniosłych myśli ludzkich, niedowiarka okiem,
Wsteczną drogą do źródła mętnego powracam.
Dróg zawartych przesądem nie przestąpię krokiem.
Teraz czas, świat młodzieńca zapałem przemierzyć,
I rozwiązać pytanie: żyć albo li nie żyć?
Jam bezsilny! nie mogę jak Edyp zabójca
Rozwiązać wszystkich sfinksów zagadki na świecie!

Rozmnożyły się sfinksy — dziś tajemnic trójca
Liczna jak ziarna piasku, jak łąkowe kwiecie;
Wszędzie pełno tajemnic, świat się nie rozszerzył,
Ale zyskał na głębi! — Wierzchem człowiek płynie,
Lecz jeśli drogi węzłem żeglarskim nie mierzył,
Nie wie, czy bieg jest biegiem, gdy brzeg z oczu ginie —
Chyba że w owej drodze jak milowe słupy,
Mija stare przesądy, zbladłe wieków trupy —
Nie, są to raczej krzyże przy ubitej drodze.
Prostak przy nim koniowi zatrzymuje wodze,
I żegna się, i pokłon oddaje — gdy mija —
Potem mędrkowie prostsze wytkną ludziom szlaki;
Zwolna na drogę nową zjeżdżają prostaki.
Na zapomnianym krzyżu bocian gniazdo zwija,
Mech rośnie, pod nim dzieci w piasku sadrą kwiaty.
Nieraz krzyż u stóp samych podgryziony laty,
Pada, zabija dzieci z sielskiego pobliża,
A lud płacze, że zwalić nie pamiętał krzyża.
Więc idę na świat rąbać nadpruchniałe drewna — —
Miłość? Zapomnę o niej — wśród światowej burzy
Pozostanie głos wspomnień — jak pieśń dzika, rzewna,
Jak pieśń żurawia, co się opóźnił w podróży,
I samotny szybuje po błękicie nieba —
Ostatni, z licznych, szczęsnych tłumów obłąkany!
Trzeba mi nowych skrzydeł, nowych dróg potrzeba —
Jak Kolumb na nieznane wpływam Oceany,
Z myślą smutną, i z sercem rozbitem — —

LAURA, wołając z ganku.

Kordjanie! —

KORDJAN.

Ten głos rozwiewa złote zapału świtanie.
Zamknięty jestem w kole czarów tajemniczem,
Nie wyjdę z niego. Mogłem być czemś — będę niczem —

SCENA II.

(Ogród. — Lipowe aleje krzyżują się w różne strony — wśród drzew widać dom opuszczony z wybitemi oknami. — Jesień — liście opadają — wietrzno Kordjan i Laura zsiadają z koni, przy których Grzegorz zostaje, i wchodzą do alei — długo nic do siebie nie mówią.)

LAURA, z uśmiechem na pół szyderczym.

Czemu Kordjan tak smutny?

(Kordjan patrzy na nią oczyma zamglonemi — i milczy.)

Znalazłam dziś rano
W imionniku wierszami kartę zapisaną —
Poznałam rękę, pióro — o, nie! raczej duszę —

(Kordjan zarumieniony schyla się ku ziemi.)

Czemu się pan mój schyla?

KORDJAN.

Odmiatam i kruszę
Gałąski, ciernie, chwasty z pod stóp twoich pani —
Cierń, co mi zrani rękę, nikogo nie zrani!

LAURA.

Kordjan zapomniał że ma matkę, matkę wdowę.
Cóż to? Kordjan brwi zmarszczył, chmurzy się, rumieni?

KORDJAN.

Zapytaj się drzew, pani, dla czego w jesieni
Szronem dotknięte, noszą liście purpurowe?
To tajemnica szronu.

LAURA.

Usiądźmy w alei.
Któż z nas pierwszy obaczy gwiazdę dobrze znaną? —

KORJAN.

Nie ujrzę jej, jeżeli to gwiazda nadziei! —

LAURA.

A jeżeli gwiazda wspomnień?

KORDJAN.

O! dla mnie za rano
Na bladą gwiazdę wspomnień!

LAURA.

Gdzież gwiazda Kordjana?

(Kordjan wznosi oczy na twarz Laury i odwraca się.)

Jak się nazywa?

KORDJAN.

Przyszłość.

LAURA, z uśmiechem.

W której stronie nieba?

KORDJAN.

O! nie wiem! nie wiem! Jest to gwiazda obłąkana.
Co dnia ją trzeba tracić, co dnia szukać trzeba —

LAURA.

Kordjan ma piękną przyszłość, talenta, zdolności —

KORDJAN.

Tak, gdy mię spalą męczarnię,
To będę świecił ludziom próchnem moich kości.
Talenta, są to w ręku szalonych latarnie:
Ze światłem idą prosto topić się do rzeki.
Lepiej światło zagasić i zamknąć powieki,
Albo kupić rozsądku zimnych wyobrażeń —
Zapłacić za ten towar całym skarbem marzeń.

LAURA.

Jaki dziś Kordjan gorzki!

(Usiada na ławce darniowej — Kordjan u nóg jej się kładzie i mówi, patrząc na niebo.)

KORDJAN,

Czarowna natura!
Jak koń Apokalipsy szara leci chmura,
Jesiennym gnana wiatrem — a w chmurze myśl gromu
Omdlała zimnem, iskry wydobyć nie może.
Więc co ma w łonie gniewu, nie powie nikomu —
I przepłynie nad światem. — Z gromem myśli złożę —
Niechaj płyną nad światem zimne i bez głosu — —

(Zrywa kwiat i obraca się z uśmiechem do Laury.)

Pani, weź te gałąskę purpurową wrzosu,
Ale jej nie otrząsaj ze szronu brylanta —

(Zamyślony patrzy na niebo.)

Pani, patrz tam na niebo — oto duchy Danta.
Tam się na starem drzewie wichrzy szpaków stado —
Zaleciały przelotem i do snu się kładą.
Wiatr przez noc będzie liście zbijał — one prześnią
Noc całą, drzew ginących kołysane pieśnią.
Anioł przeczucia śpiącym wskaże lotu szlaki,

A gdy się zbudzą, drzewo powie: lećcie ptaki —
Nie mam już dla was liści, jam się zestarzało
Przez noc, kiedyście spały —

LAURA.

Cóż stąd za nauka?

KORDJAN.

Cha! cha! Nauka smutku, że drzewo nie spało,
A ptaki nie spały —

LAURA.

Kordjan, co przyszłości szuka,
Powinien spać jak ptaki —

KORDJAN,

Gdzież anioł przeczucia?
Czy przyjdzie? poprowadzi? Więc myśli i czucia
Trzeba skąpca przykładem, na lata rozłożyć,
I nigdy zmysłów w jednej nie utracić burzy.
Trzeba się dziś zwyciężyć, aby jutra dożyć.
Dziwna ciekawość życia prowadzi w podróży,
A za ciekawość trzeba nieszczęściami płacić,
I nigdy zmysłów w jednej burzy nie utracić —
(Gwałtownie.)
Jam je utracił! Boże! zmiłuj się nademną!

LAURA.

Kordjanie! —

(Kordjan milczy.)

Czas powracać, już wietrzno i ciemno —

KORDJAN,

O, pani! zostań jeszcze —

LAURA.

Więc pan mi przyrzeka
Że będzie spokojniejszy?

KORDJAN, z obłąkaniem.

Tak —

LAURA.

Przyszłość daleka —
Póki jesteśmy młodzi, wszystko jest przed nami.

KORDJAN, zamyślony, patrząc na niebo.

Ciemny się błękit nieba wyświeca za mgłami —

Ach księżyc! patrz tam pani! księżyc srebrny, pełny,
Stanął i patrzy na nas, chmur srebrzyste wełny
Spadły nań — leci jakby wyrywał się z chmury;
Teraz go na pół gałąź rozcina spruchniała,
Teraz śród czarnych liści krąg chowa ponury — —
Pani! gdy kiedyś — kiedyś! twarz księżyca biała,
Błyśnie wśród chmur lecących na jesiennem niebie,
Będziesz mój cień natrętny odpędzać od siebie.

(Po chwili.)

Bóg, promień duszy wcielił w nieskończone twory —
Dusza się rozprysnęła na uczuć kolory,
Z których pięć, wzięła zmysły cielesne za sługi;
Inne zagasły w nicość — ale jest świat drugi!
Tam z uczuć razem zlanych wstanie anioł biały,
Mniejszy może niż człowiek, atom, środek koła
Rozpryśnionych promieni; ale jasny, cały,
I plam ludzkich nie będzie na sercu anioła.
Nieskończoności zmysłem dusza się pomnoży;
Bóg aniołowi oczy na przyszłość otworzy,
Aż przestanie zaglądać w ciemną wspomnień trumnę.
Bóg mu pod nogi światła wywróci kolumnę —
Po niej gwiazd miriady zapali i słońca;
Anioł je przejrzy wzrokiem nadziei do końca,
I do gwiazdy podobny, będzie w przyszłość płynął.
O! duch mój chce się wyrwać! już pióra rozwinął!
Dusza z ust zapalonych leci w błękit nieba —

(Opuszcza ręce i z rozpaczą.)

Na jednego anioła dwóch dusz ziemskich trzeba!

LAURA.

Źle, jeśli się pan będzie marzeniem zapalał,
Prawdziwie nie pojmuję co mu jest? —

KORDJAN, ze wzgardą.

Oszalał —

(Laura odchodzi ku drzwiom ogrodu, siada na koń i odjeżdża z Grzegorzem Kordjan zostaje sam w ogrodzie nieruchomy.)

Światła nocy błyskają na nieba szafirze,
Myśl zbłąkana w błękity niebieskie upadła,

Oto ją gwiazdy w kręgi porywają chyże
I kręcą, aż zmęczona, posępna, pobladła,
Powróci z tańca niebios w nudne serce moje — —
Czekam — nad otchłaniami niebieskiemi stoję,
Zalękniony o myśli tonące w gwiazd wirze.
Gwiazdy! wy gdzieś lecicie jak żórawi stada!
Gwiazdy! polecę z wami po niebios szafirze!

(Dobywa pistoletu.)

Nabity — niechaj krzemień na żelazo pada —
Ból, chwila jedna, ciemno — potem jasność błyśnie.
Lecz jeśli nie zaświeci nic? — i ból przeminie?
Jeśli się wszystko z chwilą boleści rozpryśnie?
A potem ciemność — potem nawet ciemność ginie,
Nic — nic — i sobie nawet nie powiem samemu
Że nic nie ma — i Boga nie zapytam czemu
Nic nie ma? Ha? więc będę zwyciężony niczem? —
Śmierć patrzy w oczy moje dwustronnem obliczem,
Jak niebo nad głowami i odbite w wodzie —
Prawda, lub omamienie — lecz wybierać trudno
Gdzie nie można zrozumieć —

(Przykłada broń do czoła.)

Nie — nie w tym ogrodzie.
Znajdę śród lasów łąkę kwietną i odludną.

(Wychodzi z ogrodu.)

SCENA III.

(Noc. Laura sama w pokoju przy lampie.)

LAURA.

Dotąd Kordjan nie wrócił, jedynasta biła.
Natrętna niespokojność w serce się zakrada,
Gdybym to dziecię płochem szyderstwem zabiła?
Dmuchem w różę, co słońcem palona opada?
A jeśli jego serce z takich kruszców lane,
Że co na nim napiszę, przetrwa napisane
Na wieki wieków? Boże! jeśli jego oczy
Przywykną do ciemności i łez? A co gorsza!

Jeśli miasto łez, w dzieciach zapalonych skorsza
Duma, gorzkie uśmiechy na twarz mu wytłoczy? —

(Zamyśla się, potem bierze sztambuch i przewraca.)

Nudnemi grzecznościami zapisane karty.
Ten mię równa do kwiatu, ci do gwiazd — a czwarty
Do Dianny bogini — on sam jak Bóg Apis
Zwierzęcą nosi głowę. — Ten kwiat chce rozkwitać —
Rysunek siostry mojej. — Ach! Kordjana zapis;
Spojrzałam mimowolnie, muszę raz odczytać.

(Czyta wiersz Kordjana.)

«O! przypłynę ja kiedyś we wspomnień łańcuchu,
Zatrzymam się — wspomnienia krokiem się nie ruszą —
Aż powiesz: — Natrętny duchu!
Ciężysz na duszy mojej, twoją cichą duszą,
Jak księżyc, mórz oczyma podnoszący ciemnie.
Jesteś wszędzie, koło mnie, nademną i we mnie. —
Luba! jam koło ciebie — i z tobą — i w tobie.
Nie przychodzę wyrzucać ani przypominać,
Ani śmiem błogosławić, ani chcę przeklinać:
Przyśniło mi się tylko kilka pytań w grobie.
Słuchaj — niegdyś ze szczęściem brałaś zaręczyny,
Pokaż mi ów pierścień złoty?
Ha! szczerniał? szczerniał pierścień? — to nie z mojej winy?
Dla czego na twarz włosów rozpuszczasz uploty? —
Spostrzegłem we włosów chmurze —
Bladość twarzy — i coś błyska!
Może to blask w pereł sznurze?
Może światło brylanta? albo kornaliny?
Może rozgrzane słońcem topazu ogniska?
Może to łzy? — ty płaczesz? — to nie z mojej winy! —
Mój Aniele! mój Aniele!
Kwiat ci wieńczył niegdyś głowę,
A było kwiatów tak wiele —
Że, nim zwiędły, brałaś nowe.
Dla czegoż dzisiaj w stroju zmianę widzę jawną?
Wszak kwiaty przeżyć burze musiały i spieki:
Prócz jednej bladej róży, która dawno! dawno!

Nie pomnę z jakiej przyczyny,
Zwiędła na wieki —
Jeśli tak wszystkie zwiędły? — to nie z mojej winy!»
(Przestaje czytać.)
Słyszę tentent — to Kordjan! — więc okno otworzę —
Nie, możebym za zbytnią troskliwość wydała. —
Co? nikt drzwi nie odmyka?
(Otwiera okno.)
Boże! wielki Boże!
Koń przeleciał bez jeźdźca. — Co to jest? drżę cała!
(Dzwoni, panna pokojowa wchodzi.)
Gdzie Grzegorz?

PANNA.

Nie wiem Pani, nie siadł do wieczerzy —
Widać było, bo dzbankiem z nami się nie dzielił,
Jak Żyd płaszczem Chrystusa.

LAURA.

Szukaj go! niech bieży!

GRZEGORZ, wchodząc.

Nieszczęście! O, nieszczęście! panicz się zastrzelił! —

AKT II.

(ROK. 1328.)

WĘDROWIEC.

(Jame's Park w Londynie — wieczór. — Kordjan siedzi pod drzewem — w około łąki zielone — dalej sadzawka ocieniona drzewami, trzody — do koła parku pałace i dwie wieże Westminsteru.)

KORDJAN.

Wyspę łąk porzucono na pałaców stepy,
Uciekam tu opodal od wrącego gminu;
Lud woli pić dym węgli i zaglądać w sklepy;
A ten ogród, czarowna sielanka Londynu,

Jak ustęp złoty, w nudnym ginie poemacie.
Ludzie! wy się tym drzewom przypatrywać macie,
Jak cudom Boga, obok cudów waszej ręki.
Drzewa nie tknięte, rajskie zachowały wdzięki:
Nieraz mgły nadpłynione w kłęby czarne zwiną,
I liściowym wachlarzem na miasto obwieją.
Po sadzawkach łabędzie rozżaglone płyną —
Ludzie piaskiem paktolu węże ścieszek sieją,
A łąki flamandzkiego aksamitu puchem.
Tam miasto — zegar, ludzkim kręcący się ruchem —
A tu cisza — tu ludźmi nie kwitną ogrody,
Ale się po murawach wyperliły trzody. —
Był wiek, żem ja w dziecinnych marzeniach budował
Wszystkie stolice ziemskie, dziś je widzę różne;
Alem pierwszych obrazów w myśli nie zepsował,
Są dziś porównań celem, jak księgi podróżne.
Rzeczywistości naga wynagródź marzenie!
Obym się sam ocenił, skoro świat ocenię! —
Kto wie? może w szczęśliwych grono mię powoła —
— — — — — — — — — — — — —
Chciałbym bliznę Kaima zmazać z mego czoła —
Pierwszy wzrok ludzi czoło samobójcy bada. —

(Zbliża się dozorca ogrodu, biorący opłatę za krzesła.)

DOZORCA.

Panie mój! pens za krzesło! —

(Kordjan daje szyling i nie przyjmuje reszty.)

Pan mój jak lord płaci
A jak Lord siąść nie umie!

KORDJAN.

Jakże więc Lord siada?

DOZORCA.

Na trzech krzesłach zarazem siadają magnaci,
Na jednem Lord się kładzie, a na drugim nogi,
A na trzecim kapelusz, to trzech pensów summa

KORDJAN.

Dziękuję bracie! będę korzystał z przestrogi.

DOZORCA.

Szlachetny to jest zwyczaj, żyzna ludziom duma,
Lękam się by go nowa reforma nie zniosła.

(Ściemnia się.)

KORDJAN.

Tam, gdzie gęstemi drzewy sadzawka zarosła,
Jakiś człowiek samotny jak cień się przesuwa;
Patrzy na księżyc, wzdycha — to miłośnik czuły,
Zapewne wielkie serce smutkami zatruwa;
Może mu się marzenia złotym wątkiem snuły,
I przerwały się nagle — od świata ucieka.
Chciałbym go poznać. — Bracie, znasz tego człowieka?

DOZORCA.

To pewien dłużnik, bankrut, potępion wyrokiem.

KORDJAN.

Dla czegoż nie w więzieniu duma, lecz w ogrodzie?

DOZORCA.

Prawo w domy nie wchodzi po słońca zachodzie
Nie biega po ulicach za dłużnika krokiem;
Więc dłużnik za dnia sypia, a chodzi po nocy.
Myślałem że pan także przy Boga pomocy
Mijasz się z prawem.

KORDJAN.

Nędzny! —

DOZORCA.

Pan jakby Lord płaci.
Mam honor mu polecić siebie, moich braci —
Jeden, jak ja, przedaje krzesła w parlamencie,
Drugi, jak ja, przedaje groby w Westminsterze;
Trzeci robi na przedaż herbowe pieczęcie,
Na każdej ryje łokieć, szalki i dwie wieże,
Podobne kształtem do wież dłużników więzienia.
Czwartego lud nazywa Garrikiem tragicznym;
Prawdziwie małpi talent wziął od urodzenia,
I Punsza bohatera przed tłumem ulicznym
Pokazuje — przez Punsza usta opowiada
Jak zabił żonę, dziecię wyrzucał przez okno,

Obwiesił kata, wreszcie w szpony djabła wpada;
A gdy go djabeł porwie, widze we łzach mokną. —

(Kordjan odchodzi.)

(Dover. Kordjan siedzi na białej kredowej skale nad morzem, czyta Szekspira — wyjątek z tragedji pod tytułem: Król Lear. —)

KORDJAN, czyta.

«Chodź! oto szczyt, stój cicho! — Zakręci się w głowie,
Gdy rzucisz wzrok w przepaści ubiegłe z pod nogi —
Wrony przelatujące w otchłani połowie
Mało większe od żuków — a tam na pół drogi
Czepia się ktoś — chwast zbiera — z ciężkiej żyje pracy!
Stąd go nie większym widać od człowieka głowy.
A owi, co się snują po brzegu rybacy
Wydają się jak mrówki. — Okręt trój-masztowy
Spoczywający w porcie, widać stąd bez żagli,
Łupinę tylko, mniejszą od węzła kotwicy —
A szum huczącej fali, którą wicher nagli,
I pokłada na brzegów skalistej granicy;
War piany i kamieni, równy głośnej burzy,
Ucha tu nie dochodzi. — O! nie patrzę dłużej,
Bo myśl skręcona głową w otchłań mię zanurzy.» —

(Przestaje czytać.)

Szekspirze! duchu! zbudowałeś górę,
Większą od góry którą Bóg postawił!
Boś ty ślepemu o przepaści prawił,
Z nieskończonością zbliżyłeś twór ziemi.
Wolałbym ciemną mieć na oczach chmurę,
I patrzeć na świat oczyma twojemi.

(Wstaje.)

Próżno myśl geniusza świat cały pozłaca,
Na każdym szczeblu życia rzeczywistość czeka.
Prawdziwie, jam podobny do tego człowieka,
Co zbiera chwast po skałach życia. Ciężka praca! —

(Odchodzi.)

(Willa włoska — pokój cały zwierciadłami wybity — kobierce — wazony rżnięte z ławy, pełne kwiatów. — Przez okna widać piękną okolicę. — Kordjan i Wioletta, młoda i piękna Włoszka.)

KORDJAN.

Duszo! niechaj ci włosy na czole rozgarnę!
Weź mię w twoje ramiona, roskoszą odkwitnę.
Patrz na mnie! Twoje oczy, jasne, skrzące, czarne,
Białka oczu jak perły śnieżysto błękitne.
Gdy rzucarz wzrok omdlony, padam, słabnę, mdleję —
Tak na przesłodkiej róży mrą złote motyle,
A gdy spojrzysz iskrami twych oczu — szaleję!
I ożywam na całą pocałunku chwilę.

WIOLETTA.

Puść mię! omdlewam.

KORDJAN.

Luba! gdy padasz omdlona
Odpychając mię falą kołysaną łona
Wtenczas gdy z rozkwitłego na pół ust koralu,
Płomień z niewysłowionym wybłyska wyrazem,
W którym miłość złączyła wszystkie głosy razem —
Dźwięk strun urwanych, wstydu głos, i skargę żalu,
Jęk, śmiech dziecka, westchnienie — wtenczas moja droga,
Ty mię kochasz — —

WIOLETTA.

Nad życie, Wszak Lorda i Boga
Porzuciłam dla ciebie, czyż wątpisz szalony?

KORDJAN.

Wierzę! na koralowych ustach zawieszony
Jako motyl na róży. Twoja szyja płonie,
A perły takie zimne na płomiennem łonie?
Rozerwij perły — czekaj rozgryzę nić! —

WIOLETTA.

Szkoda! —

KORDJAN.

Perły po twoich piersiach leją się jak woda;
Boisz się łaskotania pereł moja miła?
Drżysz jak liść. — Czy mię kochasz? —

WIOLETTA.

Jam stokroć mówiła
Żeś mi droższy niż życie; wiszę u twej szaty
Jak kropla rosy, strząśniesz? rosprysnę się cała.

KORDJAN, coraz zimniej, i z większem zamyśleniem.

Patrzę na wazon z lawy, w którym rosną kwiaty —
Niegdyś ta lawa ogniem zapalona wrzała,
Skoro ostygła, snycerz kształt jej nadał drogi.
Świat jest nieraz snycerzem, a serce kobiety
Lawą ostygłą.

WIOLETTA.

Wyrzut dla płci naszej srogi!
Niezasłużony wiernem sercem Wioletty. —

KORDJAN.

Luba! gdzieś na północy stał zamek wiekowy —
Herby pradziadów moich świeciły na bramie,
W salach, portrety dziadów w ozłoconej ramie
Patrzały na mnie; dzisiaj wzrok ojców surowy
Aż tu, do włoskiej willi, ściga za mną, goni.
Bo zamek ojców moich stopiłem na złoto,
A z tego złota nosisz przepaskę na skroni.

WIOLETTA.

Luby! zatruwasz serce niewczesną zgryzotą.

KORDJAN.

Droga! gdybym pałace mógł nazad odzyskać
Jedną łzą twoją, nie chcę byś onę wylała.
Luba! tobie przystoi brylantami błyskać —
Jak droga mleczna, światów milionem biała.
Chciałbym w tej pięknej willi przeżyć z tobą wieki,
Wśród laurów, wodospadów, róż, bronzów, zwierciadeł;
A kto wie? jutro może otworzysz powieki
I spojrzysz w lice nędzy, najsroższej z widziadeł. —
Przekleństwo! jam utracił wszystko!

WIOLETTA.

Mio caro
Co się to znaczy?

KORDJAN.

U drzwi stoją wierzyciele!

Lecz bogactwo w miłości znikomą jest marą,
Dawałem ci brylanty, dziś sercem się dzielę.

WIOLETTA.

Ach brylanty — gdzie klucze? —

KORDJAN.

Stój! stój moje życie!
Wczoraj, aby opóźnić majątku rozbicie,
Z twojemi brylantami siadłem do gry stoła:
Gra mi wszystko pożarła, — Lecz serce anioła! —

WIOLETTA, ze łzami i gniewem.

Ach! ach! ja nieszczęśliwa! zabrał mi klejnoty!

KORDJAN.

Zabijasz mię kochanko niewczesnemi łzami —
Serce twoje przekładam nad wszelki dar złoty!

WIOLETTA.

Przegrałeś moje serce razem z klejnotami!!
Nędza! nędza mię czeka! —

KORDJAN.

Mnie zaś koń mój czeka.

WIOLETTA.

Jedź z djabłem! —

KORDJAN.

Droga moja nie nazbyt daleka,
Koń ma złote podkowy, tysiąc czątych warte;
Wygrałem je był wczoraj na ostatnią kartę,
Przed wierzycieli okiem w podkowach uniosę.
Przez noc całą galopem popędzę przez błonia,
Złotemi kopytami srebrną bijąc rosę.
Potem, w najbliższem mieście każę rozkuć konia,
I za cztery podkowy, uczt wyprawię cztery;
A potem jako czynią modne bohatery,
W łeb sobie strzelę. — Panią na uczty śmiem prosić.
A jeśli po kochanku chcesz żałobę nosić,
Upewniam, że ci będzie do twarzy z żałobą —
Pani! czy jedziesz ze mną —

WIOLETTA, po chwili.

Luby! jadę z tobą. —

(Wychodzą.)

(Droga publiczna. Kordjan na koniu, za nim Wioletta — przelatują czwałem — koń ślizga się i pada, Kordjan zsadza z konia Wiolettę.)

WIOLETTA.

Cóż to?

KORDJAN.

Nic — koń rozkuty upadł.

WIOLETTA.

Koń rozkuty?

KORDJAN.

To nic. — Kazałem słabo przybić mu podkowy,
Nie przybić, raczej związać spruchniałemi druty,
Zgubił je przy wyjeździe —

WIOLETTA, z gniewem.

Wężu Adamowy!

KORDJAN.

Ewo moja! Adama zastąpią ci drudzy,
A ja cieszę się z serca, że gdzieś moi sługdzy,
Wygnani z Willi, z czołem spuszczonem ku ziemi,
Pójdą tą samą drogą, za ślady mojemi,
I będą zbierać złoto, tam gdzie łzy upadną.

WIOLETTA

Niech ludzie z pistoletów kule ci wykradną!
Niechaj cię głód zabije, zapali pragnienie! —

(Odbiega drogą — Kordjan siada na konia i patrzy na nią z uśmiechem wzgardy.)

KORDJAN.

Prawdziwie ta kobieta kocha mię szalenie,
Poszła, szukając śladów kochanka po drodze —
Dalej mój koniu! leć gdzie zechcesz! puszczam wodze. —

(Odjeżdża.)

(Sala ańamaszkami wybita w Watykanie. Papież siedzi na krześle w złocistych pantoflach; kolo niego na złotym trójnogu tiara, a na tiarze papuga z czerwoną szyją. Szwajcar odmykając drzwi dla wchodzącego Kordjana, krzyczy głośno.)

SZWAJCAR.

Graf Kordjan, Polak!

PAPIEŻ.

Witam potomka Sobieskich,

(Wyciąga nogę — Kordjan przyklęka i całuje.)

Polska musi doznawać zawsze łask niebieskich?
Dziękczynień modły niosę za ów kraj szczęśliwy –
Bo Cesarz jako anioł z gałąską oliwy,
Dla katolickiej wiary chęci chowa szczere.
Powinniśmy hosanna śpiewać —!

PAPUGA, cienko i chrapliwie.

Miserere!!!

KORDJAN.

W darze niosę ci Ojcze relikwię świętą,
Garść ziemi, kędy dziesięć tysięcy wyrżnięto:
Dziatek, starców i niewiast. Ani te ofiary
Opatrzono przed śmiercią chlebem eucharistji:
Złóż ją tam, kędy chowasz drogie carów dary,
W zamian daj mi łzę, jedną łzę —

PAPUGA.

Lacryma Christi. —

PAPIEŻ, z uśmiechem do papugi machając chustką.

Precz Luterku! precz mówię. — Cóż, synu Polonie
Byłeś że w Piotra gmachu? w Cyrku, w Panteonie?
Ostrzegam, bądź w niedzielę w Chórze Bazyliki,
Bo właśnie nowy śpiewak przyjechał z Afryki —
Dej mi go przysłał Fezki. — Jutro z majestatu
Dam wielkie przeżegnanie Rzymowi i światu,
Ujrzysz jak całe ludy korne, krzyżem leżą;
Niech się Polaki modlą, czczą Cara i wierzą. —

KORDJAN.

Lecz garści krwawej ziemi nikt nie błogosławi.
Cóż powiem? —

PAPUGA.

De profundis, clamavi! clamavi

PAPIEŻ, zmięszanie śmiechem pokryć usiłuje i spędza papugę.

Precz szatanku! Z tiary na pastorał rusza,
Przeklęte zwierzę ptasie — o mało nie powiem,
Że w niej zaklęta Lutra pokutuje dusza;
Pełna przysłówków «ergo, ponieważ, albowiem.»
Raz za firanką skryta, wdała się w dysputy
Z kardynałem, prezesem dataryi bióra.
Rozumiał że mu doktor jakiś, tęgo kuty,

Odpowiadał na kwestje — ona trzęsła pióra,
A kardynał rwał włosy i nadrabiał krzykiem;
Papuga odrzucała odpowiedzi ślepe.
Nakoniec go zabiła hebrajskim językiem,
Krzycząc: «Pappê satan! pappê satan! aleppê.» —
Głupie stworzeńko! — Tak to czasem Bóg pozwala,
Że słaby, Goliatów rozumy obala. —
No mój Synu, idź z Bogiem, a niechaj wasz naród,
Wygubi w sobie ogniów jakubińskich zaród,
Niech się weźmie psałterza i radeł i sochy. —

KORDJAN, rzucając na powietrze garść ziemi.

Rzucam na cztery wiatry męczennika prochy!
Ze skalanemi usty do kraju powrócę. —

PAPIEŻ.

Na pobitych Polaków pierwszy klątwę rzucę!
Niechaj wiara jak drzewo oliwkowe buja,
A lud pod jego cieniem żyje.

PAPUGA.

Alelluja! —

(Kordjan odchodzi.)

(Kordjan sam, z założonemi na piersiach rękoma, stoi na najwyższej igle góry Mont-Blanc.)

KORDJAN.

Tu szczyt — lękam się spojrzeć w przepaść świata ciemną.
Spojrzę. — Ach! pod stopami niebo i nad głową
Niebo. — Zamknięty jestem w kulę kryształową!
Gdyby ta igła lodu popłynęła za mną
Wyżej — aż w niebo — nie czułbym ze płynę.
Stąd czarne skrzydła myśli nad światem rozwinę.
Ciszej! słuchajmy — o te lody się ociera
Modlitwa ludzka, po tych lodach droga
Myślom płynącym do Boga.
Tu dźwięk nieczysty głosu ludzi obumiera,
A dźwięk myśli płynie dalej.
Tu pierwszy zginę, jeśli niebo się zawali.
A ten kryształ powietrza by tchnieniem rozbity

Kręgami się rozpłynie na nieba błękity,
I gwiazdy w nieznajomą uciekną krainę;
I znikną jakby ich nigdy nie było —
Sprobuję — westchnę i zginę. —
(Patrzy w dół.)
Ha! przypominasz mi się narodów mogiło!
Oto się przedarły chmury,
Igły lodu wytrysły z chmur kłębów;
Tam las ogromny sosen i dębów,
Jak garść mchu w szczelinie góry,
A ta plamka biała — blada —
To morze.
Silniej wzrok napnę — oczy rozedrę, otworzę,
Chciałbym stąd widzieć człowieka.
Tam koło jednej igły, krążą orłów stada,
Jak pierścionki żałobne na perłowych lodach;
A odemnie błękitna płynie szczelin rzeka —
Każda w jedną otchłań zlata,
I nikną jak w morza wodach —
— — — — — — —
Jam jest posąg człowieka na posągu świata!
— — — — — — — — —
O gdyby tak się wedrzeć na umysłów górę,
Gdyby stanąć na ludzkich myśli piramidzie,
I przebić czołem przesądów chmurę,
I być najwyższą myślą wcieloną!
Pomyśleć tak — i nie chcieć? o hańbo! o wstydzie!
Pomyśleć tak — i nie módz? w szmaty podrę łono!
Nie módz? to piekło!
Mogęż siłą uczucia serce moje nalać,
Aby się czuciem na tłumy rozciekło,
I przepełniło serca nad brzegi,
I popłynęło rzeką pod trony — obalać?
Mogęż ruszyć lawiny? potem lawin śniegi,
Zawieszone nad siołem,
Zatrzymać ręką lub czołem?
Mogęż jak Bóg w dzień stworzenia,
Ogromnej dłoni zamachem,

Rzucać gwiazdy nad świata zbudowanym gmachem,
Tak, by w drodze przeznaczenia,
Nie napotkały nigdy kruchej świata gliny,
I nie strzaskały w żegludze? —
Mogę — więc pójdę! ludy zawołam! obudzę!

(Po chwili — z wyrazem zniechęcenia.)

Może lepiej się rzucić w lodowe szczeliny? —

(Po chwili — zrazu spokojnie, potem z zapałem.)

Uczucia po światowych opadały drogach —
Gorzkie pocałowania kobiety — kupiłem. —
Wiara dziecinna padła na papieskich progach —
Nic — nic — nic — aż w powietrza błękicie
Skąpałem się — i ożyłem,
I czuję życie!
Lecz nim myślą olbrzymią rozpłonę,
Posągu piękność mam — lecz lampy brak.
Więc z ognia wszystkich gwiazd uwiję na czoło koronę.
W błękicie nieba sfer, ciało roztopię tak,
Że jak marmur, jak lód, słonecznym się ogniem rozjaśni.
Potem, piękny jak duch baśni,
Pójdę na zimny świat i mogę przysiądz,
Że to na czole tysiąc gwiazd i w oczach tysiąc,
Że posągowy wdzięk, narodów uczucia rozszerzy,
I natchnie lud:
I w serca jak myśl uderzy,
Jak Boga cud. —

— — — — — — —

Nie — myśli wielkiej trzeba z ziemi, lub błękitu.
Spojrzałem ze skały szczytu
Duch rycerza powstał z lodów —
Winkelryd dzidy wrogów zebrał i w pierś włożył! —
Ludy! Winkelryd ożył!
Polska Winkelrydem narodów!
Poświęci się, choć padnie jak dawniej — jak nieraz! —
Nieście mię chmury! nieście wiatry! nieście ptacy! —

(Chmura znosi go z igły lodu.)

CHIMERA.

Siadaj w mgłę — niosęć. — Oto Polska — działaj teraz. —

KORDJAN, rzucając się na rodzinną ziemię, z wyciągniętemi rękoma woła:

Polacy!!!

AKT III.

SPISEK KORONACYJNY.

SCENA I.

Plac przed zamkiem królewskim w Warszawie; okna dokolnych domów przystrojone kobiercami, pełne widzów. — Wielkie rusztowanie czerwonem suknem nakryte, zalega większą część placu — na niem siedzą rzędami przystrojone kobiety. — Najbliżej widza kolumna Zygmunta; na podstawie lud zasiadł. — Ludzie różnego stanu stoją do koła i patrząc na zamek i rozmawiają.

PIERWSZY Z LUDU.

No! patrzaj panie kumie co przed zamkiem stoi —
To Car nasz miłościwy kazał stawić w nocy,
Te wielkie rusztowanie — jeśli naród zbroi,
To będą ścinać głowy —

DRUGI Z LUDU.

Waść rzucasz jak z procy
Niepomyślane baje — na te rusztowanie,
Wchodzą wielmożni nasi i wielmożne panie,
Co na tę koronację chcą patrzeć z wysoka. —

PIERWSZY MŁODZIENIEC.

Kwiatem dam się pokrywa estrada szeroka.

DRUGI MŁODZIENIEC.

Estrada! jakie słowo — ja przyswoić wolę
Wyraz wschodowidownia.

PIERWSZY MŁODZIENIEC.

Zgoda mój purysto.
Lecz patrzaj: pióra, kwiaty, tiule, parasole,

To istna łąka — Chciałbym zostać ziemną glistą,
I chodzić po tych kwiatach.

DRUGI MŁODZIENIEC.

Wolisz zostać Carem,
I chodzić po tych głowach.

SZEWC.

Uf! jak duszno! tłumnie!
Siła miejsca ubyło z grubym piwowarem,
Odkąd się przy Zygmunta zatoczył kolumnie —

SZLACHCIC.

Toć ten sam, który niegdyś jak koń w taczkach chodził,
Za jakieś przewinienie z woli księcia pana!
Tak wychudł biedak wówczas i tak się wygłodził,
Że jak mówią, aż własne obaczył kolana,
i łzami się rozpłakał.

SZEWC.

Któż mu tu przyjść radził?
Wstyd mu biją te kotły i wstydem gra trąba!
Chyba żywot kulami i siarką nasadził,
I chce się u nóg Cara rosprysnąć jak bomba.

SZLACHCIC.

Ten szewc pojął honoru i zemsty prawidła.
Prawidła — Mój kalambur upadł — o, lud głupi!
Nie podjął kalamburu! O zgrajo przebrzydła!
Kto twoje berło kupi, kij pastucha kupi —

SZEWC.

Cha! cha! cha! jak się szlachcic czerwony jendyczy! —

PIERWSZY Z LUDU.

Cicho! słuchajcie — oto pierwszy szereg krzyczy,
Cesarz przechodzi — krzyczmy —

KILKU Z LUDU.

Niech żyje! niech żyje!

PIERWSZY Z LUDU.

Nic nie widać. — Chorągiew z wiatrami się bije
I posuwa się zwolna —

DRUGI Z LUDU.

Idzie jakiś starzec.

Siwy cały — oh, siwy jak srebrzysty marzec —
Niesie złotą poduszkę, na niej szabla leży —

ŻOŁNIERZ.

Oj dobrze Cesarzowi, że polskie szablice
Śpią sobie na poduszkach —

PIERWSZY Z LUDU.

Wielki Książę bieży,
I nakazał gardłowej przegrywać muzyce.
(Słychać śpiew na nótę «God save the king.»)

ŻOŁNIERZ.

Ha! ha! dmą sobie ludzie w gardła jak w oboje.

PIERWSZY Z LUDU.

Sypnęły się zielone szambelanów roje,
Pożółciałe haftami, niby pszczoły z ula —
Ha, idzie —

KILKU Z LUDU.

Kto?

PIERWSZY Z LUDU.

Król.

ŻOŁNIERZ, śpiewa,

Boże pochowaj nam króla!

SZEWC.

Nie w takt śpiewasz i nie w sens —

ŻOŁNIERZ.

Ha, nie moja wina —
Pod Maciejowicami ogłuchłem od kuli,
I przyznam się, że nie znam jak w marjaszu króli;
Gdy się z nimi kozerna połączy dziewczyna,
To sobie ze czterdziestu choć na dyszlu walę —

SZEWC.

Ciszej-no! Waść o królach gadasz tak zuchwale,
Jak gdyby szpiegi butów nie umieli skroić,
Wierz mi Waść — co masz gadać, to wolałbyś broić,
A kiedy nie masz dratwy, to dziur nie kól szydłem —

KILKU Z LUDU.

Ha! ha! ha:

PIERWSZY Z LUDU.

To go wstrzymał skórzanem wędzidłem!

GARBATY ELEGANT.

Pozwólcie też panowie spojrzeć człowiekowi —

KILKU Z LUDU.

Garbuś! garbuś! ustąpcie miejca garbusiowi —
Wsadzić go na ramiona —

SZEWC.

Zgodziłby się mały!
Wszak o nim historja świat obiega cały — —
Wracając nocą, nie mógł rynsztoka przeskoczyć!
Sajetowego sukna nie chciało się zmoczyć.
Czeka — — Aż tu przechodzi drogą pozytywek,
Więc w prośby, by go ludzie zanieśli do domu,
Zgodzili się, na skrzyni konno usiadł krzywek;
Gdy go tam przywiązali jak garść suchą łomu,
Nuż korbą kręcić, różne muzyki wygrywać,
I do szynków zachodzić — musiał biedać śpiewać,
A nie śpiewać: tu ludziom grać jak z dobrej woli —

KILKU Z LUDU.

Ha! ha! ha!

ŻOŁNIERZ.

Ze starego śmiejcie się żołnierza,
Lecz wara z ułomnego przedrwiwać niedoli.
Gdzie on —

PIERWSZY Z LUDU.

At, w inną stronę poszła sobie wieża —

DRUGI Z LUDU.

Car przeszedł, a my wszyscy patrzali jak głupce
Na garb i nie widzieli Cara —

PIERWSZY Z LUDU.

Wielka szkoda!
Idźmy lepiej po bruku wybijać hołupce —
Mówią że z beczek wino leje się jak woda.

(Lud się rozchodzi.)

SCENA II.

(Wnętrze kościoła katedralnego — ołtarz wielki rzęsisto oświecony. — Prymas z bogato przybraną asystencją odprawia mszę. — Muzyka. — Cesarz stoi pod szkarłatnym baldachimem; na szczeblach tronu polscy dygnitarze państwa i jeneralowie moskiewscy. — Prymas lud żegna, i przystępując do Cesarza podaje mu koronę; Cesarz kładzie ją na głowę — Kanclerz podaje na wezgłowiu miecz państwa. Cesarz robi znak krzyża na cztery strony świata. Prymas podaje księgę konstytucyjną.)

CESARZ, kładąc rękę na księdze.

Przysięgam! —

(Znów cisza głęboka.—Prymas odchodzi do ołtarza i intonuje psalm «Te Deum.»)

SCENA III.

(Plac przed zamkiem i lud jak w scenie pierwszej; muzyka gra pieśń «God save the king.» Boże zachowaj nam króla.)

PIERWSZY Z LUDU.

Car się ukoronował — wychodzi z kościoła —
Poprzysiągł konstytucję święcić jak pacierze.

DRUGI Z LUDU.

Wróciwszy, pewnie w zamku zasiądzie do stoła?
Choć królem to jeść musi jak i każde zwierzę.

SZLACHCIC.

A wieczeż co jeść będzie?

DRUGI Z LUDU.

A proszę Waszmości?
Toć zapewne nie będzie ogryzał tam kości;
Toż królowi na pokarm dostateczny stawa.

SZLACHCIC.

Będzie zjadał bażanty, a na wety prawa.

SZEWC.

Waćpan musisz zagadki dawać do kurjera.
Co to za krzyk?

PIERWSZY Z LUDU.

Zapewne żandarm tłum przeciera.

STOJĄCY NA KOLUMNIE.

O! nie, to się sam książę wdał z babami w boje.

GŁOS KOBIECY w dali.

Dziecię moje! o! dziecię! dziecię! dziecię moje!

PIERWSZY Z LUDU do stojącego na kolumnie.

Cóż to za krzyk? Waszmości czoło aż pobladło.

STOJĄCY NA KOLUMNIE.

Książę uderzył starą kobietę z dziecięciem —
Potknęła się i dziecko do rynsztoka padło.
Zbiegł się tłum — teraz cały ucieka przed księciem —
I tylko widać starą nad dzieckiem kobietę —
Ciałem dziecię zakrywa. — To odwaga rzadka!

GŁOS DALEKI.

Dziecko zabite —

GŁOS BLIŻSZY.

Dziecko zabite —

STOJĄCY NA KOLUMNIE, do dalszych.

Zabite —

LUD.

A matka? —

STOJĄCY NA KOLUMNIE.

Kto wie czy to matka.

LUD.

O! to matka!
Inna by już uciekła! — Co się tam z nią stało? —

STOJĄCY NA KOLUMNIE.

Czekajcie! Dwóch żandarmów niebogę porwało —
Zamietli przed Cesarzem krwią polane bruki —

(Lud częścią się rozchodzi ponury. — Orszak koronacyjny powraca do zamku. — Lud przerzedzony milczy — muzyka gra — Ściemnia się. Lud rzuca się na sukno pokrywające estradę.)

LUD.

To dla nas sukno! dla nas! rozerwać je w sztuki —

(Ściemnia się coraz bardziej. - Ludzie rozerwali sukno, i w czerwone płachty okryci rozchodzą się po ulicach. — Przy beczkach z winem widać jeszcze garstkę pijących. — Człowiek czarnym płaszczem okryty miesza się między nich — i śpiewa.)

ŚPIEW NIEZNAJOMEGO.

Pijcie wino! pijcie wino!
Nie wierzycie że tu cud,
Gdy strumienie wina płyną,
Choć nie sadzi winnic lud.
Pij drużyno! pij drużyno!
Chrystus wodę zmienił w wino,

Gdyby weselny słyszał śpiew,
Gdy wesele było w Kanie —
(Głośniej.)
A gdy przyszło zmartwychwstanie,
Chrystus wino zmienił w krew —
Jutro błyśnie jutrznia wiary!
Pijcie wino! idźcie spać!
My weźniemy win puhary,
By je w szklanny sztylet zlać.
Niech ten sztylet silne ramię,
W piersi wbije i załamie —
Pijcie wino! idźcie śnić!
Lecz się będzie świt promienić,
Trzeba wino w krew przemienić,
Przemienione wino pić!
(Pieśń ustaje— nieznajomy odchodzi.

PIERWSZY Z LUDU.

Kto tu śpiewał?

DRUGI Z LUDU.

Śpiew huczał we mnie i podemną —

TRZECI Z LUDU.

idźmy do domu. — Jest coś strasznego — tak ciemno —

SCENA IV.

Loch podziemny w kościele St. Jana; w koło trumny Królów Polskich; w głębi mały ołtarz. Przed ołtarzem stół okrągły — jedna lampa, i krzesło. Prezes spisku sam jeden siedzi za stołem — w czarnej masce i z siwemi jak śnieg włosami. — Widać wschody prowadzące do korytarzów kościelnych; na wschodach szyldwach widny do połowy.)

PREZES, sam.

Ciemna jaskinio trumien, znam ja ciebie!
Nieraz w te prochy iskrę myśli kładłem,
Budziłem królów, serca ich odgadłem —
Działali — w dziejach jak na jasnem niebie
Nigdzie czerwone nie padały plamy. —
Gdybyście króle z trumien dziś powstali,
Ludzie by krzyczeli: O znami was! znamy!
Starzec nam o was mówił, żeście biali
Jako Anieli — tak nam starzec prawił.

Jażbym tron nieskalany Polaków zakrwawił?
Rzuciłem się w otchłani spisków czarne cienie,
Zapalonej młodzieży sztyletami władam —
Mam sto rąk, sto sztyletów — gdy chcę sto ran zadam;
Wzrok mój przytępiał długim wiekiem, lecz sumienie
Ma bystre oczy, widzę że światło zgasło.
Lepiej przy Waszyngtonie było umrzeć. —

SZYLDWACH.

Hasło!

GŁOS.

Winkelried.

SZYLDWACH.

Tędy!

(Schodzi do lochu zamaskowany w ubiorze księdza.)

KSIĄDZ.

Prezes wszystkich nas ubiegłeś.

PREZES.

Nie dziw się że mię w grobach pierwszego spostrzegłeś —
Starość mię prowadziła.

KSIĄDZ.

Powiedz mi prezesie,
Jak się to skończy?

PREZES.

Nie wiem.

KSIĄDZ.

Burza nie rozniesie —
Sztyletów tak jak liści. — Byle się udało!

PREZES.

Pomnij! że nosisz szatę Zbawiciela białą —
Splamisz ją.

KSIĄDZ.

Głos twój drżący —

PREZES.

Zimno mi i ciemno —

KSIĄDZ.

A mnie krew pali —

PREZES.

Boże! zmiłuj się nademną —
Księże! powiedz mi, wiele lat masz?

KSIĄDZ.

Pięćdziesiąty —

PREZES.

Gdyś się rodził, rok miałem dwudziesty dziewiąty —
I biłem się za wolność —

KSIĄDZ.

Cóż stąd?

PREZES.

Nic — wspomnienie.

KSIĄDZ.

Zachwiałeś duszę moję, zbudziłeś sumienie —
Cóż rozkażesz? co robić?

PREZES, z zapałem.

Wstrzymaj ich na Boga!
Niech myśl młodych ciemnicy nie przestąpi progu,
Niech spisek z czarną twarzą na twarz nie wychodzi,
Bo tam na świecie białym błyszczy Boga słońce!
Zwołałem tu szalonych, bo wiatr grobów chłodzi,
Bo mogę wezwać prochy królów za obrońce.
Jam niegdyś z piersi moich lał poety pienia —
Dziś bym je chętnie wydarł z kart wiekowej sławy!
I spaliłbym je w ogniu, gdyby z ich płomienia
Myśl wydobyć głośniejszą nad młodzieńcze wrzawy —
Myśl łamiącą sztylety.

KSIĄDZ.

Źle począłeś sobie!
Oni tu miecze jasne wyostrzą na grobie.

PREZES.

Na grobie królów naszych? O hańba! o wstydzie!
Ostrzyć miecz królobójczy? sztylety?

SZYLDWACH.

Kto idzie?

GŁOS.

Winkelried.

SZYLDWACH.

Tędy droga.

(Schodzi zamaskowany Podchorąży.)

PREZES, do Księdza cicho.

Wesprzyj mię Biskupie.

KSIĄDZ.

Poznany jestem. — Maski zdradzają nas trupie.

PODCHORĄŻY.

Ile się w trumnach królów robactwa wypasło?
Chciałbym podnieść te wieka, zajrzeć w prochy —

SZYLDWACH.

Hasło!

GŁOS.

Winkelried —

(Schodzi zamaskowany pierwszy z ludu.)

PIERWSZY Z LUDU.

Ha, prezesa głowa chociaż stara,
Dobre obrała miejsce. — Bo kościół otwarty
Na czterdziesto-godzinne pacierze za Cara,
A przy bramie kościelnej stoją szpiegów warty,
I spisują pochwały dla człeka, co wchodzi
Pomodlić się za Cara! — Więc to nic nie szkodzi —
Można jednem krzesiwem dwie hupki zapalić.
Będzie nas i kraj kochać, i szpieg carski chwalić.

SZYLDWACH.

Kto idzie? Ludzie, kto wy? Hasło! —

GŁOSY.

Winkelried

(Schodzi wielu maskowych różnego stanu.)

PIERWSZY Z LUDU.

Co to znaczy Winkelried —

DRUGI Z LUDU.

Jakieś słowo czarów.

PODCHORĄŻY.

Był to niegdyś dowódzca u wolnych Szwajcarów.
Śród walki, w obie dłonie zgarnął wrogów dzidy,
I wbił we własne serce i drogę rozgrodził,

PIERWSZY Z LUDU.

Toby się dziś ów rycerz z nami zgodził!

PREZES.

Cicho! módlcie się raczej! miejsce nie do gwarów,
Zeszliśmy się w grobowce składać sąd na Carów —
Patrzcie więc w serca wasze! patrzcie w serca wasze!
Aby je wiecznej ludów nie przedać ochydzie.

Niech nas Bóg wieńcem prawdy gwiaździstej opasze,
Niech Anioł cichy zejdzie pośród nas —

SZYLDWACH.

Kto idzie?

GŁOS.

Winkelried —

(Tu słychać ciągłe głos szyldwacha i odpowiadanie spiskowych. Ludzie różnego ubioru, zamaskowani, schodzą po szczeblach i siadają w milczeniu na ławach. — Głosy szyldwacha coraz rzadsze, ustają zupełnie — cisza głęboka. — Zegar na wieży kościelnej bije zwolna godzinę dziesiątą.)

PREZES.

Bracia! w imię Boga sąd otwarty!

(Chwila milczenia.)

PIERWSZY Z LUDU.

W imię Boga sztyletem piszę zemsty słowo —

DRUGI Z SPISKOWYCH.

W imię Boga ja drugi.

INNY.

Ja trzeci.

INNY.

Ja czwarty —

PREZES.

Ludzie! stoję przed wami z osiwiałą głową!
I powiadam: czekajcie! Moje oczy stare
Widziały wielkich mężów, i mówię wam święcie,
Żeście wy nie podobni do nich! Jeśli wiarę
Boga chowacie w sercu? na Boga zaklęcie
Wzywam was ludzie: stójcie! i sztylety wasze
Zamieńcie na święcone w kościołach pałasze —
A kiedyś uderzymy w zmartwychwstania dzwony
Tak, że odgłosem królów zachwieją się trony,
Jak drzewa podrąbane —

PODCHORĄŻY.

W przeszłość patrzę ciemną —
I widzę cień kobiety w żałobie — kto ona?
Patrzę w przyszłość — i widzę tysiąc gwiazd przedemną,
A cień przeszłości ku nim wyciąga ramiona;
Te gwiazdy to sztylety. — Kraj nasz dawny widzę.
Mądrość rządców na starem zaszczepiła drzewie

Kraj młody — oba kwitły na jednej łodydze,
Jako dwie róże; barwą różne w jednym krzewie.
Jak dwaj równi rycerze w jednakowej zbroi,
Chodzili pierś przy piersi z wrogiem staczać bitwy —
Jako dwie w łonie Boga tonące modlitwy,
Jedną natchnięte myślą — jak dwa pszczelnych roi,
Które pasiecznik zlewa w jednych ulów ściany. —
Onego czasu! wielkie południa Tytany
Powstali przeciw Bogu — królom i niewoli.
Bóg uśmiechnął się tylko na tronie szafirów,
Lecz króle padli nakształt zrąbanej topoli!
Gilotyna, okryta łachmanami kirów,
Niezmordowaną ręką wahała stalową,
A ilokroć skinęła, tłum umniejszał głową.
I widzieli ją króle, bo ta gilotyna
Była tragedją ludu, a króle widzami.
Więc zemsta! Nierządnica i Car-Katarzyna,
Zabijające oko trzymała nad nami;
Osądziła nas wartych męczeńskiego wieńca —
Wymyśliła męczeństwo. — Wziąwszy czaszkę, spadłą,
Z Burgońskiego tułowu — krwawą i pobladłą,
Wsadziła ją na tułów swego oblubieńca,
I dała nam za króla — króla z trupią głową.
Potem z pod niego kradła dziedzinę grobową;
A on ręką nie ruszył! i nie stało kiru
Na szatę matki naszej, więc w troje pocięto.
A dziś? — Zapytaj Mewy lecącej z Sybiru,
Ilu w kopalniach jęczy? a ilu wyrżnięto?
A ilu przedzierzgniono w zdrajców i skalano?
A wszystkich nas łańcuchem z trupem powiązano —
Bo ta ziemia jest trupem. Brat się wściekł Carowi;
Więc go rzucił na Polskę, niech pianą zaraża!
Zębem wściekłym rozrywa! — Mściciele! spiskowi!
Gdy Car wkładał koronę u stopni ołtarza,
Trzeba go było jasnym państwa mieczem zgładzić
I pogrzebać w kościele i kościół wykadzić,
Jak od dżumy tureckiej i drzwi zamurować,
I rzec: o Boże racz się nad grzesznym zmiłować!

To wszystko — i nic więcej. — Teraz Car za stołem —
Satrapy nasi kornie pokładli się czołem:
Win tryskają brylanty z kielichów tysiąca,
I palą się pochodnie, a muzyka grzmiąca
Gipsy ze ścian oprusza. Kobiety do koła,
Rozkwitłe, świeże, wonne jak Saronu róże,
Na rosyjskich ramionach opierają czoła.

(Silnie.)

Idźmy tam — i wypalmy ogniami na murze,
Wyrok zemsty, zniszczenia, wyrok Baltazara,
Carowi niedopita z rąk wypadnie czara —
Błękitnym blaskiem mieczów napisane słowa,
Wytłomaczy śmierć mędrsza niśli głos Daniela.
A potem kraj nasz wolny! potem jasność dniowa!
Polska się granicami ku morzom rozstrzela,
I po burzliwej nocy oddycha i żyje.
Żyje! — czy temu słowu zajrzeliście w duszę?
Nie wiem — w tem jednem słowie jakieś serce bije —
Rozbieram je na dźwięki, na litery kruszę,
I w każdym dźwięku słyszę głos cały, ogromny! —
Dzień naszej zemsty będzie wielki — wiekopomny!
A dzień pierwszy wolności, gdy radość rozniecí,
Ludzie wesela krzykiem o niebo uderzą;
A potem długą ciemność niewoli przemierzą —
Siądą — i z wielkim łkaniem zapłaczą jak dzieci:
I słychać będzie płaczem ogrom zmartwychwstania! —

(Słychać szmer zapału.)

PREZES.

Piekielna myśl złoconym obrazom przygania. —
Nie śmiałbyś zgłębić myśli sumienia oczyma!
Ciebie młodzieńczy zapał nad przepaścią trzyma.
Patrz — cały zabity — we krwi — zabita rodzina —
Bo to następstwo zbrodni — lecz nas Bóg ukarze!

PODCHORĄŻY.

Z Cezara karła, weźmy zemstę Rzymianina.

PREZES.

A gdy jaki Antoniusz Europie pokaże
Płaszcz skrwawiony Cezara? — i do zemsty zbudzi?

A kiedy się na Polskę wszystkie ludy zwalą,
Wielu przeciw postawisz wojska? wielu ludzi?
Czem zbrojnych? czy sztyletu zakrwawioną stalą? —

KSIĄDZ.

Cóż powie głos z mównicy? gdy ciało mocarza,
Który swem berłem trony Europy podważa,
Wśród kadzideł, świec jarzących, na katafalk wniosą?
O ludy! ludy! płaczcie łez rzęsistą rosą,
I za ziemię Lechitów w prochy bijcie czołem,
I posypujcie czoła prochem i popiołem,
Bo ta ziemia Jaheli uzbrojona ćwiekiem,
Niegodnie

PODCHORĄŻY.

Strój cię świętym wydaje człowiekiem —
Miałeś na Cara pogrzeb mowę napisaną.
Wiatr jakiś chorągiewkę okręcił blaszaną,
Obosieczne kazanie przeciw nam obrócił!
Miało tak być w kazaniu: — Naród więzy zrzucił;
Więc przed ziemią Lechitów ludy bijcie czołem,
A króle niechaj głowy posypią popiołem,
I wyjdą na ulicach.

SPISKOWI.

Ha! ha! ha!

PREZES.

Przeklęty,
Kto śmiechem groby królów znieważa! —

KSIĄDZ.

Wyklęty!

PIERWSZY Z LUDU.

Zwołali nas ażeby naśmiać się do woli,
Obłąkać i przeklinać —

KSIĄDZ.

Sam Bóg nie pozwoli,
Aby zbrodnia, w kościelnym rozwinięta domu,
Miała ogień błyskawic, ze skrzydłami gromu.
Bóg! co zabójców rzuca w piekielne ogniska!

STARZEC Z LUDU.

Wiele potrzeba zabójstw nim się kraj odzyska?

GŁOS Z TŁUMU.

Car —

STARZEC.

To jedno —

GŁOS.

Carowa żona.

STARZEC.

Drugie —

GŁOS.

I dwóch braci —

STARZEC.

Cztery. — Licz dalej bracie, bo się liczba straci —

GŁOS.

Syn Cara —

STARZEC.

Piąte —

GŁOS.

I już wszyscy.

STARZEC.

Zabijajcie!!!

A krew niech na mnie spada —

PREZES.

Masz włos biały starcze!

STARZEC.

Do ciebie nic nie mówię — — Spiskowi słuchajcie!
Jeśli krwi ciężarowi jeden nie wystarczę,
Syny moje i córki za was się poświęcą.
Krew dziecka i kobiety sam wezmę — książęcą
Syny wezmą. — Dwom córkom nieszczęsnym na głowy,
Na dwie — bo słabe — rzucę lekką krew Cesarza.
A kiedy Bóg zawoła w straszny dzień sądowy,
Stanę przed Bogiem, obok jakiego mocarza,
Co się codzienną zbrodnią we łzach ludu pławi;
I powiem: Boże! Boże! — Patrz! otośmy krwawi! —
Zdjęliśmy tę krew z ludzi, aby drzewo krzyża
Lżejsze było płaczącym na ziemskim padole —
A teraz się na twoją opuszczamy wolę — —

PODCHORĄŻY.

O! błogosław mi starcze! —

KSIĄDZ.

On Bogu ubliża.
Sprawiedliwości boskiej —

PODCHORĄŻY.

Milcz księże! milcz księże!
Myśli w niebo lecącej twój wzrok nie dosięże —
Więc oto jest ogromna poświęceń nauka!
Mnie samego ten starzec nową natchnął wiarą.
Chyba was po tych słowach sam szatan oszuka,
Chybam ja Boga jakąś obciążony karą.
Jeśli wyrazy sieje jak kwiat bezowocny! —
Wierzcie mi! wierzcie ludzie! jam jest wielki, mocny.
Jedyną słabość zamknę w sercu tajemniczem —
Robak smutku mię gryzie — tak, że mówiąc z wami,
Chciałbym przestać — i usiąść i zalać się łzami;
Lecz ten smutek — to żałość dziecinna, po niczem —
Może po kraju. — Ludzie! wierzyć powinniście
Człowiekowi co cierpi — nie siadać pod drzewem,
Któremu wiek spruchniałe poobrywał liście —
(Z rozpaczą.)
O gdyby lutni! ja bym was poruszył śpiewem!
Gdyby historji księga! przeczytałbym kartę,
O Polsce, kiedy była kwitnąca, szczęśliwa —
A wstalibyście wszyscy jak groby otwarte —
Rzucające mścicieli. — Mnie zapał rozrywa;
Zdaje mi się że piersi otworzył na poły,
Że powinniście widzieć czyste serce moje! —
Nie przyszedłem was błąkać jak ciemne anioły,
Ani się waham myślą przecięty na dwoje,
Jestem cały i jeden. — A gdy kraj ocalę,
Nie zasiądę na tronie, przy tronie, pod tronem —
Ja się w chwili ofiarnej jak kadzidło spalę!
Imienia nie zostawię po ciele spalonem,
Tylko echo — i miejsce jakieś wielkie! próżne!
A dzieje będą memu imieniowi dłużne —
Pochwalą, a zapłacą tylko zapomnieniem,
Nic! nic po mnie! Lecz imię ON, i tem imieniem
Piastunki na królewskie dzieci będą swarzyć.

Królątka zaczną płakać i nocami marzyć
O bezimiennym duchu co zrywa korony — —
Dla was życie, kraina wolna, dla was trony —
Ja wszystko skończę z chwilą ogromną odrodu.
Lecz dajcie mi w ręce, zamiast trzymać berło,
Niechaj piastuję siłę olbrzymią narodu!
A koronę Jehowy przyozdobię perłą
Ludu zmartwychwstałego. — Dajcie mi się w ręce!
Ani mię duma wstrzyma, ani sny zwierzęce;
Póki długiej wolności nie zaszczepię wieki,
Niechaj się sen do moich powiek nie przybliża!
Lękacie się? Więc weźcie, przybijcie do krzyża,
Niech mam jako Regulus obcięte powieki —
Niechaj wiecznie bezsenny, na kraj patrzę mrący,
Potem nieście przed sobą godło — krzyż cierpiący —
Nie zgubi was. — Przysięgam na Ojcowskie cienie!
I na mękę Chrystusa! — Przysięgam, że wiara
Mówi wam: Wy jesteście krainy sumienie —
Zburzcie się — i z dusz waszych odrzućcie grzech Cara.
I przysięgam wam jeszcze, że przysiągłem szczerze!
Ja chcę zbawienia duszy mojej! jak w nią wierzę!
Tak dajcie mi się w ręce —

PREZES.

O! głos mi zastyga
Nie mogę mówić —

(Siada i płaszczem twarz zakrywa.)

PODCHORĄŻY.

Starcze! zapał cię prześciga?
Oto pierwsze zwycięstwo — pokonam! lub zginę! —
Ha! Carze! ty nam polską ukradłeś krainę?
Za to śmierć! bo wiedziałeś, kradnąc, że wart śmierci —
Ha! Carze! tyś ją zabił i rozdarł na ćwierci —
Potem kawały spadłe z gilotyny ścienic,
Przybiłeś do trzech tronów, jak do trzech szubienic,
Gdzie na nie patrzą wzgardnie królewscy zbrodniarze!
Carze! gdybyś dwa razy mógł umrzeć? O carze!
Dwa razy ciebie przed sąd Boga zapozywam —

(Słychać szmer w tłumie — podnoszą sztylety — wstają z ław.)

PREZES, zrzuca płaszcz z głowy. — Wstaje i robi znak umywania rąk, potem mówi zwolna i poważnie.

Robcie jak chcecie — lecz ja ręce z krwi umywam.

PODCHORĄŻY, do spiskowych.

A wy? —

(Milczenie długie.)

SZYLDWACH przy wejściu.

Kto idzie? hasło?

(Milczenie.)

SPISKOWI.

Zginęliśmy! zdrada!

PODCHORĄŻY.

Ciszej —

(Słychać odgłos padającego człowieka.)

SZYLDWACH.

Nie wiedział hasła —

PIERWSZY SPISKOWY.

Trup po schodach spada.

PODCHORĄŻY.

Nie drżyj Prezesie! wszakże z krwi umyłeś dłonie?

(Zbliża się z lampą do trupa.)

Dajcie mi lampę — sztylet w zabitego łonie —
Na piersiach jakiś papier pomięty, rozdarty —
Tak — jest to zdanie sprawy ze szpiegowskiej warty.
To szpieg. — Więc go zakopać tam, w kącie ciemnicy

(Dwóch ze spiskowych unoszą w kąt trupa, zapalają dwie latarnie — i grób kopią.)

PREZES.

Rozchodźmy się ze schadzki — drugiej nie naznaczam.

PODCHORĄŻY.

Starcze! umiesz korzystać z losu błyskawicy?
Z marnego przerażenia? Lecz ja nie rospaczam!
Każdy z osobna Cara osądzi zbrodniarza —
Rozłam myśli na głosów pojedyncze wota,
A zobaczymy — zapał, trwoga li przeważa?

PREZES.

Niech tak będzie — przeważy staropolska cnota
Czemże będziem głosować? —

KSIĄDZ.

Radzi sługa boży,

Kto jest za śmiercią Cara, rzuci na stół kulę,
Kto za uniewinnieniem, niechaj grosz położy —
Ten grosz znajdzie się zawsze w ubogich szkatule —
(Rzuca pieniądz — za nim Prezes pieniądz kładzie, potem spiskowi kolejno rzucają z brzękiem kule lub pieniądze.)

PIERWSZY ZE SPISKOWYCH.

Za Prezesa przykładem niechaj grosz utracę.

INNY.

Nie mam grosza przy duszy, a więc kulę kładę.
Niech żyje wolność!

INNY.

A ja grosza nie zapłacę
Za Cara życie —

INNY.

Może kupujemy zdradę?
Niech z grosiwa nasz Prezes zda sprawę; czas przyjdzie.

PIERWSZY ZE SPISKOWYCH, do ludzi kopiących grób.

Wy, co tam grób kopiecie chodźcie, rzecz tu idzie
O to: czy grosz czy kulę rzucić.

KOPIĄCY GRÓB.

Wiemy! Wiemy!
My dla głuchego człowieka mogiłę kopiemy,
Lecz sami z łaski Boga nie głuszce.

PIERWSZY ZE SPISKOWYCH.

Grosz dali!
Widać że się w grabarzy nie chcą pisać cechu —
Lękają się by Carom grobu nie kopali.
Obaczymyż, z którego wiatr powieje miechu,
I pogra na organach?

(Wszyscy koleją przeszli. — Prezes liczy.)

PREZES.

Świecić mi pochodnią —
Dzięki ci Boże! tylko pięć głosów za zbrodnią.

PODCHORĄŻY.

Więc Car zginie —

PREZES.

Młodzieńcze! pięć kul tylko padło —
Stu pięćdziesięciu przeciw zbrodni głosowało —

PODCHORĄŻY.

Jakże mi nagle w oczach życie moje zbladło!
Na jedną kartę przyszłość postawiłem całą,
I nic. — Olbrzymi spadli ze szczudeł — to karły!
Ludzie, wartoby przejrzeć wszystkich trumien wieka,
Czy w każdej leży człowiek przed wiekiem umarły?
Czy z której trumny nie wstał ten szkielet człowieka.

(Do Prezesa.)

Starcze! gdy w twoje myśli zaglądam zgrzybiałe,
Widzę żeś ty się w inne urodził stulecie —
Po co ta maska? Ciebie nikt nie zna na świecie.

PREZES.

Wszak maski nie włożyłem na me włosy białe.

PODCHORĄŻY.

Wiecznie śpiewasz to samo — hymn starości piejesz;
Jako bakałasz szkolny w duszę dzieci siejesz
Naukę, aby wstali przed zbielałym włosem. —
Pamiętaj, że są ludzie tknięci nieszczęść ciosem,
Ludzie z bijącem sercem, i z duszą płomienną,
Których włosy zbielały w jedną noc bezsenną;
Więc ich uszanuj — wstań przed nimi stare dziecię! —

(Do spiskowych.)

A wam wszystkim śmiem długie przepowiedzieć życie,
Boście umieli wybrać gwiazdę przewodnika.
Idźcie za srebrną głową w noc niewoli czarną —
We mnie wszystka nadzieja upada i znika;
Boście z tłumu wysiani jak największe ziarno.
A tak mali jesteście — — idźcie! gardzę wami!
Kto nie śmiał się poświęcić, może zdradę knuje?
Więc na znak wzgardy, ludziom okrytym maskami
Rzucam pod nogi życie moje — i daruję —

(Zrywa maskę z twarzy.)

SPISKOWI.

To Kordjan! Kordjan! nie znasz nas Kordjanie! —
Nie ma tu zdrajcy! nie ma! Patrzaj w nasze twarze.

(Wszyscy zrywają maski. — Kordjan rzuca wzrok do koła, zamyśla się — i potem wznosząc głowę, mówi zwolna.)

KORDJAN.

Pośród szlachetnych, Kordjan zwycięzcą zostanie.

Wy oblicza, on myśli i serca pokaże.
Kordjan ma wartę w zamku tej nocy — słyszycie?
Kordjan ma wartę w zamku — w nocy —

(Zbliża się do stołu; na kawałku papieru pisze słów kilka i rzuca je spiskowym.)

PIERWSZY ZE SPISKOWYCH, czyta.

Narodowi
Zapisuję co mogę. — Krew moją i życie
I tron do rozrządzenia próżny.

KORDJAN, opiera się o ołtarz i patrzy z obłąkaniem na milczących spiskowych — potem macha ręką i mówi; —

Precz spiskowi!

(Rozchodzą się wszyscy w milczeniu. — Kordjan stoi oparty o ołtarz, pogrążony w myślach. — Dwaj grabarze zakopali ciało i zostawiwszy na mogile palące się latarnie, odchodzą. — Prezes sądu sam zostaje i klęka u stopni ołtarza za stojącym Kordjanem.)

PREZES.

Kordjanie!

KORDJAN, obraca się i mówi z obłąkaniem coraz wzrastającem.

Któż mię budzi? czy godzina biła?
Przychodzę do pamięci — latarnie — mogiła —
Jesteś jednym z grabarzy i żądasz zapłaty?
Ha — oto masz z Najświętszą Panną dwa dukaty,
Które mi dała matka, błogosławiąc syna.
Musisz mieć dzieci? słuchaj! niech twoja rodzina
Westchnie za mną do Boga.

PREZES.

Oh! ja nie mam dzieci!

KORDJAN.

Nie masz? a włos twój biały jako srebro świeci!
Ty nic za twoje życie nie odpłacił Bogu.

PREZES.

Kordjanie! oto klęczę na ołtarza progu,
Lecz nie przed Bogiem klęczę, Kordjanie, przed tobą.
Jam cię na śmierć poświęcił, teraz walczę z sobą,
Z sumieniem — jam sąd zmroził sumieniem —

KORDJAN.

Ha! stary!
Kładziesz zbrodnię na zbrodnię: klękłeś przed zbrodniarzem.
Chodź ze mną, zajrzym w księgi i światu wykażem

Że Polska cała żadnej nie godna ofiary,
Że ja będę zbrodniarzem —

PREZES.

Na Boga, Kordjanie!
Ty masz gorączkę, w oczach dziwne obłąkanie —

KORDJAN.

To nic starcze. — To włos mi siwieje i boli —
Włos każdy cierpi — czuję zgon każdego włosa —
To nic. — Na grobie wsadzisz dwie różczki topoli,
I różę. — Potem spadnie łez rzęsistych rosa,
To mi włosy ożyją. — Masz pióro przy sobie?
Chciałbym spisać imiona płaczących nademną. —
Ojciec w grobie — i matka w grobie — krewni w grobie —
Ona — jak w grobie. — Więc nikt po mnie! wszyscy ze mną!
A szubienica będzie pomnikiem grobowym —

PREZES.

Kordjanie! oto pismo króreś dał spiskowym,
Schowaj je, spal, bądź wolnym od przyrzeczeń słowa.

KORDJAN.

Raz, dwa, trzy — broń na ramię! warta pałacowa —
Czujność — Głupie wyrazy, stąpać jak nakażą?
Starcze, nudzisz mię! nudzisz nieruchomą twarzą;
Nie będę mógł zapomnieć, że starym nie będę.
Jeśli cię kiedy z kołem mych dzieci obsiędę,
Pluń mi na siwe włosy.

(Zegar na wieży bije jedynastą.)

To z nieba wołanie.

(Wybiega. Prezes za nim wyciąga ręce.)

PREZES.

Kordjanie — stój! Na Boga zaklinam — Kordjanie!

(Wychodzi za nim.)

SCENA II.

(Sala, tak nazwana koncertowa w zamku królewskim, oświecona lampą — w około kolumny z marmuru, ściany zamalowane arabeskami. — Widać przez drzwi otwarte na przestrzał, ciąg długi ciemnych pokoi; w około błyska słabe światło sypialnej komnaty Carn. Kordjan, oparty na bagnecie karabinu. Różne widma.)

KORDJAN, idąc naprzód z karabinem.

Puszczajcie mię! puszczajcie! jam Carów morderca!
Idę zabijać — ktoś mię za włos trzyma!

PRZYWIDZENIE.

Słuchaj! ja mówię oczyma.

STRACH.

Słuchaj! mówię biciem serca.

KORDJAN.

Nikogo nie ma —
Ktoś gada —

PRZYWIDZENIE.

Nie patrz na mnie, lecz patrzaj gdzie ja palcem wskażę.

KORDJAN.

Palca twego nie widzę, lecz mój wzrok upada
Tam, gdzie wskazujesz palcem. Widzę jakieś twarze —
To arabeski, ścienne malowidła —

STRACH.

Przekonaj się! wpatrzaj się w ściany,
Ściana gadem się rusza — przebrzydła —
Każdy wąż — złota ogniem nalany,
Pierścieniami rozwija się z muru.
Kolumny potrząsają węży zwitych grzywą;
Sfinksy straszliwe,
Spełzy z marmuru —
Sfinksy płaczą jak dzieci — węże jak wiatr świszczą.
Nie nastąp na nie — patrzaj — wiją się i błyszczą.

PRZYWIDZENIE.

Jako motyl płocha, powiewna,
Odleciała od ściany dziewica;
Może jakaś zaklęta królewna?
Królewna — lub czarnoksiężnica?
Przypomnij! widziałeś jej lica,
Przypomnij! do kogoś podobna,
Przypomnij!
Tamta była posępna i patrzała skromniej;
U tej szata gwiazdami ozdobna —
To gwiazdy prawdziwe — to światy,
Błyszczą na szafirze szaty —
Jest to pasterka z gwiazd sioła,
Kosz na głowie, w koszu kwiaty —
I twarz anioła —

STRACH.

Lecz patrzaj na oczy! nieruchome oczy!
Gdzie się obrócisz patrzą za tobą.

PRZYWIDZENIE.

Czy czujesz woń jej warkoczy?

STRACH.

Rozgniotłeś węża pod sobą —
Pękła żmija.

KORDJAN.

Jezus Marya!!!

(Przeciera oczy.)

Sen zniknął. — Naprzód! naprzód z bagnetem — w pierś Cara!

(Wchodzi do następującej sali — zupełnie ciemnej. Na lewo drzwi otwarte do gabinetu konferencyjnego. Pokój ten w kształcie wyzłoconego jaja zupełnie księżycem oświecony. W środku stoi trójnóg sztucznie ze złota urobiony — a na nim leży carska korona.)

OBIE WŁADZE.

Stój —

KORDJAN.

Puśćcie! Boska cięży na mnie kara! —

OBIE WŁADZE.

Słuchaj! szum głuchy z milczeniem się bije,
Jak gdyby wicher wleciał w komnat szyje.
Niby szum suchego drzewa,
Niby ulewa
Grzmi o dachu pałacu — grzmi — a księżyc świeci!

KORDJAN, patrząc do gabinetu konferencyjnego.

Ta komnata srebrnego napiła się blasku,
Trójnóg złoty — korona leży na trójnogu;
Jest to korona Carów dzisiaj — lecz o brzasku
Ta korona należeć będzie tylko — Bogu —
Idźmy —! Nie mogę oczu odjąć od korony.

PRZYWIDZENIE.

Patrz dłużej — krew z niej kapie, a pod nią schylony
Człowiek, czarny jak smoła,
Zajęty pracą —

STRACH.

Dwa rogi wytrysły mu z czoła,
Oczy jak żar — bez powiek —
Skąd on? i na co?

KORDJAN.

Skąd? i na co ten człowiek?

WIDMO.

Koronę nosił Car:
Krew Piotrów, krew Iwana
Leje się z niej jak z czar;
Podłogę polską czyszczę,
Bo krwią carów zwalana;
Ale śladu nie zniszczę,
Chyba za drugi wiek!

KORDJAN.

Jeśli nie zmyjesz wodą z polskich rzek,
Przyniosę krwi — podłogę całą
Wymyjemy, będzie białą
Jak twarz trupa.

(Po chwili.)

Jeszcze jedną komnatę przejść trzeba.

(Wchodzi do sali tronowej.

Ciemno — i czarne okna — żadnej gwiazdy z nieba —
Tam wiedzie droga — nakształt ognistego słupa,
Lampa strzeże Cesarza, oświeca mu łoże,
I leje światło na posadzki szkliste,
Jak księżyc po wód jeziorze,
Chwyta łódź moją, w kręgi ogniste —
Płynę zawrotem głowy — któż poda podnięty?

PRZYWIDZENIE.

Twój bagnet łysnął — płomienne bagnety
Zleciały się w powietrzu i z ostrzem się zbiegły —
Jak rybki, gdy w krysztale kruszynę spostrzegły —
Zleciały się i stal szczypią —
I palą.
W powietrze uderzasz stalą,
Z powietrza jak iskry się sypią.
Czekaj aż się ul cały płomyków wyroi —

STRACH.

Nie patrz tylko za siebie — bo tam u podwoi —

(Kordjan obraca się.)

PRZYWIDZENIE.

Dwie z malakitu wazy, w nich dwa drzewa rosną,
Zimą i wiosną.
Patrz — liście z ludzkich uszu, z oczu ludzkich kwiaty
I zwykły nasionami języków się plemić,
Lecz Cesarz rwie nasiona, by drzewa oniemić —
Więc jak nieme hajduki, przy wejściu komnaty
Patrzą kwiatem — liściem słyszą;
A wszystko z grobową ciszą,
W grubiejący pień się wlewa —

KORDJAN.

Widzą i słyszą! drzewa —

STRACH.

Nie zaglądaj przez okna, na ciemną ulicę!

(Kordjan patrzy przez okno.)

PRZYWIDZENIE.

Z kościoła aż do zamku orszak zmarłych długi;
Niosą żółte gromnice,
Wiele trupów — jeden, drugi,
Setny — nie przeliczysz więcej —
Tysiąc tysięcy —
Berła — korony — szaty królewskie.
Z gromnic dymy niebieskie,
Mglą trupom twarze kościane.
A trumien ile trupów! — każdy niesie trumnę —
Rzucają pod zamku ścianę,
Budują wschodów kolumnę,
Wysoko jak stogi gumien —
Trumny się kruszą,
Lecz tyle trumien!
Wejść muszą.

KORDJAN.

Gdzie idą?

PRZYWIDZENIE.

Tu.

KORDJAN.

Czy Cara trumnami uduszą?

PRZYWIDZENIE.

Ciszej! patrz — jakieś staszydło,

Z ognistą twarzą, wyszło z sypialnej komnaty
Nie słychać kroku jego; choć posadzek kraty
Rozstępują się — łamią pod nogą obrzydłą.

STRACH.

Czuć krew! wyszedł z tamtej komnaty —
Tam śpi Cesarz w łożu białem —
Ten człowiek stamtąd wyszedł —

PRZYWIDZENIE.

Widziałeś?

KORDJAN.

Widziałem?

STRACH.

Co on tam robił?

KORDJAN.

Co on tam robił?

DJABEŁ.

Zdławiłem Cara i byłbym go dobił,
Lecz tak we śnie do ojca mojego podobny!

PRZYWIDZENIE.

Słyszysz dzwonów jęk żałobny —
Po całem mieście i na wszystkie strony! —

KORDJAN, z przerażeniem.

Słyszę — dzwony —!

PRZYWIDZENIE.

Błysk w szybach sali —
Po trumnach wszedł trup, i stoi cichy w oknie;
Gromnicą szyby pali.
Wiatr zrywa mu płaszcz — a robak w każdem włoknie
Jak nić biała —
Gdzie oczu blask, tam świeci kość spruchniała.
To trupów kat — wykona co uchwalą —
Patrz w okno bije — rozbija —

KORDJAN.

Jezus! Marya!

PRZYWIDZENIE.

Zniknął — trumny się walą
Jak grom.

STRACH.

Wracaj! tu czarta dom —

KORDJAN.

Pójdę mimo djabłów głosy,
Abym się we krwi ochłodził.
Tłum jakiś drogę zagrodził —
Przejść nie można — jak przez kłosy
Trzeba deptać — nie rostrące.
Widma blade i miczące,
Jak stooki strażnik pawi,
Zaglądają w tamte drzwi
Gdzie śpi Cesarz — czy ciekawi
Jaka barwa carskiej krwi?
Ha — mówcie — czy się nie budzi —
Pożarłbym teraz mowę stu tysięcy ludzi —
Jak w grobie głucho —

(Słychać dzwon na jutrznią.)

Ktoś mi przez ucho
Do mózgu sztylet wbija —
Jezus Marya!

(Wymawiając ostatnie słowo, pada bez czucia krzyżem na bagnecie, u drzwi sypialnego Cara pokoju.)

CAR.

(Car wychodzi z sypialnego pokoju, z lampą nocną w ręku.)

Słyszałem jakiś huk, i czułem we snów burzy,
Jakky mię kto za gardło cisnął szarfą.
Czułem, co niegdyś ojciec mój, lecz czułem dłużej.
Czyż zawsze sen ma być sumienia harfą,
Po której grają wichry strachu? —
Idźmy — — Lecz nie znam dróg, zabłądzę w gmachu.

(Chce iść i potyka się o leżącego Kordjana.)

Cóż to? co to znaczy — tu trup jakiś leży —
Z bagnetem w ręku, mundur polskich ma żołnierzy,
Ze szkoły podchorążych. Pewnie stał na warcie
I szedł do mnie zabijać? — Padł na samym progu —
Wszak brat mi za nich ręczył? Kusicielu! czarcie!
Nie natrącaj mi na myśl brata — w każdym wrogu
Pokazujesz mi brata — — Nie, to być nie może —
O, gdyby wstał ten człowiek i przemówił słowo! —

Ciepły. — Wstań! mów! bo szablą gardło ci otworzę.
Mów, czy to brat ci kazał?

(Szpadą rani w rękę Kordjana, który oczy otwiera.)

KORDJAN. z obłąkaniem.)

Z pochodnią grobową
Trupy w oknie.

CAR.

Przemówił. — Otwórz jeszcze usta,
Wymów brat? — słowo krótkie — brat?

KORDJAN.

Blady jak chusta —
Car śpi — Jezus Marya! — świat zaczął pobielać. —

CAR.

Nic z niego się nie dowiem, ni z ust, ani z twarzy —
O! to brat — brat mój pewnie —

(Woła.)

Straży! moja straży!

(Wbiegają żołnierze. — Car pokazuje na Kordjana.

Jeśli nie zwarjował ten żołnierz — rozstrzelać. —

SCENA I.

SZPITAL WARJATÓW.

(Widać klatki w których siedzą łańcuchami powiązani warjaci; niektórzy chodzą wolno. — Kordjan leży na łóżku w gorączce. Dozorca szpitalu. — Doktor obcy.)

DOZORCA, do doktora.

Waćpan przyszedłeś zwiedzić szpital warjatów?

DOKTOR.

Oto jest pozwolenie.

(Daje dukata.)

DOZORCA.

Z podpisem dukatów —
Wolno Panu gdzie zechcesz zazierać do klatek,
Tu warjaci, a dalej tam sala warjatek —
Cały szpital rozłożę jak zegar po sztuce —
Pan zapewne w medycznej ćwiczysz się nauce?

DOKTOR.

Tak.

DOZORCA.

Jakież systemata pan doktor zachwala?

DOKTOR.

Macanie głów —

DOZORCA.

Rozumię — to systemat Galla.

DOKTOR.

Tak.

DOZORCA.

Ciekawość mię bierze czy się pan przekona
Z głów, która tutaj głowa najostrzej szalona?

DOKTOR.

O! ja odgadnę z twarzy sądem Lawatera.

(Wskazując na Kordjana.)

Ot — ta —

DOZORCA.

Wzrok Eskulapa nie dobrze przeziera —
Ten młodzieniec wszedł tutaj, bo Cesarz osądził
Że musi być szalony — lecz Cesarz pobłądził.
Ten młody ma gorączkę, lecz rozsądek zdrowy.
Zdrowszy niż twój doktorze, niż mój nawet —

DOKTOR.

Nawet?

DOZORCA.

Ha! obraziłem ciebie paluszku Gallowy!
Chciałbyś mi ostrem słówkiem odpalić wet za wet;
I abyś dowiódł że ten młody pstro ma w głowie,
Może dowiedziesz żem ja szalony?

DOKTOR.

Któż to wie? —
Pozwól mi Pan zapalić cygaro hawańskie —

DOZORCA.

Nie mam ognia.

(Rzucając dukat.)

Do krocset dukat dłoń mi piecze.

DOKTOR, podejmuje dukat i zapala przy nim cygaro — potem go oddaje dozorcy. —

Dziękuję.

DOZORCA.

O! na Boga to sztuki szatańskie!

DOKTOR.

Tak ci się to wydało rozumny człowiecze —
Patrz, dukat zimny jak lód, pali bo czerwony.

DOZORCA.

Czy mi się zdało? czym ja doprawdy szalony?
Niech mię Najświętsza Panna w swej opiece trzyma!

DOKTOR.

Nie patrz nigdy na dukat rozsądku oczyma;
Dukat jest elementem, żywiołem —

DOZORCA.

Prawdziwie
Odejść muszę — gdy słucham, rozum sobie krzywię.

(Dozorca odchodzi.)

DOKTOR.

Wypędziłem go przecie — jutro oszaleje,
Myśląc o tym dukacie — teraz mam nadzieję,
Że sam na sam z szalonym pogadam młodzieńcem.

(Siada na łóżku Kordjana.)

KORDJAN.

Ktoś ty jest? brat mój? krewny?

DOKTOR.

Jestem zapaleńcem.

KORDJAN.

Musiałeś się więc chyba urodzić dziś rano?
Wszyscy dotąd mówili żem jeden na świecie.

DOKTOR.

Ciebie znali, mnie jeszcze dotąd nie poznano,
Siedziałem sobie cicho zamknięty w sztylecie.

KORDJAN.

Daj mi pić — mam gorączkę — słów twych nie rozumię.

DOKTOR.

Natęż uwagę — jasno tłomaczyć się umię,
Ale natęż uwagę mocno! mocno! mocno!

KORDJAN.

Natężyłem — Znam ciebie —

DOKTOR.

W godzinę północną
Wychodziłem z sypialnej Cesarza komnaty.

KORDJAN.

Cóż tam robiłeś?

DOKTOR.

Ha! nic, polewałem kwiaty. —

KORDJAN.

Co? owe drzewa pełne uszu, bez języków? —

DOKTOR.

Tak, to klony — a inne rosną w liść krzyżyków
Jak gwoździki maltańskie; inne jako trzciny,
Pełne kolan i puste, a Cesarza syny
Na pustych kolankowych trzcinach grać się uczą.

KORDJAN.

Czemu twoje wyrazy tak brzęczą i huczą?
Gadaj ciszej — czy jakiej nie umiesz modlitwy?

DOKTOR.

Umię jedną, co ludzi popycha do bitwy.

KORDJAN.

Nie chcę — za głośna będzie, a może bezbożna?

DOKTOR.

To modlitwa turecka, jak księżyc dwurożna,
Jednym rogiem zabija wroga, drugim siebie.

KORDJAN.

Wszak potrzeba bić wrogów?

DOKTOR.

Wiem o tej potrzebie —
Naród ginie, dla czego? aby wieszcz narodu
Miał treść do poematu, a wieszcz rym odlewał;
Aby nieliczną iskrę ognia, pośród lodu,
Z pieśni wygrzebał anioł i w niebie zaśpiewał.
Widzisz jak cenię wieszczów gromowładne plemię.

KORDJAN.

Nie — to nie tak — inaczej idź z nieba na ziemię.

DOKTOR.

Rozumię. Hymn anioła w wieszcza się przelewa,
Zaśpiewał — naród ginie, bo poeta śpiewa.

KORDJAN.

Głupiś! Mów co ze starych testamentów księgi.

DOKTOR.

Kiedy Faraon stanął na szczycie potęgi,
Śniło mu się że siedem wypasionych wołów,
Siedem chudych pożarło.

KORDJAN.

Nie! to nie tak było. —

DOKTOR.

Ale tak jest, zapytaj potomka Mogołów. —

KORDJAN.

Mów o czem innem, pismo święte mię zabiło.
Czy nie jesteś botanik? —

DOKTOR.

Żądam tajemnicy,
A powiem ci, żem wcale nowe odkrył ziele;
Rośnie na mojem oknie, w rycerskiej przyłbicy,
Posiane w stu miast dawnych ostygłym popiele.
Wkrótce jak się spodziewam, wyda pączek liczny,
Jak myśli milionów — a potem kwiat śliczny,
Czerwony, jak krew ludzi, a potem nasienie
W strąkach wielkich zawarte, które pękną z trzaskiem
Jak miliony armat. — Wpadasz w zachwycenie?
Oczy twe poetycznym zapłonęły blaskiem.

KORDJAN.

Czy ta roślina kwitnie? pleni się? —

DOKTOR.

Już wschodzi.

KORDJAN.

Wschodzi dopiero?

DOKTOR.

Tak jest, a że mróz jej szkodzi,
Więc ją do czasu garnkiem przykryłem kuchennym.

KORJDAN.

Dręczysz mię — nudzisz — łamiesz — gryziesz — jestem sennym —
Gadaj mi — nie o kwiatach.

DOKTOR.

Trzy są elementa,
Które składają rozum, trzy wielkie myślniki.
Przez nie wytłómaczona jasno Trójca święta.
Myślnik jedność, urodził wielości liczniki —
Z nieskończoności starszej określność wypływa;
A związek między niemi — myśl, co porównywa,
Jest trzecim elementem — z trzech Trójca się składa —
Bez wyobrażeń liczby wnet jedność upada;
Bez określności bytu nieskończoność niknie.
Więc jedna równa drugiej jak Ojciec Synowi,
Względność ich dała życie świętemu Duchowi,
A wszystkie trzy ideje są Trójcą — rozumem.

KORDJAN.

Napełniłeś mi uszy Oceanu szumem —
Mam gorączkę — — Człowieku, co prawisz u kata!

DOKTOR.

Wyleczę ciebie. — Teraz o stworzeniu świata,
Czy o stworzeniu ludów. Świat przed ludźmi ginie —
Ziemia, to orzech w chmurnej zawarty łupinie.
Bóg przez sześć dni wiekowych stwarzał ziemskie ludy:
W pierwszym dniu stworzył państwo modlące się Judy.
To była ziemia — na niej wyrosły narody.
W drugim dniu porozlewał wschodnich ludów wody,
W trzecim, jak drzewa, greckie wyrosły plemiona;
W czwartym dniu zaświeciło z gór Sokrata słońce:
W piątym wzleciały orłów rzymiańskich znamiona —
To były ptaki — a na dnia piątego końce
Padła noc wieków średnich, długa, zachmurzona —
W szóstym człowieka zlepił Bóg — Napoleona.
Dziś dzień siódmy — Bóg rękę na rękę założył,
Odpoczywa po pracy, nikogo nie stworzył.

KORDJAN.

Łżesz podły! Każdy człowiek, który się poświęca
Za wolność, jest człowiekiem, nowym Boga tworem.

DOKTOR.

Ha! ha! wolność garncarskie koło dziś pokręca!
Dobrze mówisz, że koło nowym idzie torem,
Wyda gliniany garnek.

KORDJAN.

Wyda wielkich ludzi! — —

DOKTOR.

Widzisz jak ci się płomień gorączkowy studzi,
Gadasz wcale do rzeczy — —

KORDJAN.

Słuchaj! Powiedz szczerze,
Czy nie widziałeś nigdy człowieka, anioła,
Co swe cierpienia ludom przynosi w ofierze,
I gromom spadającym wystawia cel czoła,
I śmierć za Zbawiciela ponosi przykładem —
Za lud cierpiąc?

DOKTOR.

Ten człowiek szedł tu moim śladem.
Zawołam go.

(Woła dwóch warjatów: jeden z nich trzyma rozkrzyżowane ręce, drugi jedną rękę podniesioną ma do góry.)

Dwóch widzisz — za lud cierpią oba —
A jak cierpią, powiedzą, abyś sam ocenił.

(Do warjata z rozkrzyżowanemi rękoma.)

Bracie! powiedz mi, coś ty za wielka osoba?

PIERWSZY WARJAT.

Jam nie osoba, jam się dawno w krzyż zamienił.
Ja byłem krzyżem w Chrystusa męce,
Do mnie zmarłego przybili;
A jam go zamiast ćwieków unosił za ręce,
Jak małe dziecię, gdy kwili,
Jestem krzyżem — — Gdy papież daje krzyża drzewo,

Nie wierzcie! Ja mam nogi, rękę prawą, lewą;
Nic ze mnie nie ubyło, niech kto części liczy.

(Smutnie mówi, odchodząc.)

Boże! odwróć odemnie ten kielich goryczy!

DOKTOR, do Kordjana.

Widzisz, on się poświęcił za lud.

KORDJAN.

I zwarjował! —

DOKTOR, do warjata z podniesioną ręką.

A ty, czemuś tak rękę w niebo wygórował?

DRUGI WARJAT.

Ciszej mów! bo ja nieba sufit lazurowy
Trzymając na tej dłoni, zasłaniam świat cały.
Niebo, słońce, księżyc biały,
Chcą upaść ludziom na głowy;
Lecz ja stoję pod nieba nachylonym stropem,
Znużony, tęskny, bezsenny.
Módlcie się do mnie, jam zbawca codzienny,
Zasłaniam ludy przed nieba potopem —
Śpijcie ludy! dobrej nocy!

(Odchodzi.)

DOKTOR.

A cóż? to wielki człowiek! za lud się poświęcił!

KORDJAN.

Także warjat —

DOKTOR.

Bluźnierstwa rzucasz z ustnej procy!

KORDJAN.

To warjaty są oba! I tyś sam mózg skręcił.

DOKTOR.

A cóż? wiesz że nie jesteś jak ci obłąkani?
Ty chciałeś zabić widmo, poświęcić się za nic.
O! złota rybko w kryształowej bani,
Tłucz się o twarde brzegi niewidzianych granic;
Mały kryształ powietrza, w którym pluszczesz skrzelą,
Jest wszystkiem, a świat cały nicości topielą.

KORDJAN.

Myślę.

DOKTOR.

Więc świat jest myślą twoją.

KORDJAN.

Cierpię.

DOKTOR.

Nie myśl.

KORDJAN.

Nie mogę —

DOKTOR.

Możesz — sposób niemyślenia przemyśl,
Oszalej: będziesz świętym w Stambule.

KORDJAN.

Szatanie!
Przyszedłeś tu zabijać duszy mojej duszę;
Ostatni skarb wydzierasz, własne przekonanie —
Ostatni promień gasisz.

DOKTOR

Glinę boską kruszę —

KORDJAN.

Niechaj Bóg litościwy wyrwie z twej paszczęki.
(Wielki Książę Konstanty wpada z żołnierzami i wskazuje na Kordjana.)

WIELKI KSIĄŻĘ.

Wziąść go, prowadzić zaraz na śmierć i na męki!

KORDJAN.

To głos ludzi, o Boże! raczyłeś mię przecie
Choć śmiercią wyswobodzić od tego człowieka. —
(Pokazuje na miejsce, z którego doktor zniknął.)
Gdzież on! gdzież on?

WIELKI KSIĄŻĘ.

Skoro go w mundur ubierzzecie,
Prowadzić go na plac Saski. —
(Wychodzi.)

KORDJAN.

Gdzież on?

ŻOŁNIERZ.

Książę czeka.

SCENA VII.

PLAC SASKI.

(Wojsko polskie jeszcze nie ustawione — w jednej stronie placu widać grono jenerałów, pośród nich Car. — Wielki Książę Konstanty niecierpliwy, przechadza się. Zdala na około placu lud warszawski.)

CHÓR.

Tysiące żołnierzy, bagnetów tysiące,
Obwisłe sztandary, bagnety nie drżące —
Cicho jak w ostatni sąd.

WIELKI KSIĄŻĘ, komenderując.

Do frontu! równać front!

CHÓR.

W jeden rząd długi, prosty piechota się zwarła.
Gdybyś o cal z szeregu wykazał pierś Cara,
A z drugiej strony szyku miał Tella Szwajcara —
Strzała by się o każdą pierś polską otarła,
I nie raziwszy żadnej, zbiła jabłko carskie.

WIELKI KSIĄŻĘ.

Grać!

CHÓR.

I zagrzmiały muzyki janczarskie,
Ucichły znowu — dają głos carowi.

CAR, do żołnierzy.

Zdrowiście dzieci?

CHÓR ŻOŁNIERZY.

Z łaski Boga zdrowi.

CHÓR.

Co powiedzieli gwarem, Bóg tylko zrozumie,
Jak modlitwę rozbitą w morza głuchym szumie.

(Sześciu żołnierzy przyprowadza bladego Kordjana. Stawiają go przed Carem. — Wielki Książę przybiega z wściekłością.

WIELKI KSIĄŻĘ, do Kordjana, pieniąc się.)

Ha! psie polski! przyszedłeś? Czemuś taki blady?
Przewidziałeś co czeka? Kacie! Roskolniku —
Ty nosisz szlify? Precz! precz! precz! Rozciskam gady.
Rzucę cię pod kopyta trójrzędnego szyku,
Albo tu zwalę w piasek — i moją ostrogą

Napiszę «wor» na czole. Car ciebie darował
Ziemście mojej. Car ciebie sam w grobie pochwował!
Z książęcej dłoni djabły wydobyć nie mogą!

CAR, na stronie.

Myśli że mię oszuka!

WIELKI KSIĄŻĘ.

Dać tu cztery konie.
Ha, ty psie! masz gorączkę, ale ciało zdrowe?
Każdy z członków zostawisz na końskim ogonie,
A koń mój najsilniejszy zerwie z karku głowę.
Milczysz! — Ha! ja się wściekną — ten pies ciągle milczy!

(Uderza kułakiem w pierś Kordjana.)

Słuchaj, do twego ciała głód uczułem wilczy,
Kąsałbym.

(Zgrzyta zębami.)

Ha! ha! Carze, lubisz konne sztuki?
Pokażę ci ogromny skok. — Znieść karabiny,
Ustawić w piramidę, poczepiać za kruki,
Ostrzem do góry — związać, jak snopy, jak trzciny.

(Żołnierze ustawili piramidę z karabinów.

Teraz psie! siadaj na koń — i leć z nim do djabła.
Ty milczysz — co? Na widok dusza ci osłabła?
Myślisz że się zlituję? — Wszak poświęcam konia,
Konia poświęcam, słyszysz? a ciebie? No! w drogę!
No! ruszaj, ruszaj, ruszaj! Czemuż trąbą słonia
Wziąść ciebie i na kolce zarzucić nie mogę?
Wrzuciłbym.

(Ostygając.)

No, posłuchaj Lachu, wstydem płonę.
Mówiłem o Polakach, że chłopy szalone —
Gotowi z królewskiego zamku w Wisłę skoczyć.

(Z wściekłością.)

Skacz, bo każę cię w lochy Karmelitów wtłoczyć —
Głodem zamorzę, wsadzę pomiędzy szkielety!

(Proszącym tonem.)

No, Lachu! jeśli żywy przeskoczysz bagnety,
To daruję ci życie.

KORDJAN.

Dzięki, Książę! dzięki,

Żeś mi powiedział wszystko — gdyby dar żywota
Można zyskać ruszeniem palca u tej ręki,
To nie ruszyłbym palcem.

WIELKI KSIĄŻĘ.

Boi się hołota!

CAR.

Jeśli o to ci chodzi, ręczę, żeś choć zdrowy,
Jako ptaszek przelecisz nad las bagnetowy,
To kule cię nie miną. — Książę, on się boi!

WIELKI KSIĄŻĘ.

Widzisz! więc Car zaręczył — Zginiesz! — Martwy stoi! —
Żołnierze! kto z was skoczy, dam krzyż świętej Anny,
Świętego Stanisława — jeśli wyjdzie ranny,
Tysiąc złotych dam pensji — tysiąc — dwa tysiące,
Cztery tysiące — — O wy psy! nie psy — zające!
Polaki!

KORDJAN.

Niech mi konia podadzą.

(Siada na konia i odjeżdża w koniec placu.)

WIELKI KSIĄŻĘ, woła Kurutę.

Kuruta!
A gdyby on przeskoczył!

KURUTA.

Ten człowiek wart knuta.

WIELKI KSIĄŻĘ.

Niechaj przeskoczy! Słuchaj, ja chcę, niech przeskoczy!
Car ujrzy jak mój żołnierz nad Moskale lotny.
Patrz! jedzie — zatrzymał się — tam obraca oczy,
Do ludu — tam lud stoi cichy, czarny, błotny!

(Marszczy się jak tygrys.)

Nie lubię tego ludu — patrz! chustkami wieje,
Kapelusze podrzuca — — Kuruta! masz nadzieję?

KURUTA.

Jak Wasza Książęca Mość — —

WIELKI KSIĄŻĘ, gwałtownie.

Patrz, patrz! piasku chmura!
Nie widzę. — Spinaj konia! Ha! przeskoczył.

WOJSKO, krzyczy.

Urra!

LUD. krzyczy zdala.

Żyje!

(Żołnierze przyprowadzają chwiejącego się Kordjana. Książę bierze go w swoje objęcia.)

WIELKI KSIĄŻĘ.

Cóż ci, mój druchu? No! no! chwat młodzieniec!
Nieprawda, koń mój żartki? skacze jak szaleniec?
Musiałeś nie czuć skoku? — Wasza Mość Cesarska
Widziałeś. — Oprowadzić konia, niech wyparska.

(Do Kordjana.)

Ręczę za twoje życie — idź! Tyś chory? senny?
Wziąść go — odnieść do łożka.

(Odprowadzają Kordjana.)

CAR, do jenerałów, tak, że Książę nie słyszy

Złożyć sąd wojenny,
Godził na moje życie. — Rozstrzelać.

WIEKI KSIĄŻĘ. wesoło.

Trębacze!
Niech grają Dąbrowskiego — Książe sam poskacze.

(Parada na placu Saskim.)

SCENA VIII.

(Izba klasztorna, obrócona na więzienie; okno kratowe, stół i łóżko drewniane. Kordjan skazany na śmierć, mówi z księdzem zakonnym. Grzegorz, stary sługa, chodzi po pokoju ze łzami w oczach.)

GRZEGORZ, do siebie.

Ten ksiądz już od godziny dręczy mego pana —
Ot! dajcie mu przed śmiercią pokój! dajcie pokój!
Jaki tam Bóg powiedział: dziecko w więzy okuj?
Nie ma Boga — przystaję do cechu szatana.

KORDJAN.

Grzegorzu, módl się za mnie.

(Grzegorz jak skarcone dziecko pada na kolana i modli się. — Kordjan klęka u stóp księdza — ten błogosławi, i mówi, podnosząc Kordjana.)

KSIĄDZ.

Synu! powstań z prochu
I leć do Roga, ale przebacz światu.
Bóg cię wyrywa z lwiej paszczy i z lochu,
W którym byś uwiądł na kształt mdłego kwiatu —

Teraz, mój synu, przed wieczności drogą
Nie masz co komu przekazać na ziemi?

KORDJAN.

Nic.

KSIĄDZ.

I nikogo na ziemi?

KORDJAN.

Nikogo.

KSIĄDZ.

Nie byliż ludzie przyjaciołmi twemi?

KORDJAN.

Nikt.

KSIĄDZ.

Tyś mi tego nie powiedział grzechu!
Zlituj się nad nim. Boże! Wielki Boże!

KORDJAN.

Nim zimne ciało do grobowca złożę,
Jakiś głos tęskny słyszę w duszy echu!
Pamiątek woła —i śladu na świecie.

KSIĄDZ.

I to grzech, synu. Wy młodzieńcy chcecie,
Schodząc ze świata, ślad wieczny zostawić,
Myślą wypalić, lub mieczem wykrwawić.
Po cóż ta żądza? Ani te opady
Liści uwiędłych chciwa rola zbierze,
Ani pomogą duszy jak pacierze
W ustach przechodnia. — I po cóż te ślady?
Jam cię zasępił — przebacz! bo ja może
Jestem za stary, a ty dziecię wiosen —
Więc nie rozumiem. Słuchaj — przy klasztorze
Jest ciemny ogród, szpalerami sosen
Różnie pocięty — dzisiaj w tym ogrodzie
Zasadzę różę miesięczną i twojem
Nazwę imieniem — by zakwitła w chłodzie,
Posępna, blada —

KORDJAN.

Niech ci pociech zdrojem

Bóg wynagrodzi — i nazwiesz tę różę
Mojem imieniem? I może nie zwiędnie! —

(Ksiądz odchodzi.)

Spłyńcie się teraz w jednej myślnej chmurze
Wszystkie sny marzeń latające błędnie!
I bądźcie ze mną! Niebo! ty mi zapal
Słońce i księżyc i gwiazdy, bo konam!
Bo tam przed ludźmi choćby wbity na pal,
Zamknę cierpienia i bole pokonam;
Lecz tu łez moich duma nie zatrzyma.
O! gdybym wiedział że tak bez powrotu
Ziemię żegnałem — przed chwilą odlotu
Patrzałbym na świat innemi oczyma —
Dłużej, ciekawiej, a może ze łzami —
Bo tam pomiędzy ogrodu kwiatami
Jest pewnie piękny kwiat — a ja go nie znam!
Może dźwięk jaki nowy struna daje,
A jam nie słyszał. — Czegoś mi nie staje!
Ludzi znać nie chcę, lecz niech się obeznam
Z ziemią, piastunką ludzi! — O, ty ziemio!
Byłażeś dla mnie piastunką troskliwą?

(Po chwili ze wzgardą.)

Niech się rojami podli ludzie plemią
I niechaj plwają na matkę nieżywą,
Nie będę z niemi! — Niechaj z ludzkich stadeł
Rodzą się ludziom przeciwne istoty,
I świat nicują na złą stronę cnoty —
Aż świat, jak obraz z przewrotnych zwierciadeł,
Wróci się w łono Boga, niepodobny
Do tworu Boga. — Niechaj tłum ów drobny,
Jak mrówki drobny, ludem siebie wyzna!
Nie będę z niemi! — Niech słowo Ojczyzna
Zmaleje dźwiękiem do trzech liter Cara —
Niechaj w to słowo wsiąknie miłość, wiara,
I cały język ludu w te litery —
Nie będę z niemi! — Niech szubienic drzewa
W ogrodach miejskich rosną jak szpalery;
Niech się w ogrody takie tłum wylewa,

Śmiechem przyjazny, a łzom nienawistny;
Niech niańki w ogród szubienic bezlistny
Prowadzą dziatki, by tam dla zabawy
Grzebały piasek krwią męczeńską rdzawy —
Nie będę z niemi! O zmarli Polacy!
Ja idę do was! Jam jest ów najemny,
Któremu Chrystus nie odmówił płacy,
Chociaż ostatni przyszedł sadzić grono —
A tą zapłatą jest grób cichy, ciemny
Tak wam płacono — —

GRZEGORZ.

Panie! nie mogę skończyć pacierza, co każe
Przebaczyć wrogom. Bóg ich na ziemi ukarze!
Oj, paniczu mój drogi! na cóż tobie było
Ten pistolet przykładać do białego czoła?
Pamiętam w lesie oko miesiączne świeciło,
Szedłem, a ciągle za mną ktoś «Grzegorzu» woła;
Szedłem po lesie — nagle widzę me dzieciątko
Na wrzosach, krew czerwona płynie jak rubiny.

KORDJAN.

Nie wspominaj mi o tem.

GRZEGORZ.

Szatańską pieczątką
Pan naznaczyłeś czoło, giniesz z owej winy.
Widzi pan, człowiek siebie nad brata miłuje.
Gdy Bóg karał Kaima, a on zabił brata,
Więc każdy, co się kulą zabija lub truje — —

(Zatrzymuje się i z rozpaczą.)

Przewidziałem nieszczęście — lecz śmierć z ręki kata!!!
O, o, o! Panie drogi! pociesz mię — mów do mnie!
Pisarzowi napisać każę twoje słowa,
W życiu je stary Grzegorz na piersi przechowa.
Każe je dzieciom w grobie położyć, koło mnie,
Blisko — bo słowa dziecka, to staremu kwiaty.

KORDJAN.

Czy ty masz dzieci?

GRZEGORZ.

Oh! mam syna —

KORDJAN.

Czy żonaty?

(Grzegorz daje znak głową, że tak.)

Więc jeśli się synowi twemu syn narodzi,
To go ochrzcij imieniem mojem, Kordjan —

GRZEGORZ.

Panie!
Będę płakał, wołając na wnuczka: Kordjanie!

KORDJAN.

O! nie, tak nie nazywaj — imię mu zaszkodzi —
Nie nazywaj Kordjanem.

GRZEGORZ.

Paniczu mój drogi!
Nie wydzieraj coś dawał; jam się już oswoił
Z tą myślą, że mój malec, choć nędzarz, ubogi,
Ja go będę nazywał Kordjan — jeśli zbroił,
Ja go nie będę karał. Niech rośnie jak kwiatek
Kordjanek mały! mój Kordjanek! mój bławatek!

(Śmieje się ze łzami w oczach.)

O! panie! panie! czemuż ty go nie zobaczysz!

KORDJAN.

Boże! dziecka za imię ukarać nie raczysz,
Ani mu stworzysz życie, równe memu życiu!
To dziwnie! że jak człowiek tonący w rozbiciu,
Chwytam się każdej słomki — szukam przeżyć siebie.

(Zamyślony.)

Więc gdy mi wezmą życie — a starzec pogrzebie!
Kiedyś — za błędnem dzieckiem, po łąkach, lub w borze,
Głos matki wołać będzie — Kordjan! Kordjan! długo —
Dziecię śmiechem odpowie, nad kwiecistą strugą —
A pośród ciemnych murów, gdzieś w cichym klasztorze,
Róża moja zakwitnie. Ksiądz w czarnym habicie
Pacierze nad nią zmówi. — Więc róża — i dziecię. —

(Oficer wchodzi z księdzem zapłakanym.)

KSIĄDZ.

Synu! —

KORDJAN.

Na jaką idę śmierć —

OFIECER.

Na rozstrzelanie. —

(Grzegorz pada na kolana. Kordjan bierze w obie ręce jego siwą głowę i całując, mówi przerywanym głosem.)

KORDJAN.

Bądź zdrów — mój wierny — ojcze! —

(Odchodzi.)

GRZEGORZ, wyciągając ręce.

Panie! panie!

(Pada na ziemię. — Potem zrywa się i wybiega spiesznie za Kordjanem.)

SCENA IX.

(Pokój w zamku królewskim.)

CAR, sam.

Nudno! Szkoda żem puścił tego szambelana,
Co jak mops na dwóch łapach przedemną tańcował.
Skacz! skacz! skacz! Radbym dostać Mahmuda sułtana,
Aby skakał przedemną. — Będę go częstował
Dymami siarki, prochu, aż w dymie uduszę. —

(Patrzy na ściany.)

Cóż to! Na ścianach gmachu pył spostrzegam brudny?
Tam w końcu, pająk sidła zastawuje musze.
Pył — pył — — ten pył mię bawi, świadczy gmach odludny,
To chwast na grobie wroga. — Polska już ostygła,
Umarła i na wieki jak magnesu igła
Na północ obrócona, w Sybir patrzy mroźny.
Zdala trup tego kraju zdawał mi się groźny,
Marzące o podbojach myśli nieraz zwichnął — —
Przyjechałem — trup zadrżał, nawet się uśmiechnął —
Łez nie widziałem — domy kobiercami kwietne.
Dalej więc. — Europę jak jabłka rozetnę,
A nóż zatruty obie zatruje połowy.
Króle! dajcie mi pokłon koronami z głowy! —
Ha! ha! albom ja wielki? albo świat ten mały?

Albo głupi świat cały? albom ja rozumny?
Część ogromnego kraju Szach mi oddał dumny!
Garść tej ziemi kazałem spłomienić w kryształy,
I kryształowe łoże Szah dostał, i wdzięczny.
O wielki synu słońca! o bracie miesięczny!
Czy ci nie zimno w łożu kryształowem Cara?
Na zachodzie stu-głowna wyrasta poczwara;
Lecz wkrótce w petersburgskiej każę ulać hucie
Łoże drugie z kryształu, dla ludów zachodu;
Miarę na długość wezmę z moskiewskiego rodu,
A który naród dłuższy nad łoża okucie,
Kryształu nie rozciągnę, lud skrócę o głowę.
Ludy! poszlę wam! poszlę łoże kryształowe — —
Któż to? — Brat mój!

(Książę Konstanty wbiega zadyszany.)

Jak się masz, Kostusiu! Co słychać!

WIELKI KSIĄŻĘ.

Wasza Cesarska Mość — niech — —

CAR.

Nie możesz oddychać?
Widać żeś się tu spieszył? Czemuż ci tak spieszno?
Zapewne mi przynosisz jaką wieść pocieszną?

WIELKI KSIĄŻĘ.

Ha — Wasza Cesarska Mość — kazałeś —

CAR.

Mów śmiało —

WIELKI KSIĄŻĘ.

Rostrzelać — ha!

CAR.

Tak mi się bracie podobało —

WIELKI KSIĄŻĘ.

Niech Wasza Cesarska Mość odwoła! Niech raczy
Odwołać wyrok śmierci.

CAR.

Książę, co to znaczy?

WIELKI KSIĄŻĘ.

Proszę Waszej Cesarskiej Mości, niech ten czołowiek

Żyje. Nie traćmy czasu — chwili, mgnienia powiek,
Oto ułaskawienie — pióro — —

CAR.

Pióro moje
Spisałem na wyroku śmierci — przy nim stoję.

WIELKI KSIĄŻĘ.

Wasza Cesarska Mość niech stawi żyda na papierze,
Byle podpis — do krocset — —

CAR.

Bracie, mówmy szczerze!
Chcesz ocalić Kordjana?

WIELKI KSIĄŻĘ.

Chcę! chcę! chcę!

CAR.

I właśnie
Dla tego zginie.

WIELKI KSIĄŻĘ, z zadziwieniem.

Co? co?

CAR.

Bracie! skończmy waśnie —
Spać mi się chce.

(Książę chodzi po sali, widać w nim burzę wściekłości — bierze z kominka porcelanę i rozciska w dłoni.)

WIELKI KSIĄŻĘ.

Dla czegoż Wasza Mość Cesarska
Nie chce tej małej łaski? — Jam ci tron darował — —

CAR.

Bracie, pohamuj wściekłość, co nozdrzami parska.

WIELKI KSIĄŻĘ.

Przebacz, Wasza Cesarska Mość, będę hamował,
Lecz proszę, niech ten człowiek żyje.

CAR.

Tyś morderca,
Jeśli on nie morderca. — Odejdź, bracie miły!
Nie chce mi się zaglądać w brudy twego serca;
Wolałbym dwumiesięczne rozrzucać mogiły.

WIELKI KSIĄŻĘ.

Co? Nie rozumiem — —

CAR.

No! no! idź i bądź spokojny.

WIELKI KSIĄŻĘ.

Bracie, bracie! z tygrysem nie zaczynaj wojny!
Jam ci tron dał, na którym siedzisz — ja przy tronie
Leżę jak lew bronzowy — jeśli ja zawyję?
Jeśli usłyszą ludy, że lew ryczy, żyje?
Ludy przypomną, żem ja winien żyć w koronie,
A ty w stajni, w koszarach musztrować szeregi —

CAR.

Książę! widzę że wina przelałeś nad brzegi.
Co? tyś mi tron darował? Było go wziąść bracie,
Boś ty się w purpurowej urodził komnacie —
Sto dział grzmiało nad twoją złocistą kołyską,
I dano ci greckiego cesarza nazwisko.
Lecz potem matka twoja, żona Pawła cara,
Zbrzydziła cię, wyrodku! Tyś miał nos Tatara;
Zamiast ssać łono, tyś je pokąsał jak szczenię —
Wyrosłeś: — Przyszła matka i rzekła: Tyś głupi,
A tobie powiedziało to samo sumienie.
Rzekła ci: Daj tron bratu! — Rzekłeś! Niech brat kupi —
Więc kupiono u ciebie zrzeczenie się tronu.
Było go wziąść — a co by ci zostało z plonu?
Czy śmiałbyś w oczy matki spojrzeć okiem cara?
A uśmiech jej? — a słowo: tyś głupi? — a czara
Nalana zmarszczonemi rękami twej matki? —

WIELKI KSIĄŻĘ.

Carze! carze! truciznę schowaj na ostatki.
Znałem was dobrze, katów bezczestnych i dumnych!
Was matka nauczyła zabijać słowami.
Dwóch było mądrych, trzeci głupi — rozumnych
Ktoś rzekł: waszego ojca udusim szarfami.
Odpowiedzieli: dobrze. Poszli — udusili —
Pomnisz, Beningsen przyszedł i rzekł: Pawła cara
Udusiliśmy. — Rzekli: Amen. — Więc zabili.
Sami zabili ojca — a na szarfy kara —
Ha! szarfy wyrzucili jak zużyte sprzęty
Za granice moskiewskie, na kraje sąsiadów;

Darowali Europie gniazdo żółtych gadów.
A do lochu rzucili zewłok ojca święty —
Zaledwo ksiądz odszeptał jeden pacierz prędki.
Nie wynieśliście trupa na tron złotolity?
Bo z pod nogi zabójców wyszedł zmięty, zbity,
Podobny do tygrysa z błękitnemi cętki.
Lecz naród krzyczał: syny! wyście nam ukradli
Komedyę pogrzebu, łzy wasze książęce,
I widok miły królów co tak nisko spadli —
Wynieście ciało ojca! całujcie mu ręce!
Bo my chcemy obaczyć jakie to są Cary,
Których można zabijać bez sądu i kary? —
Pamiętasz? jak zduszony kadzideł wyziewy,
Całowałeś tę rękę i całun żałobny —
A potem myłeś usta cała wodą Newy.
O! jak ty jesteś bracie do ojca podobny —!
Patrzeć nie mogę! zmyj twarz! zmyj twarz, podobieństwo!
Bo ja patrzeć nie mogę. — Bo rzucę przekleństwo,
Które aż Bóg usłyszy —

CAR.

To królewska zbrodnia.

WIELKI KSIĄŻĘ.

A wszakże ci sybircy, których karzesz co dnia,
Mogą krzyczeć z kibitek: Carze! z nami razem.
Jedź z nami! bo zabiłeś ojca; niechaj katy
Pocałują cię w czoło czerwonem żelazem —
Lecz ty lud trzymasz głupi, bez żadnej oświaty.
Kilka kłosów z gwardyjskiej wyrosło równiny;
Więc na Turków! — Michale wiedź ich — on nie umie —
Wiesz, czego chce po tobie? — Michał nie rozumie.
Głupcze! krzyknąłeś, podsadź pod szeregi miny,
I wysadź na powietrze! — Brat Michał dwa palce
Do czoła — pokłon niemy — i odszedł — a w miesiąc
Pod gwardją zatopione saletry padalce,
Wybuchnęły jak piorun — aż grunt musiał przesiąc
Krwią ruską. — Car się uśmiał — i rzekł: to pomyłka!
A wiesz Carze? że za to mało knuty! zsyłka!
Katorhi nawet mało! —

CAR.

Bracie! twego serca
Powstydziłby się może najęty moderca.
Przypomnę ci zdarzenie —

WIELKI KSIĄŻE.

Co? jakie?

CAR.

Nie skłamię.
Znałeś?

(Mówi kilka słów do ucha Księciu.)

WIELKI KSIĄŻE.

Carze! milcz! milcz! milcz!

CAR.

Nie! aż cię połamię
Słowami knutowemi — aż czoło wypiekę
Do mózgu myśli twoich.

WIELKI KSIĄŻE.

Carze! ja się wściekę! —
Milcz!

CAR.

Milczeć? — Wszak nie jestem sumieniem książęcia,
Ani pochlebcą płatnym —

WIELKI KSIĄŻE.

Na wszystkie zaklęcia! —
Milcz! —

CAR.

Gdzie się owa piękna angielka podziała?
Lat szesnaście, dziecinna, płocha, jak śnieg biała,
Z błękitnemi oczyma, na balach szczęśliwa,
Na pół smutna, wesoła, mdlejąca i żywa!
Tak nieświadoma uczuć i światowej burzy,
Że mogłaby się kochać sercem w białej róży,
I bronić się kotarą zakrytego łoża
Przed róż kwitnących wzrokiem —

(Książe siada — i trzyma oczy wlepione w ścianę.)

Na nią ręka Boża
Wysypała brylanty wszystkie i gwiazd ognie —
Lekki twór kryształowy złamie się, nie pognie —
Tak właśnie ona —

WIELKI KSIĄŻE.

Ona — widzę ją —

CAR.

W dzień pewny
Przed dom angielki dworska zajeżdża kareta,
Zapraszają lokaje na bal do królewny.
W lekkich szatach niemyślna jak motyl kobieta
Przyjeżdża — wiodą w zamek — nieznane komnaty
Pyta gdzie bal? gdzie światła? gdzie muzyka? kwiaty?
Wszędzie cicho — prowadzą — wiesz gdzie prowadzona?
Nie starłeś jeszcze z czoła śliny którą plwała.
Mściwy — wołasz — żołnierzy wściekłych rota cała
Wali się —

WIELKI KSIĄŻE.

Nie kończ Carze! bo ci język skona!

CAR.

Siedź i słuchaj! wiem koniec zabawnej powieści.
Na piękny żart się zdobył lubownik niewieści
Jak ukryć trupa? Lato — nie włożyć do lodu?
A trzeba skryć przed Carem, przed posłem narodu,
Z którego Książe ukradł człowieka — gdzie schować?
Jeden z przyjaciół Księcia podjął się usługi;
Nie zaniedbał wszelako włosów przemalować,
Twarzy przekształcić — potem jak Pylades drugi
Wziąwszy odzież bogatą, krzyże, tytuł Grafa,
Najął w mieście część domu i zapłacił z góry.
Do pokojów z meblami weszła wielka szafa;
Co było w szafie? nie wiem — odźwiernego córy
Myślały że w niej szaty wieszano dziewicze.
Zamknąwszy drzwi na zamek, zniknął Pylad wierny.
Upływa tydzień — drugi — szmery tajemnicze —
Przez szpary do pokojów zagląda odźwierny,
Nikogo — nagle krzyknął: zaraza! zaraza!
Więc drzwi wywalił — z szafy odbija zelaza:
Okropnego coś razem wszystkie zmysły bije!
W szafie szkielet człowieka topi się i gnije —
Na trupie zapomniany brylant ogniem błyska —
Ten pierścień mówił — i dwa powiedział nazwiska —
Jej i twoje — —

WIELKI KSIĄŻE, budzi się z głębokiego osłupienia — i mówi z wyciem stłumionem, zrywając się z krzesła.

Ha! Carze! Carze! znasz mordercę?
Ja ci muszę te słowa nazad w gardło wdławić!
Połknąłeś tajemnicę i nie możesz strawić?
Pomogę mieczem — ona w sercu? wydrę serce!
Ona w mózgu? więc z mózgiem na ściany rozpryskę!
Czy wiesz? że skoro szpadą z okna tego błysnę
Wnet czterdzieści tysięcy bagnetów poruszę!
Na co? ja ci na gardle siądę i uduszę —
Do szaf zamknę królewskich i wyjdę wesoły.
Na ulicach Warszawy tłum ludu natrafię,
Ha! ha! ha! zapytają — gdzie brat? gdzie Car — w szafie!
Ha! ha! Brata zamknąłem jak miecz kata goły
W pochwę zgnilizny. — Ha! ha! niechaj go rdza toczy!
Niech lud czuje w powietrzu! — A co? drżysz mój bracie!
Wiesz żem silny jak tygrys — wiesz że w tej komnacie
Jesteś sam na sam ze mną — a co? patrz mi w oczy? —

(Car spogląda w oczy brata — i patrzą długo na siebie, jeden drugiego chce wzrokiem przełamać. — Konstanty pierwszy spuszcza oczy — i oddala się. — Car chodzi po sali — uważa każde jego poruszenie i mówi do siebie.)

CAR.

Dobrze! wyszedłem cało — ta moskiewska żmija
Buntu dźwignąć nie mogła — myślą się zabija —
Gdyby zamiast słów, szpady dobył, jużbym nie żył —
Zamyślony — w zmarszczone czoło się uderzył;
Muszę tę myśl uprzedzić. — Konstanty! —

WIELKI KSIĄŻE, odpasuje szpadę i podaje bratu.

Niech Wasza Cesarska Mość tę szpadę weźmie —

CAR.

Brat przeprasza —

(Konstanty stoi milczący, z czołem spuszczonem ku ziemi. Car bierze szpadę jego — potem podpisuje ułaskawienie Kordjana i zatknąwszy je na koniec szpady podaje Księciu, mówiąc.)

Weź je razem ze szpadą.

(Książe schyla głowę — bierze szpadę, potem dzwoni gwałtownie. Adjutant wchodzi — Książe daje mu ułaskawienie.)

WIELKI KSIĄŻE.

Leć na plac Marsowy!
Weź mego konia, zabij w galop — a leć ptakiem —

Zanieś to — Biada! jeśli włos z Kordjana głowy
Spadnie, nim ty dojedziesz. —

(Adjutant wychodzi.)

CAR, ściskając dłoń wściekle.

Mój brat — już Polakiem!

SCENA OSTATNIA.

PLAC MARSOWY.

(Zdala widać Kordjana przed plutonem żołnierzy. Na przodzie sceny lud rozmawia.)

PIERWSZY Z LUDU.

Patrz! teraz kat nad głową łamie lśniącą szpadę.

DRUGI Z LUDU.

Jaki to krzyk? czy krzyknął? —

PIERWSZY Z LUDU.

Nie — usta ma blade
I nic nie mówi ale gdy kat szpadę łamał,
Jakiś starzec padł z jękiem, może stary sługa? —

DRUGI Z LUDU.

Więc mu wzięli szlachetwo.

TRZECI Z LUDU.

Dekret dobrze skłamał!
On jako chłop nie pójdzie do chłopskiego pługa —
Pług po nim orać będzie —

PIERWSZY Z LUDU.

Chcą zawiązać oczy —
Nie pozwolił —

DRUGI Z LUDU.

Oficer wystąpił po przodzie —
Już ma komenderować — coś mi serce tłoczy!
Podnieśli broń do oka —

KRZYK W TŁUMIE.

Stój! Adjutant jedzie!

PIERWSZY Z LUDU.

Oficer go nie widzi — rękę podniósł w górę.

ANHELLI.

STEFANOWI H...

NA

PAMIĄTKĘ SPOTKANIA SIĘ W ZIEMI ŚWIĘTEJ
I POD GORAMI LIBANU.

ROZDZIAŁ I.

Przyszli wygnańce na ziemię sybirską i obrawszy miejsce szerokie, zbudowali dom drewniany, aby zamieszkać razem w zgodzie i w miłości braterskiej! było zaś ich około tysiąca ludzi z różnego stanu.

A rząd dostarczył im niewiast aby się żenili, albowiem dekret mówił że posłani są na zaludnienie.

Przez jakiś czas był pomiędzy nimi wielki porządek i wielki smutek, albowiem nie mogli zapomnieć że są wygnańcami i że już nie zobaczą kraju; chyba Bóg zechce —

A gdy już zbudowali dom i każdy się zajął swoją pracą, oprócz ludzi, którzy chcieli aby je nazywano mądrymi i zostawali w bezczynności mówiąc: oto myślimy o zbawieniu ojczyzny; ujrzeli raz wielką gromadę ptaków czarnych, lecącą z północy.

Za ptakami zaś ukazał się obóz jakoby i tabór i sanie zaprzężone psami i trzoda renów z gałęzistemi rogami i ludzie na łyżwach niosący oszczepy, był to cały lud sybirski.

Na czele zaś szedł król ludu a zarazem ksiądz, ubrany podług zwyczaju w futrach i w koralach; na głowie zaś miał wieniec z węży nieżywych, zamiast korony.

Więc mocarz ów przybliżywszy się do gromady wygnańców, przemówił językiem ich ziemi: «Witajcie!

«Oto ja znałem ojców waszych także nieszczęśliwych i widziałem jak żyli bogobojnie i umierali mówiąc: Ojczyzno! Ojczyzno!

«Więc chcę być przyjacielem waszym, i zrobić przymierze między wami a moim ludem, abyście byli w ziemi gościnnej i w kraju dobrze życzących.

«A z ojców waszych już nie żyje żaden oprócz jednego, który jest już stary i mnie sprzyja; a mieszka stąd daleko w samotnej chacie.

«Jeżeli chcecie aby przyjaciel ojców waszych był przewodnikiem waszym, zostanę z wami i lud mój opuszczę: albowiem wy jesteście nieszczęśliwsi.»

Mówił jeszcze dłużej starzec ów i uszanowali go i zaprosili do swojej szopy.

I zrobiono przymierze z ludem sybirskim, który się rozszedł i zamieszkał w swoich śnieżnych siołach; a król jego został z wygnańcami aby je pocieszał.

I dziwiono się mądrości jego, mówiąc: oto jej zapewne od ojców naszych nabył, a słowa jego są od przodków naszych.

Nazywano go zaś Szamanem, tak albowiem nazywa lud sybirski królów i księży swoich którzy są czarownikami.

ROZDZIAŁ II.

Rozpatrzywszy się Szaman w sercach owej zgrai wygnańców, rzekł sam w sobie: «Zaprawdę nie znalazłem tu czegom szukał; oto serca ich słabe są i dadzą się podbić smutkowi.

«Dobrzy byliby z nich ludzie w szczęściu, ale je nędza przemieni w ludzi złych i szkodliwych. Co uczyniłeś Boże?

«Azaż każdemu kwiatowi nie dajesz dokwitać tam, gdzie mu jest ziemia i życie właściwe? Dla czegóż ci ludzie mają ginąć?

«Wybiorę więc jednego z nich i ukocham go jak syna. a umierając oddam mu ciężar mój, i większy ciężar niż mogą unieść inni; aby w nim było odkupienie.

«I pokażę mu wszystkie nieszczęścia tej ziemi, a potem zostawię samego w ciemności wielkiej z brzemieniem myśli i tęsknot na sercu.»

To powiedziawszy, przywołał do siebie młodzieńca imieniem Anhelli i położywszy na nim ręce, wlał w niego miłość serdeczną dla ludzi i litość.

A obróciwszy się do gromady rzekł: «Odejdę z tym młodzieńcem, abym mu pokazał wiele rzeczy bolesnych, a wy zostaniecie sami uczyć się jak znosić głód, nędzę i smutek.

«Ale miejcie nadzieję; bo nadzieja przejdzie z was do przyszłych pokoleń i ożywi je; ale jeśli w was umrze, to przyszłe pokolenia będą z ludzi martwych.

«A to o czem pomyślicie, wypełni się, i wielka radość będzie na ziemi w on dzień zmartwychwstania.

«Lecz wy będziecie w grobach, i całuny będą na was spruchniałe; wszakże wasze groby będą święte, a nawet Bóg od ciał

waszych odwróci robaki, i ubierze was w umarłych dumną powagę — będzieci piękni.

«Tak jak ojcowie wasi którzy są w grobach; bo spojrzyjcie na każdą czaszkę ich; nie zgrzyta ani cierpi, lecz spokojną jest i zdaje się mówić: dobrzem uczyniła.

«Czuwajcie nad sobą, bo jesteście jak ludzie stojący na podniesieniu: a ci co przyjdą, widzieć was będą.

«Oto powiedziałbym wam tajemnicę: że jednych dusze idą w słońce, a drugich dusze oddalają się od słońca na ciemne gwiazdy, lecz nie zrozumiecie mnie!

«Powiedziałbym wam dla czego żyjecie i dla czego się rodzą miljony dusz nowych i na jaki cel dane jest ciało: lecz nie pojmiecie mnie!

«Lecz mówię wam: bądźcie spokojni nie o jutro, lecz o dzień który będzie jutrem śmierci waszej.

«A gorsze jest jutro życia, niż jutro śmierci — choć nie tak myślą ludzie podli i ludzie małego serca.»

Rzekły więc do Szamana zgraje: «Któż ci dał władzę nauczać o życiu i o śmierci? Oto mamy między sobą księży — do nich należy słowo Boskie.»

Na to im odpowiedział Szaman: «Słyszeliście o Mojżeszu i o cudach które czynił? Jam jest Mojżesz między sybirskim ludem, a cuda czyniłem straszniejsze, niż tamten co przed wiekami.

«A nie wyszedłże z zorzy północnej anioł, kiedym go wywołał z płomieni? Spytajcie ludu mojego.

«Na moje słowo ten śnieg stał się krwią, a to słońce szczerniało jak węgiel, wiele bowiem we mnie jest Boga.

«Lecz nie kuście mnie o cuda; albowiem jesteście ludem starym, a wskrzesić was cudem jest. O to proście Boga.

«Aby was wskrzesił mówię i dobył z mogiły i uczynił was narodem, który drugi raz kładziony jest w kołysce i spowity; by wyrósł prosty i nie skrzywiony na ciele.» —

Tak mówił Szaman; i nie śmieli mu odpowiedzieć wygnańce; lecz przyrzekli z ludem sybirskim chować przymierze.

ROZDZIAŁ III.

A oto raz nocą, obudził Szaman Anhellego mówiąc mu: «Nie śpij ale chodź ze mną, albowiem są rzeczy ważne na pustyni.» —

Wdziawszy więc białą szatę, Anhelli udał się za starcem, i szli przy blasku gwiazd.

Niedaleko więc zasiedłszy, ujrzeli obóz cały małych dzieciątek i pacholąt gnanych na Sybir, które odpoczywały przy ogniu.

A w środku gromadki siedział pop na tatarskim koniu, mający u siodła dwa kosze z chlebem.

I zaczął owe dzieciątka nauczać podług nowej wiary ruskiej i podług nowego katechizmu.

I pytał dzieci o rzeczy niegodne, a pacholęta odpowiadały mu przymilając się, albowiem miał u siodła kosze z chlebem i mógł je nakarmić; a były głodne.

Więc obróciwszy się ku Anhellemu Szaman rzekł: «Powiedz! nie przebrał że miary ten ksiądz, zasiewając złe ziarno i każąc czystość dusz tych maleńkich?

«Oto zapomniały już płakać po matkach swoich i tu się wdzięczą do chleba jak małe szczeniątka, szczekając rzeczy złe i które są przeciwko wierze.

«Powiadając że Car jest głową wiary i że w nim jest Bóg; i że nic nie może rozkazać przeciwko duchowi świętemu; nakazując nawet rzeczy podobne zbrodniom, albowiem w nim jest duch święty.

«Użyję więc przeciwko temu księdzu ognia niebieskiego, aby go spalić i stracę go w oczach dzieciątek.»

A skoro wyrzekł Szaman słowo przekleństwa, zapalił się ów pop na koniu, i wyszły mu z piersi płomienie, które się złączyły w powietrzu nad głową.

I przelękniony koń unosić go zaczął po stepie palącego się; a potem wzdrygnąwszy się zrzucił z siebie węgiel siedzący na siodle do ostatka.

A oto na owym pruchnie człowieka chodziły skry — jak owe iskierki które są na spalonym papierze: błędne i snujące się w różne strony.

Przybliżywszy się więc Szaman ku dzieciątkom rzekł: «Nie lękajcie się; Bóg z wami.

«Ogień przestraszył was jak gołąbki śpiące, aleście zasypiały w domie pożaru i ciałka wasze już więdły.» —

I wyciągały do starca rączki owe dzieciny krzycząc: «Staruszku weź nas z sobą!»

I rzekł Szaman: «Gdzież was zaprowadzę? oto ja idę w drogę śmierci; chcecie abym was wziął i ukrył pod płaszczem i wysypał was z poły mojej przed panem Bogiem?»

Odpowiedziały mu dzieciątka: «Weź nas i zaprowadź nas szerokiemi gościńcami aż do matek naszych.»

I wszystkie krzyczeć zaczęły z wielką dumą: «My Polaki! odprowadź nas do ojczyzny i do matek naszych.» — Aż Szaman począł płakać, uśmiechając się —

I nie mógł odejść, bo mu jedna dziecina usnęła na płaszczu i na pole płaszcza jego, wtenczas gdy rozmawiał.

A przybywszy Kozacy patrzali w zadumieniu na owe dzieło; i zaczęli odganiać dzieciątka od ludzi obcych, nie śmiejąc jednak bić żadne, pamiętni na ów ogień.

ROZDZIAŁ IV.

I przechodził Szaman z Anhellim pustemi drogami Syberji, gdzie stały turmy.

I widzieli twarze niektórych więźni, przez kraty patrzących się na niebo — smutne i blade.

A przy jednej z onych turm spotkali ludzi niosących trumny i zatrzymał je Szaman każąc otworzyć.

Więc gdy zdjęto trumien wieka, wzdrygnął się Anhelli widząc że umarli byli jeszcze w łańcuchach i rzekł: «Szamanie, oto się boję żeby nie zmartwychwstali ci umęczeni.

«Obudź którego z nich albowiem masz siłę cudów. Obudź tego starca z siwą brodą i z białemi włosami; bo mi się zdaje żem go znał żywym.»

A Szaman spojrzawszy surowo rzekł: «Cóż więc? Oto go wskrzeszę a ty go znów zabijesz. Zaprawdę i dwa razy go wskrzeszę, i dwa razy od ciebie śmierć weźmie.

«Lecz niech będzie jak żądasz, abyś wiedział że śmierć nas ochrania od smutków, które już się były w drogę ku nam wybrały a znalazły nas martwemi.»

Tak mówiąc, spojrzał Szaman na starca w trumnie i rzekł: «Wstań!» A ciało w łańcuchach podniosło się i usiadło, patrząc się na ludzi jak człowiek śpiący.

A poznawszy go wtenczas Anhelli rzekł: «Witaj człowieku możny niegdyś w radzie i jeden z najmędrszych.

«Cóż więc przywiodło ciebie w więzieniu, abyś się spłaszczył przed władzą i uczynił owe wyznanie winy, o którem słyszeliśmy?

«Dla czego zaparłeś się serca twojego i przeszłości twojej? czy ci mękami odebrano rozum i pamięć? Cóżeś uczynił!

«Zaszkodziłeś nam; albowiem dziś mówią do nas ludzie obcy: oto przewodnicy wasi zapierają się i zmieniają serca dla narodu, a tylko ludzie mali trwają w stałości.

«Ta więc stałość małych uporem jest, gdy ludzie pierwsi w narodzie uznają błąd swój, nie spodziewając się nawet przebaczenia.»

A gdy to mówił Anhelli stało się podług słów Szamana, że wskrzeszony ów, jęknąwszy, umarł na nowo.

Rzekł więc Szaman: «Zabiłeś go Anhelli, powtarzając ludzkie obmowy i oszczerstwo, o którem nie wiedział przed śmiercią.

«Lecz ja go wskrzeszę raz drugi, a ty się strzeż abyś go powtórnie o śmierć nie przyprawił.»

To powiedziawszy, zbudził umarłego, i podniósł się ów człowiek w trumnie, łzy wylewając z otwartych powiek.

I rzekł doń Anhelli: «Przebacz, bom nie wiedział że mówię obmowę i oszczerstwo.

«Oto widziałem cię w radzie narodu z bratem twoim, i widziałem wasze dwie głowy zawsze razem, a białością podobne dwom gołębiom, które razem zlatują na proso.

«Bo zaprawdę, że jak dwaj gołębiowie zlatywaliście na urnę projektów i wyłuszczaliście ziarna praw; a na plewy wasze zlatywali się maleńcy wróblowie, świergocąc o rzeczach mniejszej wagi.

«Przebacz mi że was równam ptakom Bożym i rzeczom błahym; ale białość wasza i prostota tak każe.

«O nieszczęśliwi! Oto jeden na smętarzu sybirskim szuka spocznienia, a drugi leży pod różami i cyprysami Sekwany. Biedni gołębiowie! — i rozłączeni, i umarli!»

Usłyszawszy owe słowa, wskrzeszony krzyknął: «Mój brat!» i powalił się w trumnie i umarł.

A Szaman rzekł do Anhellego: «Na cożeś mu powiedział o śmierci brata? Oto chwila, a dowiedziałby się od Boga i spotkałby się z bratem miłym w krainie niebieskiej.

«Stało się! Niech zakryją te trumny i zaniosą je na smętarz. A ty nie proś mnie więcej, abym wskrzeszał tych którzy śpią i odpoczywają.»

ROZDZIAŁ V.

I tak odbywali Szaman z Anhellim wędrówkę po ziemi smutnej i po gościńcach pustych i pod szumiącemi lasami Syberji, spotykając ludzi cierpiących i pocieszając ich.

A oto jednego wieczora przechodzili około cichej i stojącej wody, nad którą rosło kilka wierzb lamentujących i mało sosen.

A Szaman ujrzawszy wyskakujące rybki ku zorzy wieczornej rzekł: «Oto widzisz tę płotkę co przeleciała przez powietrze i znów utonęła.

«A teraz opowiada siostrom swoim na dnie że zobaczyła niebo i opowiada o niebie różne rzeczy i z tego ma sławę między inszemi rybkami.

«Słuchając więc powieści o niebiosach, zapłyną do sieci i jutro będą przedawane na rynku.

«Nie jestże to nauka dla ludzi i dla tych, którzy za ludźmi rozpowiadającymi o Bogu i o niebiosach wędrują girlandami; a tak dają się ułowić sieciom ludzkim i przedawani są?

«A chorobą zgubną mówię: jest melancholja i zamyślenie się zbytnie o rzeczach duszy.

«Dwie są bowiem melancholje: jedna jest z mocy, druga ze słabości; pierwsza jest skrzydłami ludzi wysokich, druga kamieniem ludzi topiących się.

«Mówię ci o tem; albowiem poddajesz się smutkowi i tracisz nadzieję.»

Tak mówiąc, nadeszli na gromadę Sybirców, którzy łowili ryby w jeziorze. A rybacy owi spostrzegłszy Szamana, przybiegli ku niemu mówiąc: «Królu nasz! opuściłeś nas dla ludzi obcych i smutni jesteśmy, nie widząc ciebie między nami.

«Zostań przez tę noc, a zastawimy wieczerzę i pościelemy ci łoże w łodzi.»

Usiadł więc Szaman na ziemi, a kobiety i dzieci rybaków otoczyły go i zadawały mu różne pytania, na które Szaman odpowiadał z uśmiechem, bo były błahe.

Lecz po wieczerzy gdy wstał księżyc i rozciągał swoje światło po gładkiej wodzie, jakoby gościniec złoty ku południowi:

Kobiety i dzieci zaczęły gadać smutniej, mówiąc: «Oto opuściłeś nas! i nie robisz więcej cudów między nami.

«Więc zaczęliśmy wątpić o rzeczach wiary, i wątpimy nawet czy jest w nas jaka dusza.»

Na to Szaman uśmiechnąwszy się rzekł: «Chcecież abym duszę pokazał oczom waszym?»

A wszystkie dzieci i kobiety zawołały zgodnie: «Chcemy! uczyń to!»

Obróciwszy się więc Szaman do Anhellego rzekł: «Cóż uczynię z tą zgrają kawek? Chceszli abym ciebie uśpił i duszę twoją wywoławszy z ciała, pokazał ją tym ludziom?»

Anhelli odpowiedział mu: «Czyń jak ci się podoba, jestem w twojej mocy.»

Przywoławszy więc Szaman jedne dzieciątko z gromady, posadził je na piersiach Anhellemu, który się był położył jak do snu, i rzekł do owego dzieciątka:

«Oto połóż twe rączki na czole tego młodzieńca i zawołaj go trzy razy imieniem Anhelli!»

I stało się, że na dziecka wołanie wyszedł z Anhellego duch, mający postać piękną i barwy rozmaite i skrzydła białe na ramionach.

A ujrzawszy się wolnym poszedł ów Anioł na wodę i po słupie światłości księżycowej odchodził na południe.

Gdy więc już był daleko i na środku stawu, rozkazał Szaman owej dziecinie zawołać duszę aby wróciła.

I obejrzał się duch jasny na wołanie dziecka i powracał leniwo po złotej fali, wlekąc po niej końce skrzydeł obwisłych ze smutku.

A gdy mu rozkazał Szaman wstąpić w ciało człowieka, jęknął jak harfa rozbita i wzdrygnął się; lecz posłuchał.

A zbudziwszy się Anhelli, usiadł i zapytał co się z nim stało?

Odpowiedzieli mu rybacy: «Panie! widzieliśmy duszę twoją i prosimy cię, bądź królem naszym! albowiem nie w takiej jasności ubrani są królowie chińscy, jak dusza, która jest z twego ciała.

«A nie widzieliśmy nic jaśniejszego na ziemi oprócz słońca; i nic jaśniej migającego oprócz gwiazd które są różowe i sine.

«Skrzydeł takich nie mają łabędzie przelatujące w maju przez ziemię naszą.

«A nawet uczuliśmy woń: jakby woń tysiąca kwiatów i zapach konwalji.»

Słysząc o tem Anhelli obrócił się do Szamana i rzekł: «Prawdaż to jest?» A Szaman rzekł: «Prawda — opętanyś jest przez Anioła.»

«Cóż więc» zapytał Anhelli «uczyniła dusza moja będąc wolną? Powiedz, bo nie pamiętam.»

Odpowiedział mu Szaman: «Oto poszła po tym gościńcu złotym co jest na wodzie od księżyca i uciekała w tamtą stronę jak człowiek co się śpieszy.»

A na te słowa spuścił głowę Anhelli i zamyśliwszy się zaczął płakać, mówiąc: «Ona chciała powrócić do ojczyzny.»

ROZDZIAŁ VI.

Uspokoiwszy więc Szaman płacz w Anhellim, opuścił rybaków i odszedł w pustynie.

A księżyc jeszcze był wysoko, gdy zaszli do chaty starego człowieka, który przywitał Szamana jak dawnego przyjaciela. Był to jeden z wygnańców barskich — ostatni.

Chata jego ocieniona szeroką jabłonią i pełna gniazd gołębich, i śpiewająca od świerszczów, ustronną była i spokojną

I postawił ów starzec przed gośćmi cynowy dzban, chleb i jabłka czerwone, a potem zaczął jak zwykle rozmowę o dawnych czasach i o ludziach już umarłych.

Nie wiedział zaś nic, że nowe pokolenie w Polsce i nowi byli rycerze i nowi męczennicy; i nie chciał wiedzieć o tem, będąc człowiekiem przeszłości.

A nie było już w nim żadnej pamięci, ale była pamięć o rzeczach które mu się zdarzyły za młodu; lecz o dniu wczorajszym nie wiedział i nie myślał o jutrze.

A utrzymywał się z robaczków które nazywają czerwcem; i z nich płacił podatek Carowi — był właśnie dzień składania daniny.

Jakoż o godzinie późnej zajechał przed chatę celnik, i napiwszy się ze dzbana, dopomniał się o rzecz winną.

Stary więc ów człowiek obnażył się ze wszystkiego, aby wystarczył podatkowi i sługę onego zbogacił.

A zabrawszy wszystko celnik wychodził z chaty, mówiąc: «Oto masz jabłoń owocami okrytą, muszę z niej wziąść dziesięcinę.»

To powiedziawszy, sługom swoim rozkazał trząść drzewo stare i rozrosłe, a Szaman do Anhellego rzekł:

«Pójdź i stań pod jabłonią, a nic nie mów do tych co trzęsą drzewem, aż się moc Boska pokaże.»

Poszedł więc Anhelli i stanął pod ulewą jabłek czerwonych, jak człowiek spokojny.

A oto jabłoń okryła się wielką jasnością, a owoce na niej stały się gwiazdami i błyszcząc bardzo nie upadały więcej.

I gołębie śpiące obudziły się, myśląc że już jest godzina ranna i umywszy pióra wyleciały w powietrze różane.

Więc światłość owa przeraziła celniki tak, że zostawiwszy cały podatek, uciekli w przestrachu i wsiadłszy na wóz odjechali.

A Szaman zawoławszy Anhellego rzekł: «Chodźmy stąd! albowiem gospodarz pytać nas będzie jaką władzą to czynimy; a to jest tajemnicą i znaczenie tych gwiazd tajemnicą jest.»

Tak mówiąc otoczył się ciemnością z Anhellim i wyszli.

ROZDZIAŁ VII.

I rzekł Szaman: «Oto już nie będziemy cudów okazywać, ani mocy Bożej, która w nas jest; płakać będziemy, bo zaszliśmy do ludzi którzy nie widzą słońca.

«Ani nauk im dawać należy, bo ich więcej nauczyło nieszczęście; ani nadziei im dawać będziemy, bo nie uwierzą. W dekrecie co je potępił napisano było: Na wieki! —

«Oto są kopalnie Sybiru!

«Stąpaj tu ostrożnie, bo ta ziemia brukowana jest ludźmi śpiącymi. Słyszysz? oto oddychają głośno, a niektórzy z nich jęczą i gadają przez sen.

«Jeden o matce swojej, drugi o siostrach i braciach, a trzeci o domie swoim i o tej którą miłował sercem, i o łanach gdzie mu się zboże kłaniało jak panu swemu; i szczęśliwi są teraz przez sen — lecz się obudzą.

«W innych kopalniach wyją zbrodniarze; lecz ta jest tylko grobem synów ojczyzny i pełna cichości.

«Łańcuch co tu szczęka smutny ma głos, a w sklepieniu są różne echa, i jedne echo które mówi: żałuję was.»

Gdy się litował Szaman, weszli strażnicy i żołnierze z lampami budzić śpiących do pracy.

Powstali więc wszyscy z ziemi i rozbudzili się, i szli jak owce ze spuszczonemi głowami, oprócz jednego który nie wstał, bo był umarł we śnie.

Więc przystąpiwszy Anhelli do tych co szli na pracę z młotami, zapytał jednego z nich cichym głosem: «Kto był ten umarły i z jakiej choroby skończył.»

Na to mu odpowiedział człowiek blady i aresztant: «Ten o którego pytasz, księdzem był, ja go znałem; spowiadał żonę moją i dzieci w ojczyznie.

«A gdy przyszła wojna siadł na koń z krzyżem w ręku i z bosemi nogami; a gdy był ogień, przed szeregami stał, krzycząc: Za ojczyznę! — za ojczyznę!

«I przywołał go biskup i wydał katom w ręce; ale wprzódy zdjął z niego poświęcenie na rynku miejskim i wypuścił z rąk pastorał i omdlał.

«A katy pochwyciły człowieka Bożego i wepchnęły go w ciasną siermięgę, a potem go w niej zamknęły z trudnością, bo był otyły ten człowiek, i stał bez ruchu jak rzecz martwa.

«Więc przywieziono go do kopalni, i udawał że mu jest dobrze na sercu; alem ja widział że był blady i smutny.

«I poddał się rozpaczy i sechł jak stare drzewo. A przystąpiwszy raz do niego rzekłem: Bój się Boga! dla czego się gryziesz? —

«I rzekł mi z wielką tajemnicą jak człowiek obłąkany: Zapomniałem wyrazów pacierza — i pogroziwszy mi palcem abym był cicho, odszedł.

«I zobaczyłem go raz że brał w ciemności ołów zgniły i truciznę ową pożywał.

«A po kilku dniach rumieniec ceglany wyszedł mu na twarz, a ciało opadło na kościach jak zmoczone płutno namiotu; oczy zaś miał błyszczące.

«A dziś nie wiem jak umarł, bo oto spałem przy nim, a nie słyszałem aby choć westchnął.

«A jeżeli macie serce, żałujcie go, bo go znam: był człowiek uczciwy.»

Więc Anhelli obróciwszy się do Szamana rzekł: «To samobójca!»

Lecz Szaman zasłonił oczy i podniosłszy kawałek ołowiu z ziemi rzekł: «Ten ołów zabójcą jest i doradcą złym, bo mówił: weź mię i zjedz, jam jest końcem i spokojnością.

«Ten ołów oszukańcem jest, bo się udał przed człowiekiem za Boga, który sam tylko cierpienie kończy na wieki i serce uspakaja.

«A przeklęty, kto przed najmniejszym wichrem pada na ziemię i łamie się! — podobny strzaskanej kolumnie.

«Lecz przed wichry silnemi i wam padać wolno — będziecie żałowani.

«Cóż więc! odmówią wam poświęconego smętarza? kto wie jaki jest sen w niepoświęconej mogile?

«Wszakże lepiej jest umierać w gromadce dzieci i wnucząt, które płaczą — i patrzeć na rozwijanie się drzew wiosennych, i mieć godzinę cichą.»

Gdy tak mówił Szaman, otoczyli go kołem nędzarze i rzekli: «Dobrze nauczasz, jesteś człowiekiem z serca, a może przysłanym od Boga.

«Więc oto wiedz, że przed pięciu dniami upadła skała i zawaliła jeden z korytarzów, gdzie pracował człowiek pewny, stary, z pięciu synami — a strażnicy nie chcą jej rozwalić prochem mówiąc: to długa praca, niech umrze.

«A my stajemy co dnia przy owej skale słuchać, czy jeszcze żyją; lecz nie słychać nic w tej jaskini, nawet jęku.

«Jeżeliś jest człowiek boży, odwal kamień; może jeszcze żyje ojciec, lub które z dzieci jego.

«Spraw przynajmniej zadziwienie katom naszym, uwolniwszy tych ludzi, albowiem pomrą z głodu.»

Przyprowadzili więc Szamana ku owej skale i stało się wielkie milczenie, a Szaman podniósłszy oczy w górę modlił się.

I przyszedł wiatr podziemny i wywrócił skałę tak, że otworzyła się czeluść ciemna i głęboka, a żaden w nią nie śmiał wstąpić najpierwszy.

Więc Szaman wziąwszy kaganiec, wszedł do lochu po rozwalonych kamieniach, a za nim Anhelli i więźniowie.

I okropny ujrzeli widok! Oto na ciele najmłodszego syna leżał ojciec, jak pies co położy łapy na kości i gniewny jest.

A oczy tego ojca otwarte, błyszczały jak szkło; a czworo innych umarłych leżało w bliskości, jedni na drugich.

I spojrzawszy na nich Szaman rzekł: «Co uczyniłem? Oto ojciec żyje a synowie pomarli już. Dla czegożem się modlił!»

Tak mówiąc wyszedł z lochu, a połowa zgrai szła za nim.

ROZDZIAŁ VIII.

A przechodząc dalej, ujrzeli wiele ludzi bladych i umęczonych, których imiona wiadome są w ojczyznie.

I przyszli nad jeziora podziemne, i postępowali brzegami ciemnej wody która się nie ruszała, a złota była gdzieniegdzie od światła kagańców.

I rzekł Szaman: «Jestże to morze Genezaretańskie Polaków? A ci ludzie sąż rybakami nieszczęścia?»

Jeden więc z tych, którzy siedzieli smutni nad brzegami czarnej wody, z twarzą zadumaną odpowiedział: «Pozwalają nam odpoczywać, albowiem dziś są imieniny królewskie i dzień wytchnienia.

«Więc usiadamy tu nad ciemną wodą dumać i rozmyślać i odpoczywać; bo serca nasze są strudzone gorzej niż ciała.

«A oto utraciliśmy niedawno naszego proroka, którego ta skała była miejscem ulubionem i te wody miłemi mu były.

«Człowiek to był blady, z błękitnemi oczyma, wychudły i pełny ognia.

«A oto przed siedmią laty ogarnął go pewnej nocy duch proroctwa, i uczuł wstrząśnienie, które było w ojczyźnie i rozpowiadał nam przez noc całą to co widział, śmiejąc się i płacząc.

«A dopiero o poranku zasmucił się i krzyknął: Oto zmartwychwstali, lecz nie mogą odwalić mogiły! — I to powiedziawszy upadł martwy. A myśmy tu postawili jemu ten krzyż drewniany.

«A we dwa lata później, powiedzieli nam nowi wygnańcy co się stało, i policzywszy noce poznaliśmy że ów prorok nam prawdę mówił; więc chcieliśmy go uczcić, lecz już był w ziemi.

«Szanujemy więc ten krzyż nie mówiąc więcej: oto człowiek który leży pod nim był warjatem i obłąkanym i godnym śmiechu. Cóż mówicie na to? —»

A obróciwszy się Szaman ku Anhellemu rzekł: «Czemuś się tak zamyślił nad tą czarną wodą co z łez jest ludzkich? czy o tym proroku dumasz, czy o sobie?»

Gdy mówił, rozeszło się wielkie echo od wybuchu miny, i powtarzało się nad głowami, bijąc jak dzwon podziemny. I rzekł Szaman: «Oto jest dzwonienie po umarłym proroku! Oto jest Anioł pański dla tych, którzy nie widzą słońca. Módlmy się.»

I podniosłszy oczy, rzekł: «Boże! Boże! prosimy cię aby nasza męka była odkupieniem.

«A nie będziemy cię już błagać, abyś powrócił słońce oczom naszym, i powietrze piersiom naszym, bo wiemy że twój sąd

nad nami jest zapadły. — Lecz nowonarodzeni niewinnymi są. Zlituj się Boże!

A przebacz nam, że ze smutkiem krzyż dźwigamy i nie weselimy się jak męczennicy; bo nie powiedziałeś czy męka nasza policzoną nam będzie za ofiarę: lecz powiedz, a rozweselimy się.

«Bo cóż jest życie aby go żałować? czy to jest Anioł dobry, który nas opuszcza w godzinę śmierci?

«Gorąco krwi jest ogniem ofiary, a ofiarą są chęci nasze. Szczęśliwi którzy się mogą za lud poświęcić.»

I rzekli na to nędzarze: «Oto prawdę mówi ten człowiek; albowiem nieszczęśliwszą jest od nas ta niewiasta, która tu za mężem swoim przybyła i cierpi za serce człowieka.

«Chodźcie! a pokażemy wam wilgotną jamę, gdzie żyje ta męczennica z małżonkiem swoim.

«Wielką panią i księżną była, a dziś jest jako służebnica żebraka.

«A niegodzien jest litości ten, którego ona ukochała; albowiem klęknąwszy przed Cesarzem błagał o życie; i dano mu je pogardziwszy nim.»

Tak mówiąc przyszli pod ścianę i przez kratę ujrzeli owych dwoje małżonków.

Niewiasta klęczała przed mężem i w misie wody obmywała jego nogi; powracał bowiem z pracy jak wyrobnik.

A woda w misie zaczerwieniła się krwią jego i niewiasta nie brzydziła się mężem i krwią, a była młoda i piękna jak anieli niebiescy.

Tych dwoje ludzi byli Cesarscy.

ROZDZIAŁ IX.

A gdy już miał Szaman wychodzić z Anhellim na gwiazdy, pocieszywszy niektóre więźnie, usłyszał szczęk wielki w jednym z korytarzów.

Więc obróciwszy się do jednego z tych co szli za nim, spytał go: «Co by to było, ów szczęk żelaza i bicie? A zaś aresztant odpowiedział: «Karzą jednego z nas.

«Zapewne starca, który wczoraj nie chciał pracować dla święta Boskiego, pędzą przez łańcuchy.»

A udawszy się na miejsce męki, Szaman z Anhellim, ujrzeli w korytarzu dwa szeregi ludzi, stojących z łańcuchami w ręku, każdy w postawie człowieka co się zamierza uderzyć.

I ujrzeli postępujących naprzód dwóch żołnierzy z lampami, a w środku za nimi obnażonego po pas człowieka z brodą siwą.

A za każdym krokiem gdy się przybliżał, słychać było uderzenie łańcucha, i szczęk drugi wychodzący z chudej piersi bitego starca.

Gdy zaś już był u końca kary, i zostawało mu zaledwie dziesięć kroków lub mało więcej, usłyszał Anhelli dwa uderzenia słabsze, jakoby dane przez ludzi litośnych.

Lecz starzec odebrawszy je, upadł krzyżem na ziemi i był martwy.

Więc owi dwaj młodzieńcy którzy go uderzyli litośnie, padli mu na ramiona i położyli się na trupie, wołając jeden i drugi: «Mój ojcze! —»

I odwrócił się Szaman, a spojrzawszy na Anhellego, nakrył mu głowę połą szaty swojej. —

I kazał się wynieść duchom niebieskim, a otworzywszy oczy, Anhelli zobaczył śnieg i gwiazdy.

I przekonany był że widzenie kopalni snem było, albowiem nie wiedział jak z nich wyszedł.

ROZDZIAŁ X.

A oto wygnańcy owi w szopie śniegowej, w niebytności Szamana kłócić się zaczęli pomiędzy sobą, i podzielili się na trzy gromady; a każda z nich myślała o zbawieniu ojczyzny!

Więc pierwsza na czele miała Grafa Skir, który utrzymywał stronę tych, co się przebiorą w kontusze i nazywać się będą szlachtą, jakby z Lachem na nowo przybyli do kraju pustego.

A druga miała na czele żołnierza chudego, imieniem Skartabellę, który chciał ziemię podzielić i ogłosić wolność chłopów, i równość szlachty z żydami i z cyganami.

A trzecia na czele swoim miała księdza Bonifata, który chciał kraj zbawić modlitwą, na ocalenie kraju podawał sposób jedyny, iść i ginąć nie broniąc się, jak męczennicy.

Te więc trzy gromady zaczęły być między sobą niezgodne w duchu, i kłócić się poczęły o zasady.

A oto druga owa gromada uzbroiwszy się w siekiery, wyszła w pole odgrażając się, że u pierwszych dowie się jaka jest krew, drugim zaś da to czego żądają: męczeństwo.

Lecz nim przyszło do walki, a umysły już były rozgrzane. zgodzono się, za poradą któregoś z tych co był z trzeciej gromady, aby rzecz tę przez sąd Boga rozstrzygnąć.

I rzekł do nich ów doradca: «Oto postawmy trzy krzyże na naśladownictwo męki Pana naszego, i na tych trzech drzewach przybijmy po jednemu z najmocniejszych w każdej gromadzie rycerzy; a kto najdłużej żyć będzie, przy tym zwycięstwo.»

A że umysły tych ludzi były jakoby w stanie pijanym, znaleźli się trzej rycerze, którzy za swoje przekonanie śmierć ponieść chcieli i być ukrzyżowanymi, jako Chrystus Pan przed wiekami.

Postawiono więc trzy krzyże z najwyższego jakie było w tym kraju drzewa, i wystąpili trzej męczennicy po jednemu z każdej gromady; wszakże nie wybrani losem, lecz z własnej woli. Nie byli to gromad wodzowie, lecz jedni z najmniejszych.

Kiedy więc cieśle postawili krzyże na wysokiem wzgórzu śniegowem, odezwał się głos z nieba jakoby wicher, pytając: «Co czynicie?» lecz go ci ludzie nie przelękli się.

I zawieszono na krzyżach ludzie owe obłąkane, i przybito im ręce ćwiekami; a ten co był na prawo krzyczał: równość! A ten co był z lewej krzyczał: krew! Wiszący zaś pośrodku mówił: wiara!

I tłumy stały w milczeniu pod krzyżami czekając co się stanie, i tak je noc zastała na śniegu; a była wielka ciemność i okropne milczenie.

Aż o północy zorza borealna rozciągnęła się na całej niebios połowicy, i ogniste wystrzeliły z niej miecze; a wszystko stało się czerwone i te krzyże z męczennikami.

Wtenczas strach jakiś ogarnął tłumy i rzekły: «Źle czynimy! godziż się aby za nasze wiary ci ludzie ginęli niewinnie?»

I przeraziły się zgraje mówiąc do siebie: «Oto umierają i nie skarżą się.»

Rzekli więc do tych co byli ukrzyżowani: «Chcecie, a zdejmiemy was?» Lecz ci im nic nie odpowiedzieli, będąc już umarłymi.

A poznawszy to, rozbiegły się zgraje pełne przerażenia, a żaden z tych co uciekali nie odwrócił głowy, aby spojrzeć na martwe i umęczone. Zorza je czerwieniła — zostali sami.

A właśnie wtenczas Szaman z Anhellim powracali z wędrówki podziemnej, i zadziwili się postrzegłszy na ognistych niebiosach trzy czarne krzyże, i rzekli z przestrachem: «Co się stało?»

A przyszedłszy bliżej strwożyli się, widząc na krzyżach ciała trupów, i poznali w nich swoje znajome; więc Szaman usiadłszy pod krzyżami płakał. —

A powstawszy rzekł do Anhellego: «Oto mi duch Boży oznajmił winę tego ludu, i wiem dla czego tych ludzi ukrzyżowano; lecz ażeby ciała ich nie ucierpiały jakiej nowej sromoty, zdejmiemy je i zaniesiemy na smętarz.

«Niech mają spoczynek w ziemi, albowiem w dobrej wierze na śmierć się wydali, i nie będzie im to na potępienie, ale na zagładę grzechów. Krzyż je oczyścił.»

Tak mówiąc, zdejmowali owe zmarzłe i skościałe na krzyżu, i przenosili je na dawne grobowisko wygnańców.

ROZDZIAŁ XI.

A gdy się zbliżali ku smętarzowi, Anhelli usłyszał hymn skarżących się mogił, i jakoby skargę popiołów na Boga.

Lecz skoro się jęki podniosły, Anioł siedzący na szczycie wzgórza skinął skrzydłami i uciszył je.

I trzy razy to uczynił, albowiem po trzykroć rozpłakały się mogiły.

I zapytał się Anhelli Szamana: «Co to za Anioł z białemi skrzydłami i ze smutną gwiazdą na włosach, przed którym ucichają grobowce?

Lecz nic mu nie odpowiedział starzec: zasypywał bowiem śniegiem ciała umarłych i był zatrudniony.

A przybliżywszy się Anhelli ku owemu Aniołowi, spojrzał na niego i upadł jak człowiek martwy.

Skończywszy więc Szaman grzebanie umarłych, szukał go oczyma i nie widząc nigdzie, szedł na wzgórze.

A natrafiwszy ciało Anhellego spotknął się na niem, i krzyknął boleśnie; ale poznawszy że młodzieniec żyje, ucieszył się.

Wziął go zatem za rękę i rzekł: wstań! czas nie jest jeszcze spoczynku.

A powstawszy Anhelli, oglądał się w około i spuścił przed Szamanem głowę jak człowiek co się wstydzi, mówiąc:

«Otom zobaczył Anioła podobnego tej niewieście, którą kochałem z całej duszy mojej, będąc jeszcze dzieckiem.

«A miłowałem ją w czystości serca mego; dla tego łzy mię zalewają kiedy myślę o niej, i o mojej młodości.

«Bo oto byłem przy niej jak ptak swojski co się boi; i nie wziąłem nawet pocałowania od jej ust koralowych, choć byłem blisko; jak gołąb mówię, siedzący na ramieniu dziewczyny.

«Dziś już to snem jest. Oto szafirowe niebo i gwiazdy białe patrzą na mnie: sąż to gwiazdy te same, które mię widziały młodym i szczęśliwym?

«Dla czegoż nie powstanie wicher co mię z ziemi zwieje i zaniesie w krainę cichą! dla czego ja żyję?

«Oto już jednego włosa nie ma na mojej głowie z tych, które były dawniej; oto się nawet kości we mnie odnowiły. ja zawsze pamiętam.

«A nie ma jednej kawki w powietrzu, którąby nie spała przez jedną noc życia w spokojnem gnieździe. Lecz o mnie Bóg zapomniał. Chciałbym umrzeć.

«Bo zdaje mi się że gdy będę umarłym, to sam Bóg pożałuje tego co ze mną uczynił, myśląc: że oto już nie narodzę się raz drugi.

«Wszak rodzić się nie jest to, co zmartwychwstawać; trumna nas odda, lecz nie spojrzy na nas jak matka.

«Oto mi więc smutno że ujrzałem tego Anioła, i wolałbym był wczoraj umrzeć.»

A Szaman zapatrzywszy się w gwiazdy rzekł: «Zaprawdę, że jak dawniej wiele było opętanych przez czarty, tak dziś wielu jest opętanych przez czyste Anioły.

«Cóż zrobię? Oto wypędzę wszystkie te duchy z ciał, i pozwolę aby weszły w lilje wodne, i rozleciały się po gwiazdach różanych; zamieszkały w tem co jest najpiękniejszego, a opuściły ludzi.

«A wiesz-li kto jest ten Anioł smutny na smętarzu? Oto się zowie Eloe, a urodził się ze łzy Chrystusowej na Golgocie, z tej łzy która wylaną była nad narodami.

«Gdzieindziej napisano jest o Anielicy tej i wnuczce Marji Panny — jak zgrzeszyła, ulitowawszy się nad męką ciemnych Cherubinów i umiłowała jednego z nich, i poleciała za nim w ciemność.

«A teraz jest wygnaną jak wy jesteści wygnani, i ukochała mogiły wasze i piastunką jest grobowców, mówiąc kościom: nie skarżcie się lecz śpijcie!

«Ona odpędza reny, kiedy przyjdą mech wyciągać z pod głowy trupów; ona jest pasterką renów.

«Przywyknij do niej za życia, albowiem będzie na mogile twojej stąpać przy blasku księżyca; przywyknij do głosu jej, abyś się nie obudził gdy mówić będzie.

«Zaprawdę, że dla tych co są smutni, ta kraina piękną jest i nie bezludną; albowiem tu śnieg nie plami skrzydeł anielskich, a gwiazdy te są piękne.

«Tu przylatują mewy, i gnieżdżą się, i kochają się, nie myśląc że jest jaka piękniejsza ojczyzna.»

Tak mówił i podniósł jednę z czaszek tych, które leżały odkryte; a w niej było rodzeństwo małych ptasząt.

I wyciągały główki przez miejsce gdzie były oczy ludzkie, i pełna była płaczącej troski kość śpiącego człowieka.

A wziąwszy ją rozgniewany Anhelli, rzucił o ziemię mówiąc: «Precz kościele shańbiony.»

A płomień z ziemi wyszedłszy, stanął przed nim w kształcie jakoby ludzkim, i w ubraniu biskupiem z infułą i z krzyżem na głowie; a wszystko ogniste.

I rzekł z wielką zgrozą: «Oto przyszliście ruszać umarłe; czyż nie dosyć trupom wichry mieć nad sobą i zapomnienie?

«Ręce moje łamały hostję, a teraz je wyciągnę nad wami i przeklnę mówiąc: bądźcie przeklęci burzyciele grobów.

«Azaż nie dosyć wycierpiałem na moim tronie, i na biskupim oparty pastorale, modląc się za kraj, który miał ginąć jak człowiek potępiony?

«Kiedy Kimbar wywołał Sybir i postawił go przed obliczem sejmu bladego, mówiąc, oto jest krzyż.

«Nie poszedłem że na wygnanie jak człowiek czysty? Któż mi co zarzuci i grobowi mojemu? Oto umarłem i zapomniano o mnie; czegóż więcej chcecie od ludzi co umarli?

«Widzicie tę białą ziemię, jam tu mieszkał; widzicie kości te, ja żyłem z niemi.

«A to jest moja kość, ta kość spruchniała. Ludzie ją niegdyś szanowali, a dawniej jeszcze całowała ją matka moja; a dzisiaj mewa w tej czaszce uwiła gniazdo i mieszka; dajcie wy pokój białemu ptakowi Boga.

«Ja znałem matkę jego matki, gdzież jest? Gdzie są gile, które przylatywały ubierać róż girlandami suche drzewa Syberji, abym sobie przypomniał jabłonie sadów moich w ziemi ojczystej?»

Tak skarżył się — i przepraszał go Anhelli za obelgę kości jego mówiąc: «Oto ja wkrótce przyjdę położyć się z wami, nie klnij mnie.

«Myślałem że się smucisz za wzgardę kości twojej. — Jestże to świątynia pełna ptasiego wrzasku? Lecz niech tak będzie jak się Bogu podobało.

«A nie powiem ci co się stało z nazwiskiem rodu twojego, bo nie mógłbyś zasnąć choć jesteś umarłym i poszedłbyś jęcząc po świecie.

A teraz przestań być latarnią grobu własnego, i zrzuć ogniste szaty, i rozbierz się z płomieni.»

Gdy to mówił, utopił się duch w śniegu i stało się ciemno gdy zgasnął.

Więc pobiegł za nim Anhelli wołając: «Powiedz mi nazwiska tych ludzi, którzy tu spoczywają przy tobie.»

Skoro to wyrzekł, usłyzał z pod ziemi jakoby głosem tym co był w ogniu, wychodzący długi szereg imion już zapomnianych.

I obudził Anhellego Szaman mówiąc: «Wróćmy do ludzi, grobowce bowiem powiedziały nam swoje tajemnice.»

I zeszli ze wzgórza mogił, modląc się.

ROZDZIAŁ XII.

A gdy przyszli pod dom wygnańców, usłyszeli zgiełk wielki, i śmiech, i wrzaski, i szczękanie kielichów, i brudne pieśni. A stanąwszy Szaman pod oknami słuchał, nim wszedł do tej jaskini nieszczęścia.

A gdy się ukazał pośród zgrai, ucichło; poznano bowiem człowieka silnego w Bogu, i nie śmiano mu się urągać.

A podniósłszy Szaman oczy błyszczące zaczął mówić, zapalając się w smutku:

«Cóżeście uczynili, rzekł, bezemnie? widziałem waszą Golgotę. Biada wam!

«A nie zostanę z wami, lecz to co powiem, zostanie z wami: Bądźcie potępieni, kłótliwi ludzie.

«Wichry rozsiewają dębu nasiona i roznoszą je po ziemi, lecz wichry te będą przeklęte, co wasze mowy i rady do ojczyzny zaniosą. Pomrzecie!

«Zbliża się wielki dzień, a żaden nie dożyje wieczora dnia tego. Zbliża się dzień sybirski i słońce zatracenia.

«Dla czegożeście nie słuchali rad moich i nie żyli spokojnie w zgodzie i miłości braterskiej, jak przystoi na ludzi którzy nie mają Ojczyzny?

«Oto obraziliście ludy tej ziemi — i z oszczepami stoją czyhając na was; psy ich nawet czyhają, aby z was którego rozedrzeć.

«Spotkałże z was kiedy kto Ostjaka, i obszedł się z nim godnie i po ludzku? Zaprawdę! koło psa nie przeszedł żaden, nie uderzywszy go nogą jak węża. O ludzie bez pamięci i serca!

«Więc wstanie słońce i dzień przyniesie straszniejszy niż ciemność, a ciszę okropniejszą niż są burze na morzu, bo będziecie się lękać sami siebie.

«A śnieg ten stanie się morzem, a fala jego zieloną będzie, a dom wasz ginącym będzie okrętem.

«Wyostrzcie wasze topory, bo potrzebne wam będą; a kto z was umie zabijać, jest człowiek pożyteczny.

«Zbliża się wielka noc i krzyż czerwony napiszecie na waszych wrotach, lecz jaką krwią? Zaprawdę, nie krwią baranka! —

Gdy to mówił Szaman, niektórzy się przelękli, lecz jeden z pijanych chwyciwszy za dzban gliniany, rzucił go na proroka i włos mu krwią poczerwienił.

Ująwszy więc za topór Anhelli chciał się zemścić, ale go zatrzymał Szaman mówiąc: «Bądź cierpliwy.

«Kto tu za rok powróci będzie płakał nad nimi; dla czegóż brać zemstę z tych, którzy jutro będą rzeczą godną litości?

«Boże, nie karz ich.»

Tak mówił, a jeden ze zgrai zawołał: «Czarowniku, urzekłeś nas! oto dzban był pełny i wysechł.»

A inni zajrzawszy w dzbany, potwierdzili to zgodnie mówiąc: «Odczaruj nas, albo cię ukarzemy śmiercią.»

I stał się wielki wrzask, i groźne podniosły się przeklinania; a jeden wziąwszy nóż wraził go w piersi Szamana, mówiąc: «Oczarowałeś nas.»

Upadł starzec na ręce Anhellego, a ten go wyniósł z chaty, i pomogła mu młoda niewiasta Ellenai, która kiedyś była zbrodniarką.

A gdy wyszli na miejsce oświecone gwiazdami, przemówił starzec: «Nieście mię blisko grobowców, bo już zasnę.»

Położyli go więc na jednej z mogił, i zimno śniegu ożywiło go, a kobieta owinęła nogi jego włosami i trzymała je na łonie.

I otworzywszy oczy starzec, zawołał po trzykroć: «Anhelli! Anhelli! Anhelli!» — a głos jego był smutny.

I rzekł mu: «Weź reny moje i pójdź na północ, znajdziesz mieszkanie w śniegu i spokojność. A będziesz żył mlekiem renów.

«Weź z sobą tę niewiastę, i niech ci ona będzie siostrą: ona mię ukochała w godzinę śmierci, więc nie chcę aby zginęła jak tamci.

«Cóż ci mówić będę! Oto śmierć będzie mówić za mnie i wyręczy mię. Ja cię kochałem.

«Boś czysty był jak lilja, biorąca z wody liście i kolory niewinne; boś mi był jak syn dobry.

«Nie smuć się aż do śmierci po zgonie Ojczyzny twojej, ani płacz myśląc że jej nie zobaczysz; wszystko jest snem smutnym.»

Gdy tak mówił, usłyszał Anhelli stąpanie po śniegu i rzekł: «Ktoś nadchodzi? czy to śmierć stąpa głośno?»

Lecz był to ren, który stanąwszy nad umierającym panem, zadziwione oczy napełnił wielkiemi łzami; i odwrócił się od niego Szaman płacząc.

A po chwili, przystąpiwszy doń Anhelli, wziął go za rękę i poczuł że była martwa.

Więc pochował starca w śniegu, i obróciwszy się do niewiasty, rzekł: «Chceszli mię wziąść za brata? Chodź ze mną.» A ta mu do nóg upadła mówiąc: «Aniele mój!»

Podniósł ją z ziemi Anhelli, i udali się oboje na północ, a za niemi szli renowie Szamana, wiedząc że za nowemi idą panami.

A zaś Anhelli milczał, bo miał serce pełne łez i boleści.

ROZDZIAŁ XIII.

Odeszli więc Anhelli z ową niewiastą i z renami Szamana, na daleką pustynię północną, a znalazłszy pustą chatę w lodzie wykutą, zamieszkali w niej.

A po krótkiem pożyciu, Anhelli przyzwyczajał się nazywać siostry imieniem zbrodniarkę tę i pokutnicę.

Ona mu była usługą i ścielała łoże liściami i doiła reny wieczorem, a rano wypędzała je na paszę.

Serce jej od modlitwy ciągłej stało się pełne łez, smutków i niebieskich nadziei, i wypiękniało na niej ciało.

Oczy rozpromieniły się blaskiem cudownym i ufnością w Bogu; a włosy stały się długie i podobne szacie obszernej, kiedy się w nią ubrała, i podobne namiotowi biednego pielgrzyma.

I dziwił się Anhelli że była spokojną o przysłość, popełniwszy niegdyś zbrodnię wielką, a nawet krwią mając zmazane ręce.

I dziwił się, że skarga jej była maleńką i skarżącą się, jak płacz niewinnej dzieciny, kiedy zazdrościła ptakom skrzydeł niebieskich; widząc jak rybitwy białe wędrują ku słońcu złotemu i toną w promieniach.

A lękała się zmazać słowami nieczystemi mówiąc: «Oto nas dwoje na ogromnej pustyni, więc nas Bóg pewnie słucha i na nas patrzy; a jeśli o rzeczy dobre prosić go będziemy to nie opuści nas.»

Przyszedł więc dzień sybirski, a słońce nie zachodziło lecz biegało niebem, jak koń w zawodzie z płomienistą grzywą i z białem czołem.

Straszliwe światło nie kończyło się nigdy, a huk lodów był, jakoby głos Boży, odzywający się na wysokościach, do ludzi nędznych i opuszczonych.

A długi smutek i tęsknoty przyprawiły o śmierć ową wygnankę, i położyła się na łożu liścianem pomiędzy renami swojemi, aby umrzeć.

A był zachód słońca; albowiem od niejakiego czasu, zaczęły się noce w ziemi sybirskiej i słońce coraz dłużej zostawało pod ziemią.

Obróciwszy więc ku Anhellemu szafirowe oczy zalane łzami wielkiemi, rzekła Ellenai: «Umiłowałam ciebie bracie mój i opuszczam.»

A powiedziawszy gdzie ją miał pochować, że pod sosną która była w smutnym parowie, leżeć pragnie, rzekła: «Czemże ja będę po śmierci?

«Oto chciałabym być jaką rzeczą żyjącą przy tobie Anhelli; pajączkiem nawet, który jest miły więźniowi i schodzi jeść z jego ręki po złotym promyku słonecznym.

«Jam się przywiązała do ciebie jak siostra i jak matka twoja, i więcej jeszcze. — Ale grobowiec wszystko zakończy. —

«Nie zapominaj o mnie — bo któż o mnie będzie pamiętał po śmierci, chyba ren któregom doiła, zalewając się łzami.

«Jeżeli wiesz gdzie ludzie idą po śmierci to mi powiedz, bo niespokojna jestem, choć mam nadzieję w Bogu.

«Oto ja polecę do krainy twojej rodzinnej i obaczę dom twój, sługi twoje i rodzice twoje, jeżeli jeszcze żyją?

«I nawet miejsce to gdzie stało twoje łóżeczko dziecinne, mała niegdyś kołyska twoja.

«Ty powiesz że to są myśli gminne, że człowiek po śmierci nie lata. — Cóż! kiedy z taką myślą śmierć piękniejsza.

«A oto patrzaj, nad łożem mojem, ta szyba lodu słońcem czerwona, z dwoma skrzydłami promieni: nie jestże to Anioł złoty stojący nademną?

«Reny wyciągają mech z pod mojej pościeli i skubią łoże śmierci, jedząc. — Biedne reny moje, żegnam was.

«A teraz podniosę oczy do Królowy Niebieskiej i będę się modliła do niej.»

Zaczęła więc tu umierająca mówić litanję to Matki Chrystusowej, i właśnie wymówiwszy «Różo złota!» skonała.

I na znak cudu, upadła żywa róża na białe piersi umarłej, i leżała na nich, a w jamie rozeszła się od niej woń różana i mocna.

Nie śmiał więc Anhelli ruszyć ciała umarłej, ani złożyć rąk które były wyciągnięte, lecz usiadłszy na końcu łoża, płakał.

A oto jakoby o północy stał się wielki szelest, i myślał Anhelli że reny szeleszczą, wyjadając mech z pod łoża śmierci; lecz inna była przyczyna.

Chmura jakoby duchów ciemnych zatrzymała się nad jamą, śmiejąc się głośno, a ciemne twarze pokazały się przez rozszczepione lodu sklepienie i krzyczały: naszą jest!

Lecz róża owa cudowna dostawszy skrzydeł gołębich, podleciała w górę, i spojrzała na nie oczyma niewinnego aniołka.

Ciemne więc owe duchy i chmura ich wzniosła się z dachu, krzycząc w ciemnem powietrzu smutne przeklinania, i stała się znów cichość, jaka przystoi w miejscu gdzie trup spoczywa.

W trzy zaś godziny po północy, usłyszał Anhelli stukanie do drzwi które były z lodu, i odwaliwszy bryłę wyszedł na księżyc.

I zobaczył owego Anioła, który mu był przypomniał miłość dla niewiasty, pierwszą jego miłość na ziemi; więc spuściwszy przed nim głowę, stał cicho.

I rzekła do niego Eloe: «Wynieś mi tu umarłą twoją siostrę, ja wezmę ją i pochowam litośnie; moją jest.»

Odszedłszy więc Anhelli do jamy, wziął na ręce trupa, wyniósł i położył go na śniegu przed Aniołem.

A Eloe uklęknąwszy nad śpiącą, podłożyła pod nią z obojej strony końce skrzydeł łabędzich i zawiązała je pod umarłą.

I z pełnemi trupa skrzydłami, wstawszy na księżyc, odeszła.

Wrócił więc Anhelli do jamy pustej, i spojrzawszy na ściany zajęczał, bo już jej nie było.

ROZDZIAŁ XIV.

Około więc onego czasu, gdy ziemia zaczyna się od słońca odwracać i zasypia w ciemnościach. —

Zawołał Jehowa dwa odwieczne Cherubiny przed tron swój, i rzekł: «Idźcie na równinę Syberji.»

A patrząc w światło Boże, zrozumieli Aniołowie jaka była wola Pana, i zeszli w krainę mglistą ukrywszy w sobie światłość.

I przyszli na miejsce gdzie była posieleńców szopa, lecz nie znaleźli śladu jej, wicher ją był bowiem powalił.

A z owych tysiąca zostało jakoby dziesięciu ludzi bladych i strasznych z postaci.

A przybliżywszy się Aniołowie, ujrzeli ich przy stosie wielkim z drzewa, na którym leżał trup człowieczy.

I wzdrygnąwszy się rzekli: «ludzie, co czynicie? Azaż to jest ofiara Bogom piekielnym.»

Odpowiedział im na to człowiek najstarszy: «Zaprawdę, że ofiarą naszą jest trup, a Bogiem który go przyjmie jest głód.

«Zrobiliśmy rzecz równą z naszego społeczeństwa, a rządził nami los, nie zaś żaden pan ziemski, ani króle.

A cóż więc mieliśmy czynić z wnętrznościami naszemi, i z gniazdem węży, które nam gryzło wnętrzności?

Czy Bóg pamiętał o nas? i dał nam umrzeć w ojczyznie i w ziemi gdzieśmy się urodzili?

«Nie! Uczynił nas ludem Kaimów i ludem Samojedów. — Przeklęty!»

Tak mówił ów człowiek i ocierał usta, na których była krew świeża! A na to zaś Anieli:

«Nawróćcie się, rzekli, i proście Boga! albowiem pokażemy wam znak jego gniewu ten sam, który był niegdyś znakiem przebaczenia.»

I roześmiali się głośno ci ludzie, nie wiedząc że z Aniołami rozmawiali, i rzekli: «Jakiż jest znak?»

A wyciągnąwszy rękę Anieli, pokazali na wielką tęczę, która przebiegła i położyła się na połowicy chmurnych niebios, mówiąc: «Oto ten jest.»

I straszliwe przerażenie zdjęło te ludojady, na widok rzeczy tak piękniej i błyszczącej, której Bóg użył na znak swego rozgniewania.

A usta ich były otwarte, a języki czarne jak węgiel, a oczy ich jakoby szklanne nie odwracały się od niebieskich kolorów.

I w zadziwieniu wyrzekli imię Chrystusa i poupadali martwi.

ROZDZIAŁ XV.

Tego samego dnia, przed wschodem słońca, siedział Anhelli na bryle lodu, na miejscu pustem, i ujrzał zbliżających się ku sobie dwóch młodzieńców.

Po wietrze lekkim który szedł od nich, poczuł że byli od Boga, i czekał co mu zwiastować będą, spodziewając się, że śmierć.

A gdy go pozdrowili jak ziemscy ludzie, rzekł: «Poznałem was, nie kryjcie się, Aniołami jesteście.

«Przychodzicie-li pocieszyć mię? Czy sprzeczać się ze smutkiem, który się nauczył w samotności milczenia?»

I rzekli mu ci młodzieńcy: «Oto przyszliśmy ci zwiastować że dzisiejsze słońce wstanie jeszcze, lecz jutrzejsze nie pokaże się nad ziemią.

«Przyszliśmy ci zwiastować ciemność zimową i większą okropność, niż jacy ludzie doznali kiedy; samotność w ciemnościach.

«Przyszliśmy ci zwiastować, że bracia twoi pomarli, jedząc trupy i będąc wściekli od krwi ludzkiej: a ty jesteś ostatni.

«A jesteśmy ci sami, którzy przed wiekami przyszli do chaty kołodzieja i usiedli za jego stołem w cieniu lip pachnących.

«Lud wasz wtenczas był jako człowiek, który się budzi i powiada sobie: oto mię rzecz miła czeka o południu i weselić się będę wieczorem.

«Zwiastowaliśmy wam nadzieję, a teraz przyszliśmy zwiastować koniec i nieszczęście, a Bóg nie kazał nam wyjawić przyszłości.»

I rzekł im odpowiadając Anhelli: «Zaprawdę, urągacie mi mówiąc o Piaście i o początku wtenczas, kiedy ja czekam śmierci, a w życiu mojem widziałem nędzę!

«Czy przyszliście przerazić mię wołając: ciemności nadchodzą! Na cóż wam przerażać tego co cierpi? Nie dosyć-że jest przerażenia w grobowcu?

«Życie moje zaczęło się od przerażenia. Ojciec mój umarł śmiercią synów ojczyzny, zamordowany; a matka moja umarła z boleści po nim, a jam był pogrobowcem.

«Pierwsza lilja na grobie ojca mego jest moją rówieniczką, a pierwsza róża na grobie matki mojej była mi siostrą młodszą.

«Oto mię w kołysce owionęła woń krwi ojcowskiej, i wyrosłem z twarzą smutną i przelęknioną.

«A gdym usiadał dzieckiem na kolanach u ludzi obcych, to gadałem wyrazami przerażenia z ciemnością, a liść jesienny szumiący z wichrami rozumiałem co szeptał.

«Nad kołyską moją był przestrach; więc niech przynajmniej sam smutek cichy będzie w godzinę śmierci.

«Idźcie! i powiedzcie Bogu, że jeżeli ofiara duszy przyjętą jest, oddaję ją, i zgadzam się aby umarła.

«Taki mam smutek w sercu, że mi światła anielskie w przyszłości natrętnemi są, a obojętny jestem na wieczność, a nawet znużony jestem i chcę zasnąć.

«A choć Bóg wie że jestem czysty na duszy i nieskalany żadnym grzechem podłym — oto powiedzcie mu, że jeżeli chce ofiary z duszy mojej — to ją dam.»

I przerwali mu Anieli mówiąc: «Gubisz się — żądanie człowieka jest sądem na niego.

«A wiesz-li ty, czy od spokojności twojej nie zależy żywot jaki, a może żywot i los miljonów?

«Możeś jest wybrany na ofiarę spokojną, a chcesz się zamienić w piorun gwałtowny i być rzuconym w ciemność dla przestrachu zgrai?»

I ukorzył się Anhelli mówiąc: «Anieli, przebaczcie mi! uniosłem się, i skrzydła myśli moich uniosły mię.

«Więc będę cierpiał jak dawniej: oto język mój rodzinny i mowa ludzka zostanie we mnie jak harfa z porwanemi strunami. Do kogóż mówić będę? —

«Ciemność będzie towarzyszem moim i krajem moim.

«A oczy moje jak służebnice, które przestają pracować dla braku oliwy w lampie wieczornej.

«A wzrok mój, jak gołębie latające po nocy, które się tłuką o drzewa i skały piersią zlęknioną.

«Płomieniste koła urodzą się w mózgu moim, i staną przed oczyma, jak wierne sługi idące z latarniami przed panem.

«I wyciągnę ręce w ciemności, aby ułowić którą z plam płomienistych, jak człowiek obłąkany.

«Lecz okropności ziemi są niczem, zgryzota moja dla ojczyzny okropniejszą. Cóż uczynić?

«O! dajcie mi moc miljona ludzi, a potem mękę miljona tych, którzy są w piekle.

«Czemużem się targał i męczył dla rzeczy będącej szaleństwem? czemu nie żyłem spokojnie?

«Rzuciłem się w rzekę nieszczęścia i fala jej zaniosła mię daleko i już nie wrócę! — Nigdy!»

A znowu przerwali mu Anieli, mówiąc: «Oto się raz uniosłeś aż do bluźnierstwa przeciwko duszy własnej, a teraz bluźnisz przeciwko woli, która była w tobie, kiedyś się poświęcił za ojczyznę.

«Jestże jaki zły duch w najczystszych sercach ludzi, który je mięsza i przerzuca za kres dobrego?

«Ostrzegamy więc ciebie z woli Boskiej że za niewiele godzin umrzesz — przeto bądź spokojniejszy.»

Usłyszawszy to Anhelli, spuścił głowę i poddał się woli Boskiej. A zaś Aniołowie odeszli.

ROZDZIAŁ XVI.

A zostawszy sam Anhelli, zawołał smutnym głosem: «Więc koniec już?

«Cóż robiłem na ziemi? Byłże to sen?»

A gdy rozmyślał Anhelli o tajemnicach przyszłych, zaczerwieniło się niebo i wybuchnęło wspaniałe słońce: a stanąwszy na kręgu ziemskim, nie podniosło się czerwone jak ogień.

Korzystały z dnia krótkiego ptaki niebieskie i białe mewy, którym Bóg uciekać kazał przed ciemnością, i wielkiemi tłumami leciały, jęcząc.

Więc spojrzał na Anhelli i zawołał: «Gdzie wy lecicie, o mewy?»

I zdawało mu się, że w jęku ptaków usłyszał głos odpowiadający mu: «Lecimy do ojczyzny twojej!

«Czy każesz nam pozdrowić kogo? Czy usiadłszy nad jakim miłym domem, zapiać w nocy pieśń nieszczęścia?

«Aby się obudziła matka twoja, lub który z krewnych twoich i zaczęli płakać w ciemności z przerażenia:

«Myśląc o synie, którego pożarła kraina grobowca — i o bracie, którego pochłonęło nieszczęście.»

Taki był głos ptaków, i roskruszyło się serce w Anhellim, i upadł.

A słońce utonęło pod ziemią, i tylko jeszcze najwyżej lecące ptaki świetniały na szafirowem niebie, jak róż białych girlandy ulatujące ku południowi.

Anhelli był umarły.

ROZDZIAŁ XVII.

W ciemności, która była potem, rozwidniała się wielka zorza południowa i pożar chmur.

A księżyc znużony, spuszczał się w płomienie niebios, jakoby gołąb biały spadający wieczorem na chatę czerwoną od słońca zachodu.

Eloe siedziała nad ciałem zmarłego, z gwiazdą melancholiczną na rozpuszczonych włosach.

I oto nagle z płomienistej zorzy wystąpił rycerz na koniu, zbrojny cały i leciał z okropnym tententem.

Śnieg szedł przed nim, przed piersią konia, jak fala zapieniona przed łodzią.

A w ręku rycerza była chorągiew, a na niej trzy ogniste litery paliły się.

I przyleciawszy ów rycerz nad trupa, zawołał grzmiącym głosem: «Tu był żołnierz, niech wstanie!

«Niech siada na koń, ja go poniosę prędzej niż burza, tam, gdzie się rozweseli w ogniu.

«Oto zmartwychwstają narody! Oto z trupów są bruki miast! Oto lud przeważa!

«Nad krwawemi rzekami i na krużgankach pałacowych stoją bladzi królowie, trzymając szaty na piersiach szkarłatne, aby zakryć pierś przed kulą świszczącą i przed wichrem zemsty ludzkiej.

«Korony ich ulatują z głów, jak orły niebieskie, i czaszki królów są odkryte.

«Bóg rzuca pioruny na głowy siwe i na obnażone z koron czoła.

«Kto ma duszę, niech wstanie! niech żyje! Bo jest czas żywota dla ludzi silnych.»

Tak mówił rycerz, a Eloe powstawszy z nad trupa, rzekła: «Rycerzu, nie budź go — bo śpi.

«On był przeznaczony na ofiarę, nawet na ofiarę serca. Rycerzu, leć dalej, nie budź go.

«Jam jest w części odpowiedzialna, że serce jego nie było tak czyste jak djamentowe źródło, i tak wonne jak lilje wiosenne.

«To ciało do mnie należy, to serce mojem było. Rycerzu! koń twój tętni — leć dalej!»

I poleciał ów rycerz ognisty z szumem, jakby burzy wielkiej! A Eloe usiadła nad ciałem martwego.

I uradowała się, że serce jego nie obudziło się na głos rycerza i że już spoczywał. —

OJCIEC

ZADŻUMIONYCH

W EL-ARISH.

Dla objaśnienia następnego poematu, potrzeba mi nieodbicie powiedzieć kilka słów o kwarantannie na pustyni między Egiptem a Palestyną, blisko miasteczka El-Arish. Wymysłem to jest dziwnym Mahomeda Ali, że między dwoma swojemi państwami naznaczył myślą na błędnym piasku granicę, i pod karą miecza zmusił wolne Beduiny rozbijać w tem miejscu namioty i żyć przez dni kilkanaście pod dozorem straży i doktora, inaczej zaś z Egiptu do Syrji dostać się nie mogą. Podróżując na wielbłądzie, musiałem podobnemu uledz losowi. Po ośmiu dniach drogi przybyłem z Kairu na smutną dolinę piaszczystą, abym na niej przez dni dwanaście zamieszkał. Zrazu pojąć nie mogłem, jak miejsce puste, bez żadnego domu, błędnym piaskiem zwiane, mogło prawu ludzkiemu podlegać; ale miecz Baszy zdawał się wisieć w błękitnem niebie nad głową moich przewodników Arabów, bo przybywszy na dolinę kwarantanny, kazali zaraz uklęknąć wielbłądom, a w twarzach ich czarnych widać było głębokie poddanie się ludzi wolnych pod prawo strasznego człowieka. Przybył doktor z miasteczka El-Arish. Pierwsze to było miasteczko, które od wyjazdu z Kairu zobaczyłem z daleka, a doktor pierwszym napotkanym człowiekiem. Pan Steble, tak się nazywał ów lekarz, emigrant włoski, ożeniony świeżo z panną Malagamba, sławną pięknością na wschodzie, o której Lamartine z takiem uniesieniem rozpowiada, starał się natychmiast mój pobyt pod otwartem niebem jak najwygodniej urządzić. Wydał ze składu kilka namiotów dla naszej podróżnej gromadki; a jak się później dowiedziałem, rączki jego żony grzęzły w białej i srebrnej mące, aby mi na chlebie europejskim nie zabrakło. Rozłożywszy się pod namiotem,

przywykać zacząłem do smutnego widoku, który mię otaczał. Opodal nieco rzeczka, sucha prawie aż do dna, przerzynała piasku dolinę i szła do morza — za nią wstęga palmowych lasów; od północy błękitna szarfa morza Śródziemnego roztrącała się o piasek i smutnym gwarem fal napełniała ciche nad pustynią powietrze. Nad morzem zaś, na piramidalnej piasku mogile, błyszczał białą kopułą mały grobowiec Szecha; straszny, albowiem tam w jego lochach składano umarłych z dżumy; a zaś architektura jego i żółtawa białość nadawały mu pozór kościotrupa. Z innych stron wzgórza piaskowe i na nich straży namioty, i patrzący na kwarantannę strażnicy w jaskrawych, orjentalnych ubiorach; w środku zaś doliny niby stożec piaskowy, z którego muezin obwoływał donośnym głosem wielkość Boga: rano, wieczorem i w nocy. Wszystkie te obrazy czytelnik drugi raz odbite znajdzie w następującej powieści; a pokażą się mu we właściwem świetle, albowiem je zobaczy przez łzy ludzkie. Co do mnie, przywykać zacząłem do mego namiotu i podobałem sobie w ciszy piaskowego stepu i w szumie morza, do którego brzegów pozwolono mi chodzić, wziąwszy z sobą jednego z strażników kwarantanny. W wigilję Bożego Narodzenia (1836 r.), kiedy z tej spokojnej pustyni myśli moje odbiegały aż do dalekiej ojczyzny mojej, i ku owym dniom, które dawniej spędzałem na ucztach w gronie rodzinnem: okropna burza, przewiewana wichrem z morza Czerwonego na Śródziemne, gruchnęła w nocy i polała się deszczem piorunów na mój namiot, oddalony od ludzi. W smutne i zamyślone o kraju serce zaczęło wchodzić powoli przerażenie. Szeleszczący od wichrów i deszczu namiot chwiał się nademną, i zaczerwieniony od piorunów, wydawał się ognistym i strzegącym łoża bezsennego Cherubinem. Wicher mi zagasił światło, a wilgotny knot na nowo zapalić się nie chciał. Próżne tu były opisy; albowiem wielkością biblijną nacechowana była ta burza w pustyni. — Anhelli myślał że już przyszedł wicher, który go z ziemi zwieje i zaniesie w krainę cichą. — Przeszła jednak ta bezsenna noc zgryzoty, a gdy nad rankiem wyszedłem z namiotu, chmury żelazne okrywały niebo i drobny deszczyk zasmucał powietrze. Ale tu nie był

koniec przestrachów; krzyk Arabów uwiadomił mię o nowem niebespieczeństwie: owa rzeczka, gdzie wczoraj zaledwo nitka wody sączyła się po piaskowem korycie, nabrzmiała nocną ulewą, i srebrnemi pletwami prosto biegła roztoczyć się po dolinie, na której stały nasze namioty; zaledwo kilka chwil czasu zostawało do ratunku. Unieśliśmy za pomocą Arabów namioty nasze na najbliższe wzgórze piaskowe, które jako ślady naszych zerwanych domów zostały w dolinie. Zziębły i ponury patrzałem ze wzgórza na tryumf tej biednej rzeczki, a patrząc tak, dziwnego doznawałem wrażenia. Bez dachu, bez ognia, bez pokarmu, doznawszy morskiego prawie na ziemi rozbicia, nie mogłem jednak udać się do pobliskiego miasteczka, gdzie byli ludzie, ani prosić, aby mię pod dach jaki przyjęto i przy gościnnem posadzono ognisku. A mogły nadejść okropniejsze burze, mogło nareszcie przyjść morze i zatopić wzgórze, na którem stałem; a wszystko to było trzeba własnemi siłami wytrzymać, ocalić się lub zginąć pod okiem ludzi, którzy się mnie i rzeczy moich dotknąć nie mogli i nie śmieli. Wyjaśniało się nakoniec niebo, a ja, nauczony doświadczeniem, już nie w dolinie, lecz na wzgórzu najwyższem rozbiłem namiot; i przyszły dnie pogodne, ciche, spokojnie płynące w pustyni. Drogman mój Soliman, sławny z tego i chełpliwy że był niegdyś tłumaczem Champoliona, Roseliniego, Fresnela i wielu innych, opowiadał mi o swoich dawnych panach różne drobne szczegóły ich podróży, i ze mnie zapewnie zbierał zapas małych spostrzeżeń, któremi będzie bawił przyszłych wędrowników. Wieczorem zaś, usiadłszy na ziemi u wejścia do namiotu, piękny ten Arab, z długą brodą, oświecony wzierającym między płótna księżycem, śpiewał mi strofy z poematów arabskich, których dźwięk nierozumiany i smutna nuta kołysały mię do snu. A wtenczas może mię anioł snów okrywał płaszczem rycerza Solimy i naznaczył krzyżem czerwonym na piersiach, a zaś Araba tego przemieniał w giermka śpiewającego smutne dumy z ziemi rodzinnej. Lecz dosyć już o tym śnie tajemniczym życia mojego, o tym złotym stepie, i o tym namiocie, gdzie miałem chwile spokojne — gdzie budząc się, przez roztworzone płótno oczy moje napotykały konstellację Orjona, tak podobną

do gwiaździstej lutni zawieszonej przez Boga nad biednym namiotem błędnego Polaka. Dosyć o tym cichym tygodniu życia — przeminął. — Wielbłądy moje znów uklękły przedemną i podniosły się z pielgrzymem zadumanym, wyciągając długie, wężom podobne szyje, ku grobowcowi Chrystusowemu. A kiedy już byłem o godzinę drogi ku wschodowi, obróciłem się na siodle, aby raz jeszcze spojrzeć na mój namiot zielony; obaczyłem go na wzgórzu, i zdawało mi się, że sam wyszedł na miejsce wysokie, aby mię pożegnać. A czy to ludzie pakując rzeczy, czyli też sam namiot nie czując już w sobie mieszkańca, wyrwał kilka kołów z piasku i skrzydłem powiewał za mną, pokazując mi swoje łono czarne i puste. Odwróciłem się od tej sceny, co miała serce rozdarte po mnie. A wkrótce zaczęły się pokazywać na piasku lilje białe, zwiastując że się zbliżam do żyźniejszej krainy: i pomyślałem, że na te same kwiaty obróciwszy oczy, mówił Chrystus do uczniów swoich, aby się nie troszczyli o jutro i o rzeczy z tego świata, patrząc na lilje, które Bóg odziewa.

Oto jest opis kwarantanny odbytej przezemnie na pustyni; gorszą daleko wysiedział ów starzec, opowiadający nieszczęścia swoje w następnym poemacie. Historja jego boleści nie jest całkowicie zmyśloną: opowiadał mi ją doktor Steble, któremu tak za nią, jako za chleby i za uprzejmości dla mnie podziękowałbym tutaj, gdybym wiedział że te kilka wyrazów znajdzie go na pustyni. Ale czemże jest dla niego wspomnienie w niezrozumiałym języku, i wymówione głosem, który zaledwo się tak rozchodzi, jak kręgi na wodzie po rzuconym do niej kamieniu! —

OJCIEC ZADŻUMIONYCH

W EL-ARISH.

Trzy razy księżyc odmienił się złoty,
Jak na tym piasku rozbiłem namioty.
Maleńkie dziecko karmiła mi żona —
Prócz tego dziecka, trzech synów, trzy córki.
Cała rodzina dzisiaj pogrzebiona,
Przybyła ze mną. Dziewięć dromedarów
Chodziło co dnia na piasku pagórki,
Karmić się chwastem nadmorskich ajerów;
A wieczór wszystkie tu się kładły wiankiem,
Tu, gdzie się ogień już dawno nie pali.
Córki po wodę chodziły ze dzbankiem,
Synowie moi ogień rozkładali,
Żona, z synaczkiem przy piersiach, warzyła.
Wszystko to dzisiaj tam — gdzie ta mogiła
Promienistemu słońcu się odśmiecha —
Wszystko tam leży pod kopułką Szecha.
A ja samotny wracam! O, boleści!
Trzy razy wieków przeżywszy czterdzieści;
Odkąd od mego płóciennego dworu
W tej kwarantannie wszedł anioł pomoru.

O! niewiadoma ta boleść nikomu,
Jaka się w mojem sercu dziś zamyka!

Wracam na Liban, do mojego domu —
W dziedzińcu moim pomarańcza dzika
Zapyta: Starcze! gdzie są twoje dziatki?
W dziedzińcu moim córek moich kwiatki
Spytają: Starcze! gdzie są twoje córki?
Najprzód błękitne na Libanie chmurki
Pytać mię będą o synów, o żonę,
O dzieci moje — wszystkie pogrzebione
Tam, pod grobowcem tym okropnym Szecha.
I wszystkie będą mię pytały echa,
I wszyscy ludzie, czy wracam ze zdrowiem,
Pytać się będą. — Cóż ja im odpowiem?!

Przybyłem. Namiot rozbiłem na piasku.
Wielbłądy moje cicho się pokładły;
Dziecko, jak mały aniołek w obrasku,
Karmiło wróble, a ptaszęta jadły,
Aż do rąk prawie przychodząc dziecinie.
Widzisz tę małą rzeczułkę w dolinie?
Od niej wracała najmłodsza dziewczyna
Z dzbankiem na głowie, prościutka jak trzcina.
Przyszła do ognia i wodą z potoku,
Śmiejąc się, lekko trysnęła na braci.
Najstarszy, z ogniem zapalonym w oku,
Wstał, dzbanek wody chwycił w drżące dłonie
I rzekł: Sam Bóg ci za wodę zapłaci,
Bo chcę pić jak pies, bo ogień mam w łonie. —
To mówiąc, wodę wypiwszy ze dzbana,
Powalił się tu jak palma złamana.
Przybiegłem — nie czas już było ratować.
Siostry go chciały martwego całować —
Krzyknąłem wściekły: Niech nikt się nie waży!
Porwałem trupa i rzuciłem straży,
Aby go wzięła na żelazne zgrzebła.
I tam gdzie grzebią zarażonych, grzebła.
A od tej nocy tak pełnej boleści,
Naznaczono mi nowych dni czterdzieści.

Tej samej nocy Hafne i Amina
Umarły, leżąc na łożu przy sobie.
A patrz! — tak cicho umarły obie
Że choć po śmierci najmłodszego syna
Oczy się moje do snu nie zawarły —
Ja nie słyszałem jak obie umarły!
I nawet matka własna nie słyszała,
Choć wiem, że także tej nocy nie spała.
Rankiem obiedwie sine jak żelazo,
Dwie moje córki zabite zarazą;
Wywlec kazałem strażnikom z namiotu:
I porzuciły nas! — i bez powrotu! —
A jak dorosłym przystoi dziewicom,
Włosami ziemię zamiotły rodzicom.

Widzisz to słońce w niebie lazurowem?
Zawsze tam wschodzi za lasem palmowym,
Zawsze zachodzi za tą piasku górą;
Zawsze to niebo nie splamione chmurą;
A mnie się zdawało wtenczas, nie wiem czemu,
Że słońce słońcu nierówne złotemu,
I już nie takie jakie było wczora,
Ale podobne do słońca upiora.
A niebo, które patrzało na zgubę
Mego rodzeństwa, moich trojga dzieci,
Tak mi się mgliste zdawało i grube,
Ziemi wyziewem i słońca purpurą —
Że nie wiedziałem, czy pacierz doleci
Do Pana Boga, co się zakrył chmurą.

I tak dni dziesięć przeszło, choć nie skoro.
Reszta mych dzieci żyła — wszystko czworo.
Małżonka moja serce miała lżejsze,
I nawet moje dzieciątko najmniejsze
Żyło i kwiatkiem nie chciało usychać;
Ja sam nareszcie zacząłem oddychać,
Bo nie wierzyłem, żeby wziąwszy troje,
Bóg mi chciał zabrać wszystkie dzieci moje!

O! była to więc piekielna godzina,
Gdy patrząc na twarz najmłodszego syna;
Śmierć zobaczyłem! Ach, ja go tak strzegłem!
Pierwszy na twarzy znak wystąpił drobny,
Nikt by nie dostrzegł — ja, ojciec, spostrzegłem
On do tamtego stawał się podobny,
Stawał się jak trup pierwourodzony.
Z jasnego blady, z bladego czerwony.
Patrzę! — na twarzy plam żelaznych krocie,
Więc zawołałem głośno: śmierć w namiocie!
I pochwyciwszy go z takiemi trądy,
Wyniosłem na step, pomiędzy wielbłądy,
Aby go tam śmierć zgryzła do ostatka,
I żeby na to nie patrzała — matka

Przy konającym czuwaliśmy bliscy,
Jak z wielbłądami na kolanach wszyscy.
Łamałem ręce i wołałem głośno:
Oby nie umarł! lub się był nie rodził! —
A tam nad palmy, z twarzą nielitośną,
Gdy konał mój syn, blady miesiąc wschodził —
I patrzał! — Tego z pamięci nie zatrzeć!
I nie wiem jak ten sam miesiąc mógł patrzeć?
Gdy skonał w moim ojcowskim uścisku,
Chciałem go spalić na popiół w ognisku:
Lecz ledwie ogień zaczął biedz po szacie,
Wyrwałem trupa i rzuciłem straży;
Poniosło mi go czarnych dwóch grabarzy.
I lepiej mu tam przy siostrach i bracie.
Od tego zgonu i od tej boleści,
Naznaczono mi nowych dni czterdzieści.

Pod kręgiem słońca jako krew czerwonym,
I pod namiotem tym zapowietrzonym,
Żyliśmy, słowa nie mówiąc do siebie,
I śmierć przed samą śmiercią udawali:
Myśląc że Boga oszukamy w niebie,
Że się ten bałwan zarazy przewali.

Powrócił! — Anioł powrócił morderca!
Ale mnie znalazł bez ładu i serca,
Już omdlałego na boleści świeże,
Już mówiącego: Niech Bóg wszystko bierze;
Miałem na syna trzeciego cierpienia
Powieki bez łez i serce z kamienia.
Boleść już była jako chleb powszedni.
I pod oczyma mi skonał mój średni,
Najmniej kochany w mem rodzinnem gronie,
I najmniej z dzieci płakany po zgonie.
To też Bóg jemu wynagrodził za to,
Bo mu dał cichą śmierć i lodowatą,
Bez żadnych bolów, bez żadnych omamień.
Skonał i skościał, i stał się jak kamień.
A tak okropnie po śmierci wyglądał,
Jakby już próżnych naszych łez nie żądał,
Ale chciał tylko lice swoje wrazić
W serca nieczułe, oczy nam przerazić,
I wiecznie zostać w rodziców pamięci,
Z twarzą, co woła: Jesteście przeklęci! —

Skonał. Myślałem wtenczas — o rozpaczy! —
Że jeśli reszcie Pan Bóg nie przebaczy,
Jeśli Anioła śmierci przyszle po nie!
Dziecko mi weźmie — żonę — a po żonie
Mnie nieszczęsnego zawoła przed Stwórcę.
Córka! — Ja myśleć nie śmiałem o córce!
I trwoga o nią nie gryzła mię żadna.
Ach, ona była młoda, tak ładna!
Taka wesoła, kiedy moją głowę
Do lilijowych brała chłodzić rączek —
Kiedy zrobiwszy z jedwabiu osnowę,
Około cedru biegała po trawie,
Jak pracowity snując się pajączek!
Patrz! i ten pas mój błyszczący jaskrawie
Ona zrobiła — i te smutne oczy
Ona rąbkami złocistych warkoczy
Tak przesłaniała, że patrzałem na nią

Jako na różę, przez me łzy i słońce.
Ach ona była domu mego panią!
Ona jak jaśni anieli obrońce,
Najmniejsze dziecko w kołyseczce strzegła,
I gdzie płacz jaki słyszała, tam biegła;
I wszystkie nasze opłakała ciosy,
I wszystkie nasze łzy — wzięła na włosy —
Dziesięć dni przeszło, i nocy tak długich,
Że śmierć już mogła na gwiazdy odlecić.
Dziesięć dni przeszło, dziesięć nocy drugich
Przeszło — nadzieja zaczynała świecić —
Po dzieciach ustał wielki płacz niewieści,
I naliczyliśmy ranków już trzydzieści.
Nareszcie, zbywszy pamięci i mocy,
Położyłem się i zasnąłem w nocy.
I we śnie, w lekkie owinięte chmury,
Ujrzałem moje dwie umarłe córy.
Przyszły, za ręce trzymając się obie;
I pozdrowiwszy mię pokojem w grobie,
Poszły oczyma cichemi błyszczące
Nawiedzać inne, po namiocie śpiące.
Szły cicho, zwolna, schylały się nisko
Nad matki łożem, nad dziecka kołyską.
Potem na moją najmłodszą dziewczynę
Obiedwie ręce położyły sine!
Budzę się z krzykiem i umarłą dziatwę
Klnąc, wołam dziko: Hatfe! moja Hatfe! —
Przyszła jak ptaszek, cicho, po kobiercu,
Rzuciła mi się rączkami na szyję;
I przekonałem się że Hatfe żyje,
Słysząc jej serce bijące na sercu.
Ale nazajutrz grom przyszedł uderzyć —
Córka!!! — Lecz na co z boleścią się szerzyć?
I to mi dziecko sroga śmierć wydarła!
I ta mi córka na rękach umarła!
A była jedna najstraszniejsza chwila:
Kiedy ją bole targały zabójcze,
Woła: Ratuj mię! ratuj mię, mój ojcze! —

I miała wtenczas czerwone usteczka,
Jak młoda róża kiedy się rozchyla.
I tak umarła ta moja dzieweczka,
Że mi się serce rozdarło na ćwierci —
A piękna była jak anioł — po śmierci!

Przyszli nademną płakać nieborakiem
Strażnicy, przyszli mi wydrzeć to ciało.
I, nieostrożni! zaczepili hakiem —
Hak padł na pierś jej twardą, krągłą, białą —
I tu — bogdajby jak ja nie umarli! —
Tu ją przed memi oczami rozdarli. —
Ty im to Boże niebieski spamiętasz!
Wziąłem ją — i sam zaniosłem na smętarz.

Z założonemi na piersiach rękoma
Siedziała trzy dni matka nieruchoma,
W kącie namiotu żółta jakby z drewna.
Dziecina stała się blada i rzewna,
Bo mleko matki zaczęło wysychać,
I co dnia było płacz w kołysce słychać.
A ta pustynia — nie masz dzieci, w grobie! —
Ona inaczej wydaje się tobie,
Może złocista, jasna i weselna?
Lecz dla mnie, jest to równina piekielna!
Przez tą równinę, przez te piasku kupy,
Ciągnięto śniade moich dzieci trupy.
A tam na wzgórzu kędy morze bije —
Dla ciebi szumi morze — dla mnie wyje;
A kiedy z wichrem na brzegi nie skacze,
Dla ciebie szemrze tylko — dla mnie płacze.
Co dnia, gdy przyszła wieczorna godzina
Śpiewającegom słyszał muezina:
Jakby się nad mym ulitował losem,
Zaczął smutniejszym obwoływać głosem,
Krzycząc ze swego piaskowego stoga
Nieszczęśliwemu ojcu — wielkość Boga.
O! bądźże mi ty pochwalony Allah!

Szumem pożaru co miasta zapala,
Trzęsieniem ziemi co grody wywraca —
Zarazą, która dzieci me wytraca,
I bierze syny z łona rodzicielki.
O! Allah! Akbar Allah! jesteś wielki!

Wszystko co miało tylko twarz człowieka,
Zaczęło stronić odemnie zdaleka.
Namiotu mego — córki go uprzędły —
Płótna na rosie poczerniały, zwiędły
I podarły się, i lekko napięte
Były jak próchna z ludzkich trumien zdjęte.
Zarazę było znać na tym namiocie —
I wiesz? że nawet tych wróbelków krocie,
Co zlatywały się tutaj o brzasku,
Jeść okruszyny i kąpać się w piasku:
Odkąd mi dzieci zaczęło ubywać,
Po żer przestały się wszystkie zlatywać.
Czy obstraszyło je podarte płótno
Namiotu mego? czy twarz moja biedna?
Nie przyleciała z ptaszyn ani jedna,
I spostrzegłem to — i było mi smutno.

Po córce w pięć dni — o! Boże mój! Boże!
Z wieczora huczeć już zaczęło morze!
I słońca się krąg pochował ponury,
I niebo czarne zaciągnęły chmury.
Noc przyszła, dotąd w pamięci ohydna,
Ciemna, od gromów czerwoności widna.
Jeszcze dziś czuję i widzę i słyszę,
Słyszę, jak namiot gęste sieką deszcze;
Jak się rozciąga, jak głucho szeleszcze,
Jak się nademną w ciemności kołysze
I od piorunów się cały czerwieni,
Podobny grobom szatańskim z płomieni.
Zdawało mi się za burzy łoskotem
Żem słyszał martwe dzieci, za namiotem,
Wszystkie jęczące przeraźliwie — głucho! —

Więc natężałem słuch, serce i ucho;
I z przerażeniem rozmyślałem w sobie,
Jak moim dzieciom takiej nocy w grobie?

I nagle — — Czemuż ta śmierć tak zdradziecko!
Tak cicho weszła pod namiotu żagle?!
Grom spadał hucząc po gromie — i nagle
W kołysce z cicha zapłakało dziecko —
A płacz ten musiał być strasznym wyrazem —
Bo zaraz — matka — ja — oboje razem —
Rzuciliśmy się gdzie robaczek lichy —
A choć dziecięcia jęk był bardzo cichy:
To tak wydawał się obojgu głośny,
I tak rozdarty, i taki żałośny,
I tak z głębokich wnętrzności wyjęty!
I tak rozumny! i taki przeklęty!!!
Żeśmy oboje biegli gromem tknięci,
I bez nadziei już! i bez pamięci!

I nie zawiodło przeczucie żałoby!
Umarło — z takiej jak tamte choroby.
I poszło leżeć między trupy bratnie,
Moje najmilsze! — i moje ostatnie!!!
Śmierć mi go czarna wzięła nielitośnie.
I już nie wróci! ani mi urośnie!
Ani go kiedy mój dom już obaczy! —
I już nie wróci nigdy! — O! rozpaczy!!!

Noc przyszła druga, błyszcząca gwiazdami.
Byliśmy z matką w namiocie — przed nami
Leżało dziecko na stole nieżywe,
Nieruchomością śmierci przeraźliwe.
Uczułem wtenczas patrząc na tę postać,
Że gdyby mogło choć tak z nami zostać,
Przez wszystkie lata — choć tak, nie inaczej —
Ubyłoby mi z serca pół rozpaczy. —
I te już — ani zarazy strażnicy,
Ani ja, niosłem do Szecha kaplicy,

Gdzie się nam trupia otwierała brama:
Ale je matka tam zaniosła sama.

W namiocie pustym ja zostałem z żoną.
Ale czy pojmiesz? — zamiast nas połączyć
Boleść, obojgu nam rozdarłszy łono,
Zaczęła jakieś jady w serca sączyć,
I teraz chyba je sam Bóg oczyści.
Smutek podobny był do nienawiści,
I stanął czarny, wielki, między nami.
Więc rozłączeni byliśmy i sami.
I nie mówiliśmy do siebie i słowa —
Bo powiedz, jakaż być mogła rozmowa?
W pustym namiocie między mną i żoną,
Pomiędzy ojcem i matką tych dzieci? —
Słońce wschodziło w upały czerwono,
Co dnia tonęło tam gdzie teraz świeci,
Jak jaka skrawa pożaru pochodnia. —
Więc tak bezdzietnie było — i tak co dnia —
Cisza ogromna namiot nasz zaległa.
Chyba mysz jaka w księżycu przebiegła;
Zgoła innego jęku ni szelestu —
Doczekaliśmy więc tak dni czterdziestu.
I kwarantanny przybyli lekarze,
Głęboko patrząc w nasze smutne twarze.
Widziałem jak się każdy z nich zadziwiał;
Bo nachyliłem się był i posiwiał.
A żona moja od niespań i troski,
Była jak bursztyn, albo żółte woski:
Na głowie miała z włosów siwych wieniec,
Jakiś okropny ceglany rumieniec,
A oczy pełne takiej błyskawicy
Jak ci, co wyjdą na słońce z ciemnicy.
Lekarz nam kazał w sustawy uderzyć,
Tam gdzie zaraza pierwsze rzuca strupy —
Zdrów byłem. — Ludzie! czy będziecie wierzyć?
Ja, co me wszystkie całowałem trupy.
Z tej kwarantanny wychodziłem zdrowy!

Żona, co nawet nie tknęła połowy.
Nad piersiami się uderzywszy, zbladła,
I zachwiała się z jękiem — i upadła.
A ja na ręce wziąłem trup niewieści,
Zaniosłem w namiot i rzuciwszy brzemię
Upadłem przy niej, jak martwy na ziemię
I obudziłem się — na dni czterdzieści. —

Przed samą śmiercią wyznała mi matka,
Że chciała z grobu swojego dzieciątka
Jakiej pamiątki, kamienia, lub kwiatka,
Włoska w złocistych na głowie obrączkach;
I ta po dziecku umarłem pamiątka —
Patrzaj! obrazek ten co trzymał w rączkach,
Te włoski złote i tak dzisiaj święte,
W mogilce z główki maleńkiemu zdjęte —
Bo biedna matka miała tyle mocy,
Że odkopała dziecko o północy —
Znalazła jeszcze niezepsute wcale,
Pocałowała w usteczek korale
I znów włożyła do trupich obsłonek. —
Te upominki i ten pocałunek,
Zazdrośnej ziemi Szecha ukradzione.
Zabiły matkę i wzięły mi żonę.

I znów się łono piaskowe otwarło,
Gdzie pochowałem matkę martwych zmarłą.
Potem wróciłem do płócienniej nory,
Schować się w cieniu jak nocne potwory.
Ani ja słońca na niebieskim sklepie,
Ani mię ludzie widzieli na stepie.
Stałem się jako zdziecinniali, starzy —
W pamięci mojej, żadnej żywej twarzy,
Tylko te sine i okropne lica,
Które mi wzięła zarazy martwica!
I w dzień błękitny i w noc każdą ciemną,
Oni tu byli w tym namiocie ze mną.
Gadałem z niemi, zmyślałem rozmowy,

W których rozmawiał ze mną tłum grobowy;
I często dziwnym natrafiłem losem
Na głos, co moich był dzieciątek głosem.
Z obłąkanego budziły mię śnicia
Po nocy hyen przeraźliwe wycia,
Tam nad trumnami — i słuchałem blady
Jak nad trupami płaczą trupo-jady.
Stałem się wreszcie jak wąż gdy ochłodnie —
I przechodziły mi dnie i tygodnie,
Bez żadnych bólów, pamiątek, omamień.
Stałem się twardy i zimny jak kamień.
I raz — ach Boska nademną opieka!
Patrzę, ktoś w namiot mój cicho zagląda —
I ach! — nie była to już twarz człowieka,
Lecz głowa mego starego wielbłąda.
Spojrzał — i spojrzał z twarzą tak litośną,
Że rozpłakałem się jak dziecko głośno.

I tak przeżyłem smutnych dni czterdzieści;
Przyszli mię ludzie uwolnić nareszcie.
O! gorzka wolność i chwila odlotu!
Jam do ciemnego już przywykł namiotu;
Z uczuciem smutku, boleści i zgrozy,
Będę wyrywał koły i powrozy,
Które — o, Boże wiekuisty świeć mi! —
Do tego piasku zatykałem z dziećmi.
Ach pomóż ty mi je zerwać — sam jestem!
A może tobie posępnym szelestem
Te płótna więcej boleści powiedzą?
One widziały wszystko! wszystko wiedzą!
Czyż nie są teraz jak męki obrazy?
Patrz na nie, dotknij! nie bój się zarazy,
Nie bój się śmierci, co dotknięciem sinem —
Wszak ty nie jesteś synu, moim synem.
Lecz nie — uciekaj! ja wiem że te płótna
Straszne się muszą obcym ludziom zdawać.
Śmierć od zarazy! ach! to śmierć okrutna!
Zaczynasz własnych braci nie poznawać,

Potem cię ogień pali, piersi gorą
Ach! ja tak moich widziałem ośmioro!
I co dnia patrząc na tak konające,
Wysiedziałem tu całe trzy miesiące.
Dziś — oto dziewięć wielbłądów podróżnych,
A na nich — patrzaj, osiem juków próżnych,
I nie zostało mi nic — oprócz Boga;
I tam mój smętarz — a tamtędy droga!

W SZWAJCARJI.

I.

Odkąd zniknęła jak sen jaki złoty,
Usycham z żalu, omdlewam z tęsknoty.
I nie wiem czemu ta dusza, z popiołów
Nie wylatuje za nią do aniołów?
Czemu nie leci za niebieskie szranki,
Do tej zbawionej i do tej kochanki.

II.

W szwajcarskich górach jest jedna kaskada!
Gdzie Aar wody błękitnemi spada.
Pozwól tam spojrzeć zawróconej głowie. —
Widzisz tę tęczę na burzy w parowie?
Na mgłach śrebrzystych cała się rozwiesza —
Nic jej nie zburzy, i nic jej nie zmięsza;
A czasem tylko jakie białe jagnię,
Przez tęczę idzie na krajne doliny,
Szczypać kwitnące róże i leszczyny.
Lub jaki gołąb co wody zapragnie,
Jakby się blaskiem pochwalić umyślnie,
Przez tęcze szybko przeleci i błyśnie —
Tam ją ujrzałem! i wnet rozkochany,
Że z tęczy wyszła i z potoku piany,
Wierzyć zacząłem i wierzę do końca;
Tak jasną była od promieni słońca!
Tak pełna w sobie anielskiego świtu!

Tak rozwidniona źrenicą z błękitu! —
Gdy oczy przeszły od stóp do warkoczy,
To zakochały się w niej te moje oczy! —
A za tym zmysłem co kochać przymusza
Poszło i serce, a za sercem dusza.
I tak się zaczął prędko romans klecić,
Że chciałem do niej przez kaskadę lecić;
Bo się lękałem, że jak widmo blade,
Nim dusza ze snu obudzona krzyknie,
Upadnie w przepaść, w tęczę i w kaskadę,
I roztopi się i zgaśnie — i zniknie!
I byłem jak ci co się we śnie boją,
Bo jużem kochał, bo już była moją! —
I tak raz pierwszy spotkałem ją samą,
Pod jasną tęczy różnafarbnej bramą;
Powiew miłości owiał mię uroczy —
Stanąłem przed nią i spuściłem oczy.

III.

Poszedłem za nią przez góry, doliny —
I szliśmy razem u stóp tej lawiny,
Gdzie śnieg przybiega aż do stóp człowieka
Spłaszczoną pletwą — jak delfin olbrzymi;
Para mu z nozdrza srebrzystego dymi,
A Rodan z paszczy błękitnej ucieka.
Pamiętam chwilę — poranek był skwarny.
Tameśmy szmerem spłoszyli dwie sarny;
Te jakby szczęścia ludzkiego świadome,
Stanęły blisko, złote, nieruchome —
I utopiły oczów błyskawice,
W kochanki mojej błękitne źrenice;
I długo patrząc, nieruchome obie,
Głowy promienne pokładły na sobie!
Rzekłem: — one się zakochały w tobie!
Rzekłem — i za to z ust zamkniętych skromnie,
Najpierwszy uśmiech jej przyleciał do mnie —

Przyleciał szybko i wrócił z podróży
Do swego gniazda, do pereł i róży;
A gdy zobaczył że oczów nie mrużę,
Całą jej białą twarz zamienił w różę.
A wiecie? ani tak za serce chwyta,
Rumieniec kwiatu co świeżo rozkwita;
Ani tak oko wędrowca zachwyca,
Gór nad-alpejskich śnieżysta dziewica,
Kiedy od słońca różane ma lica:
Jak ten rumieniec bez wstydu i grzechu,
Co się na twarzy urodził z uśmiechu.

IV.

Odtąd szczęśliwi byliśmy i sami,
Płynąc szwajcarskich jezior błękitami —
I nie wiem czy tam była łódź pod nami;
Bom z duchy prawie zaczynał się bratać,
Chodzić po wodach i po niebie latać.
A ona tak mię prowadziła wszędzie!
Ach! ona była jak białe łabędzie,
Była jeziora błękitnego panią;
Płynęła lecąc — łódź leciała za nią,
Za łodzią jasność szafirowym szlakiem;
Za tą jasnością rybek korowody,
I wyrzucały się aż do niej z wody!
I z takimeśmy płynęli orszakiem,
Uśmiechając się w błękitu krainie.
Bo ona była jak wodne boginie:
Miała powozy z delfinów, z gołębi,
I kryształowe pałace na głębi,
I księżycowe korony w noc ciemną —
I mogła była wszystko robić ze mną.

V.

Raz — że nie była niebieskim aniołem
Myślałem całe długie pół godziny!

Wyspowiadałem się potem z tej winy
Słuchajcie! — Oto przed Tela kościołem,
Pierwsza na kamień wyskoczyła płocha,
I powiedziała mi w głos że mię kocha —
I odesłała mię znów na jezioro;
Łódkę swą piersią odtrąciwszy białą —
A ja — ach nie wiem co się ze mną stało!
Czy mię anieli do nieba zabiorą,
Czy grzmiące fale jeziora pochłoną,
Czy uśmiechami rozerwie się łono —
Czy serce jak lód rozegrzany taje,
Czy dusza skrzydeł anielskich dostaje,
Czyli w nią wstąpił cały anioł złoty? —
Czyli uśmiechów pełna? czy tęsknoty?
Wszystkie uczucia gwałtownemi loty
Na serce spadły, jak gołębi chmura,
Pić łzy i białe w nim obmywać pióra,
Aby się czyste rozlecieć po niebie —
W tem zawołała łódź ze mną do siebie.
Usłyszała ją łódka i spostrzegła,
I sama do niej z błękitu przybiegła.

VI.

Pod ścianą ze skał i pod wieńcem borów
Stoi cichości pełna i kolorów
Tella kaplica. Jest próg tam na fali,
Gdzieśmy raz pierwszy przez usta zeznali,
Że się już dawno sercami kochamy:
A pod tym progiem są na wodzie plamy
Od sosen, co się kołyszą na niebie,
I od skał cienia; gdzie mówiąc do siebie,
Wbite do wody trzymaliśmy oczy.
A pod tym progiem fala tak się toczy,
I tak swawolna i taka ruchoma,
Że wzięła w siebie dwa nasze obrazy,

I przybliżała, łącząc je rękoma,
Chociaż nas tylko łączyły wyrazy.
Ach! fala taka szalona i pusta!
Że połączyła nawet nasze usta,
Choć sercem tylko byliśmy złączeni.
Fala tak pełna ruchu i promieni,
Że jednym światła objąwszy nas kołem,
Zmięszała niby anioła z aniołem.
Gdy myślę — boleść dręczy mię niezmierna.
Falo! niewierna falo! — a tak wierna!

VII.

Raz mię ów anioł zaprowadził złoty,
Przez jasne łąki do lodowej groty.
Tam ją obielił dzień alabastrowy;
I mróz na czole mej jasnej królowej,
Perłami okrył wszystkie polne róże.
I ze sklepienia łzy leciały duże;
A we łzach sylfy z jasnością ogromną,
Deszczem spadały, na białą i skromną.
Słysząc że ściany płaczą coraz głośniej,
Cała się szatą okryła zazdrośniej,
I wszystko oczom ciekawym ukradła,
I jeszcze ręce skrzyżowane kładła
Na alabastry widne, choć zakryte.
Tak nieruchomo stała — a koło niej
Igrały tęcze w blaski rozmaite.
Ja wtenczas modlić się zacząłem do niej:
Ave Maria — — —!
Jak biała róża kiedy się rozwija,
Róż pokazuje z piersi odemkniętej;
Taki rumieniec wyszedł z lica świętej.
I zamyślona odwróciła głowę,
Palec na ściany kładąc kryształowe;
Jak ta co imię ukochane kreśli,
Lub o błękitnych jakich czuciach myśli. —

Wreszcie się do mnie obróciwszy rzekła:
Może za miłość ja pójdę do piekła,
I gdzieś w piekielne wprowadzona chłody,
Wszczepioną będę w kryształowe lody;
Jako ta bańka z powietrza i z tęczy —
Lecz prawda, rzekła, jeżeli się męczy
Ta jasność, słońca stworzona promieniem,
Którą lód w sobie mrozi i zabija:
Można ją z lodu uwolnić westchnieniem —
Ave Maria! — — —

VIII.

Pójdziemy razem na śniegu korony!
Pójdziemy razem nad sosnowe bory,
Pójdziemy razem gdzie trzód jęczą dzwony!
Gdzie się w tęczowe ubiera kolory
Jungfrau i słońce złote ma pod sobą;
Gdzie we mgle jeleń przelatuje skory.
Gdzie orły, skrzydeł rozwianych żałobą
Rzucają cienie na lecące chmury! —
O moja luba! tam pójdę za tobą.
A jeśli z takiej nie wrócimy góry,
Ludzie pomyślą że nas wzięły duchy,
I gdzieś w niebieskie uniosły lazury;
Żeśmy się za gwiazd chwycili łańcuchy,
I ulecieli z plejadów gromadą.
I tylko po nas potok spadnie głuchy,
I się błyszczącą łez rzuci kaskadą.

IX.

Ach! najszczęśliwsi na ziemi nie wiedzą,
Gdzie duchy skrzydła na ramionach kładną
Gdzie jak łabędzie zadumane siedzą?
Ach! najciekawsi na świecie nie zgadną,

W jakim szalecie żyłem z moją miłą!
I wiele nam róż do okien świeciło,
I wiele wisien na około rosło,
Ile słowików na wiśniach się niosło;
Ile tam w każdą noc miesięczną, bladą,
Kłótni słowików płaczących z kaskadą;
Ile trzód naszych szło na łąkach dzwonić —
Ach! tego nawet śpiącym nie odsłonić,
Ani pokazać, ani zawrzeć w słowie! —
Łąka i szalet i wiśnie w parowie,
W takim parowie, że stróż anioł biały
Rozwijał skrzydła od skały do skały,
I nakrywał ten cały parów dziki:
Szalet i róże, i nas, i słowiki.

X.

Lecz nadto było cyprysowej woni,
I nadto barwy co się w różach płoni;
I chciała nas już miłość ująć zdradą.
Było to rankiem — pomnę — pod kaskadą —
Byliśmy niczem nie strwożeni — sami —
Czytając książkę pełną łez, ze łzami.
W tem duch mi jakiś podszepnął do ucha,
Ażebym na nią z książki przeszedł okiem. —
Była jak anioł co myśli i słucha —
I nagle — takim przejrzystym obłokiem
Rumieniec smutny twarz jej umalował,
Że nie wiem dotąd jak się wszystko stało —
Alem ją w usta różane całował,
I czułem ją tu, na mych rękach, białą,
Sercem bijącą, brylantową w oczach.
Wtem nagle — w jasnej kaskady warkoczach
Coś pomięszało się i coś urzekło;
Wiatr na nas rzucił całe wodne piekło,
I z kwiatów spłoszył wilgotnemi mgłami.
Odtąd jużeśmy nie czytali sami.

XI.

Odtąd w uśmiechach była dla mnie rzadsza,
Smutniejsza, cichsza i bielsza i bladsza,
W głębszych się coraz zanurzała cieniach,
I obrywała róże na strumieniach;
Albo przy kaskad naciągniętej lutni
Stawała słuchać tak jak ludzie smutni,
Z twarzą spuszczoną — lub sama w ustroni,
Ręce na białą zakładała szyję;
Jak ta co boi się, albo się broni.
Lub jako gołąb co w strumieniu pije,
Do nieba jasnem wzlatywała okiem.
Już wolnym, sennym błąkała się krokiem,
I jaskółeczek utraciła zwinność,
I zadumała ją całą — niewinność.

XII.

Widząc ją taką, chciałem bronić siebie,
I rzekłem: Luba! jak Bóg jest na niebie,
Z sercaś mi wszystko odpuścić powinna;
Lilija jedna wszystkiemu jest winna.
Otoś ty wczoraj w tem źródle co bije
Na jasnej łące, myła twarz i szyję,
A tam za tobą prosta, niedaleka,
Jak służebnica co z rąbkami czeka;
Lilija jedna, cała jasna, w bieli,
Oczekiwała aż wyjdziesz z kąpieli.
Widząc was obie takie białe, w parze,
Myślałem że śpiąc, o aniołach marzę;
I drżeć zacząłem i zadrżałem wszystek,
I jeden tylko poruszyłem listek,
Ten listek, inne poruszył listeczki,
I szmer się zrobił — ty wybiegłaś z rzeczki;

I takeś prędko uciekała zlękła,
Żeś łonem, kwiatu potrąciła pręty;
I lilijowa wnet łodyga pękła,
I kwiat z niej upadł twoją piersią ścięty;
A jam rozważać zaczął z twarzą bladą,
Jak ten kwiat kruchy, jak ty jesteś zwinna.
I oto dzisiaj, rankiem, pod kaskadą —
Nie jam był winien — lecz lilija winna.

XIII.

Płonęła wonna jak kadziło mirry,
I widać było że nie wiedząc, płonie.
Głębszemi oczu stały się szafiry,
I prędsza fala białości na łonie,
I dziwnym ogniem rozpalone skronie,
Wczesne zwiędnienie dawały bławatkom — -
Ona z tych była, co się skarżą matkom,
I skarżyła się gwiazd cichej gromadzie,
Gdy do snu księżyc niepełny się kładzie;
Gdy kwiaty szepcą miłośnie do ucha,
Co zamyślone, własnych myśli słycha.

XIV.

Czy ty gdzieś teraz, o miła, z rozpaczą
Aniołom boskim mówisz rozżalona?
Jak ci, co mówią skarżąc się — i płaczą,
Że była burza gromami czerwona.
Że była grota posępna i ciemna,
I w grocie z kaskad kryształu zasłona;
Że była trwoga w ciemności tajemna,
Razem niepamięć jakaś Boskiej kary;
I skarga smutna czystych nimf, podziemna?
Że nas tam samych dzień odstąpił szary,
I zastał z twarzą ognistą przy twarzy —

I ptasząt nas tak obudziły gwary —
Mówisz ty o tem? jak ta co się skarży?
O! nie mów ty tak aniołom! niebieska!
Bo każda twoja brylantowa łeska,
Jednemu będzie z tych jasnych pożarem.
Bo ja, ach gdybym był także aniołem,
Z rozpromienionem na błękitach czołem —
I nieskończoność całą miał obszarem,
I mógł zarządzać gwiazdami wszystkiemi:
Nie chciałbym gwiazdy niebieskiemi świecić,
Lecz tylko rzucić błękity i lecić,
I taką jak ty mieć moją — na ziemi.

XV.

Z groty ta piękna wyjść nie śmiała sama.
Słońca się może bała na lazurze,
Że za promienne będzie i za duże,
Albo że będzie jako czarna plama.
Ale na niebie była z tęczy brama,
Na wypłakanej rozwieszona chmurze.
Wyszła — i najprzód ją zdziwiły róże
Że takie były jak wczoraj różowe.
Zerwała jednę i podniosła głowę,
I zadziwiła ją ta tęcza ranna,
Niebios błękitnych przeźroczystość szklanna,
Krążek księżyca tonący w błękicie,
Zda się że nowe ją zdziwiło życie —
Tak w ciszy czegoś słuchała, tak biegła;
Aż gdzieś w krysztale jeziora spostrzegła
Na licu swojem przeźroczystszą białość,
Żywszy ust koral, i większą omdlałość.
I uśmiech pełny tęsknoty, i żałość.
Więc osłoniła się cała w warkoczu,
I więcej na mnie nie podniosła oczu.

XVI.

Jest chwila gdy się ma księżyc pokazać,
Kiedy się wszystkie słowiki uciszą,
I wszystkie liście bez szelestu wiszą,
I ciszej źródła po murawach dyszą. —
Jakby ta gwiazda miała coś nakazać,
I o czem cichem pomówić ze światem,
Z każdym słowikiem, z listeczkiem i z kwiatem.
Jest chwila, kiedy ze srebrzystą tęczą
Wychodzi blady pierścionek Dianny:
Wszystkie się wtenczas słowiki rozjęczą,
I wszystkie liście na drzewach zabrzęczą,
I wszystkie źródła jęk wydają szklanny —
O takiej chwili, ach, dwa serca płaczą!
Jeśli coś mają przebaczyć — przebaczą;
Jeżeli o czem zapomnieć — zapomną.
O takiej chwili z moją panią skromną,
Jużeśmy siedli w naszych progach sielskich,
Już rozmawiali o rzeczach anielskich,

XVII.

Jak śpiewający na niebie skowronek,
Z gór słychać było pustelnika dzwonek.
Rzekła raz: chodźmy do staruszka celi,
Może rozgrzeszy, może rozweseli,
Dłonie nam zwiąże i kochać ośmieli.
Tak mówiąc wbiegła do sosnowej chaty,
Szybko zamknęła wszystkie okiennice,
Ażeby na nią nie patrzały kwiaty;
I ustroiwszy się jak gór dziewice,
Wybiegła do mnie — myślałem że padnę!
Ani jej oczy kiedy takie ładne,
Ani jej usta takie były świeże!

Motyla miała czarnego na głowie —
Ten alabastrów od smagłości strzeże;
I przeświecony od słońca w połowie,
Na czoło rzuca skrzydła cieniu duże.
A pod motylem pochowane róże,
Z pod czarnej gazy patrzały ciekawe,
Na pół zamknięte, świeże jeszcze, łzawe.
Wiedząc że zawsze strzegę serca strony,
Złośliwy motyl usiadł przechylony.
Myślałem że mu to skrzydło połamię —
Siadł i na lewe przechylił się ramię.
I któżby wierzył w przeczucia co straszą,
Gdy wyobraźnia cała szczęściem dumna!
Gdym z góry spojrzał na dolinę naszą!
Szalet się oku wydawał jak trumna:
Maleńki, cichy — kiedym spojrzał z góry:
Nasz ogród z wisien jak smętarz ponury;
I niespokojne o nas gołębice,
I zadumane o nas w łąkach trzody! —
Ziemia smutniejsza, błękitniejsze wody;
Zabite ćwiekiem śmierci okiennice;
Wszystko zaczęło mię straszyć i smucić,
Jakbyśmy nigdy nie mieli powrócić.
Szedłem posępny i drżący na góry —
Jeziora czarne, głazy, śniegi, chmury;
Girlandy z orłów na błękitnym lodzie,
Słońce czerwone jak krew o zachodzie,
Dom pustelnika śniegiem przysypany,
I dwa ogromne na straży brytany. —
Krzyżyk na celi gdzie siadały gile,
Cela, pustelnik stary, księgi w pyle —
Wszystko to dzisiaj już podobne snowi. —
Pamiętam tylko że promień zachodu
Cały się na twarz rzucał Chrystusowi,
Kiedy na palec jej zimny jak z lodu
Kładłem pierścionek — — — —
— — — — — — — — —

XVIII.

Gaje! doliny! łąki i strumienie!
O nie pytajcie wy mię smutne o nią.
Są łzy, co mówić na zawsze zabronią —
A kiedy mówię, wpadam w zamyślenie:
I widzę jasne błękitne spojrzenie,
Co się zaczyna nademną litować —
I widzę usta co mię chcą całować,
I drżę — i znów mię ogarną płomienie.
I nie wiem gdzie iść? i gdzie oczy schować?
I gdzie łzy ukryć? i gdzie być samotnym?
I staję blady i kreślę jej rysy;
Lub imię piszę na piasku wilgotnym;
Lub błądzę między róże i cyprysy.
Jak człowiek, który skarb drogi postrada,
Zmysły utracił, i płacząc usiada
Tam, kędy urny na grobowcach siedzą;
Myśląc że groby o niej co powiedzą.

XIX.

Jest pod mojemi oknami fontanna,
Co wiecznie jęczy zapłakanym szumem;
Jest jedno drzewo, gdzie harfowym tłumem
Żyją słowiki; jedna szyba szklanna,
Gdzie co noc blada zaziera Dianna,
I czoło moje smutnym blaskiem mami.
I tak mię budzą zalanego łzami:
Te drzewo, księżyc ten, i ta fontanna.
I wstaję blady, przez okno wyzieram,
Słuchając różnych płaczów na dolinie.
Słowiki jęczą i fontanna płynie —
Mówią mi o niej — ja serce otwieram
I o śmierć prędką modlę się z rozpaczą,
I schnę, i więdnę — i ach! nie umieram —
I co dnia, budząc mię, fontanny płaczą. —

XX.

Kiedy się myślą w przeszłości zagłębię,
Nie wiem jak sobie jej postać malować?
Czy kiedy przyszła śpiącego całować,
Jak z roztwartemi skrzydłami gołębie?
Czy wtenczas, kiedy uciekała trwożna?
Czy, gdy na jedną ze mną księgi kartę
Wbijała oczy błękitne, otwarte,
Na każde moje spojrzenie ostrożna?
Czy, kiedy wiejskim otoczona dworem,
Chodziła gdyby zaklęta królowa?
Czy kiedy cicho uśnie pod jaworem?
Czy kiedy goni? czy kiedy się chowa
W księżyca blasku biała? — lub wieczorem
Od alp na śniegu różowych — różowa? —

XXI.

Skąd pierwsze gwiazdy na niebie zaświecą,
Tam pójdę! aż za ciemnych skał krawędzie.
Spojrzę w lecące po niębie łabędzie,
I tam polecę, gdzie one polecą.
Bo i tu — i tam — za morzem — i wszędzie
Gdzie tylko poszlę przed sobą myśl biedną,
Zawsze mi smutno, i wszędzie mi jedno;
I wszędzie mi źle — i wiem że źle będzie!
Więc już nie myślę teraz tylko o tem,
Gdzie wybrać miejsce na smutek łaskawe —
Miejsce, gdzie żaden duch nie trąci lotem
O moje serce rozdarte i krwawe;
Miejsce, gdzie księżyc przyjdzie aż pod ławę,
Idąc po fali — zaszeleści złotem,
I załaskocze tak duszę tajemnie,
Że stęskni — ocknie się — i wyjdzie ze mnie.

WACŁAW.

Są przedmioty, których by się pióro poety tknąć nie powinno; takim zapewne jest śmierć Wacława, którego nam Antoni Malczewski tak cudownemi kolorami w poemacie Marja odmalował. Jakiś jednak mimowolny pociąg, chciałbym go nazwać natchnieniem, zmusił mię do napisania następnego poematu; a od prawdziwych nie odstępując podań, starałem się ile możności zidealizować rzecz pełną czarnych mętów i okropności. Może kilka strof spowiedzi Wacława wyjednają mi u czytelnika nieco pobłażającego sądu, dla reszty i ogólnego układu pisma, którego już ani poprawić ani przemienić nie jestem zdolny. A dwa poprzedzające poemata przybiegną w pomoc broniącemu się od zupełnego potępienia poecie.

I.

Witaj mi ziemio stepów — gładka, cicha,
Gdzie kwiat dla Boga kwitnie i usycha;
Gdzie dwa kurhany na błękitnem niebie
Przez całe stepy patrzą się na siebie;
Gdzie przerywają trupy sen grobowy,
Orłami z sobą prowadząc rozmowy.
Lub gdy je przyjaźń w mogiłach nie zbliża,
A krzyż się groźnie pogląda na krzyża,
I oba drewna niby grożą sobie
Przez całe stepy, zemstą, śpiącą w grobie! —
Krzyżowe groźby i poselstwa ptaków
Lecą przez krwawe doliny bodiaków;
I czuć w powietrzu że tu myśli wojna,
Choć słońce złote, choć ziemia spokojna.
Bo choć się skończą rycerstwa i waśnie,
To ziemia mogił tak prędko nie zaśnie!
Ale w jej sercu wolność się odzywa,
Kiedy się orzeł gdzie z mogiły zrywa,
Kiedy zatętni jaki wicher głuchy —
Gdy zaszeleszczą powojów łańcuchy.
Albo gdy śmignie jaki złoty sumak,
Myśli że biały Puławskiego rumak;
Albo gdy kosa o kamień zadzwoni,
Myśli że Sawa jedzie w tysiąc koni!
Ale już w grobach są ci sławo-krośni.
Ziemio kurhanów, nie marz o nich — zaśnij!

II.

Znasz ty tęczowe Rusałek upiory?
Czy znasz prorocką dumę Wernyhory?
Czy wiesz co będzie w jarze Janczarychy,
Gdzie teraz gołąb, lub jelonek cichy,
Ze łzą przeczystą w szafirowem oku,
Gdzieś w księżowym się przegląda stoku?
Czy wiesz że wszystkie te się sprawdzą śnicia
W jednej godzinie rycerskiego życia?
Że pomścisz syna, ojca, matkę, brata,
W tej błyskawicy co na szabli lata! —
Niech tylko serce rycerza, o Chryste!
Jako lilija będzie we krwi czyste,
Niech tylko wprzódy nie splami zgryzota
Duszy, co jako ptak się w sidłach miota;
Niechaj się tylko każdy dumnie waży
Złotym aniołem, w ojczyźnie na straży:
To, chyba w końcu na takich Aniołów,
Wróg będzie piorun miał w ręku — nie ołów.

III.

Jeśli pod tobą wolny koń stepowy,
Omijaj zamek ten i te parowy,
Niech cię nie wabi ten na zamku czole
Napis, co błyska od słońca na pole;
Bo to jest kłamstwo marmurów ohydne,
Złotem pisane i zdaleka widne.
Uciekaj stepem przez burzanu fale,
Nie wierz napisom, nie zazieraj w sale,
Bo tam owionie i męstwo ci zetrze,
Gorsze niż w grobach — zdradziectwa powietrze!
Gorsze niż dżuma co zabija ciało!
Gorsze! — Choć pałac ten wygląda biało;

Choć za nim widać lipy starożytne,
Białe kościołki, jeziora błękitne —
Chociaż łabędzie śpią na tych jeziorach,
Choć róże stoją w jutrzenki kolorach;
Chociaż słowiki mieszkają w topolach,
A dalej błękit i kłosy na polach:
Nie wierz zdradzieckiej natury obłudzie,
Ten zamek pełny — w tym zamku są ludzie!

IV.

Od czasu jeszcze dawnych Pelopidów,
Od wygaśnienia rodziny Atrydów!
Nigdzie krwi tyle na gmachu kamieniach;
Nigdzie plam tyle od zbrodni w sumieniach.
Nigdzie rodziny tak czarnej nie było,
Tak czarnych prochów pod żadną mogiłą! —
Więc zacznę — — W imię Ojca, Syna, Ducha!
Kto tak okropnej powieści wysłucha?

V.

Choć w zamku gości częstują wspaniale,
Gospodarz dawno nie schodzi na sale.
Niegdyś widziano go w gromadnem kole,
Jak trup śród ludzi, jak upiór przy stole.
Zimne po sercach przechodziło mrowie,
Kiedy co mówił, gdy pił jakie zdrowie;
A gdy wziął kielich w rękę trupią, siną,
W kielichu krew się zdawała, nie wino.
Każdy co z gości do stołu zasiadał,
Nie znał go prawie, nigdy z nim nie gadał;
Gdy wszedł — nie wstawał nikt przed tym człowiekiem
Choć orderami był srebrny i wiekiem! —
Ani posłane z poselstwem od matki
Kieby go w rękę całowały dziatki,

Jakby przed marą piekielną szkaradną,
Stają przed ojcem zalęknione — bladną,
I uciekają, nie wyrzekłszy słowa,
Lub kamienieją. Nie twarz to surowa —
Bo miłą miał twarz ten człowiek z natury;
Ani wzrok jego dziki i ponury,
Bo na swe dziatki patrząc, łzy miał w oku!
Lecz przerażenie z Boskiego wyroku
Wisiało nad nim, jako krwawa tęcza.
A gorzej — wiedział to sam że odstręcza!
Że coś pomiędzy nim a światem stoi,
Czego się sługa, dziecko, słońce boi
Więc juz oddawna zaniechał z rozpaczą
Przepraszać serca, które nie przebaczą,
Ujmować dusze co chcą nienawidzić;
A nie mógł niemi pogardzać i szydzić.
Nawet choć wiedział że tłumną hołotą
Rzucał się sprosny lud na jego złoto;
Tak wielką znalazł pokorę w swej winie,
Że nie pogardził i otworzył skrzynie:
A wtenczas sercu jego, biczem jędzy
Był brzęk liczonych po zamku pieniędzy.

VI.

Nareszcie uciekł od ludzi i słońca.
A przy nim tylko jak anioł obrońca,
Maleńki, blady i nierozkwitniony,
Był smutny synek jego pierwszej żony.
To jedne dziecko przy nim czuwa, tleje,
Jako różyczka przy cedrze więdnieje.
On duszę ojca, gdy w rozpacz upada,
Szafirowemi oczkami spowiada;
I patrz! że czarny nędzarz nie unika
Tak błękitnego grzechów spowiednika,
Ale mu z oczek cały błękit świeży
Pije oczyma — i wzdycha i wierzy

W ostatnią pomoc — w moc dziecka pacierzy.
Kiedyś zawczesnym zagrożoną zgonem
Dziecinkę swoją nazwał Eoljonem;
Bo myślał że ten kwiatek biały, kruchy,
Wezmą ze złotej kołyseczki duchy
I w nieśmiertelne zaniosą ogniska:
A więc mu nie dał ludzkiego nazwiska,
Ale powietrzne, duszy, nie popiołom
Imię, łatwiejsze wymówić aniołom.
To dziecko jemu zostało przy boku
Ze łzą w źrenicy, z promionkami w oku —
I czuwa przy nim. Lecz z wyroków Pana
Dusza w dziecięciu bladem obłąkana,
Smutna, i z ciałkiem niedołężnem zwadna,
A w obłąkaniach jak aniołek ładna:
Gdy się uśmiecha — zda się że do nieba;
Płacze — to myślisz że mu tak potrzeba
Nad jaką dawną pamiątką, lub szkodą,
Jak zapłakanej wierzbie stać nad wodą.
Tylko że ojcu, gdy mu dziecię zbladło,
W chorobie dziecka jest zgryzot zwierciadło! —
Tylko że nieraz jakaś moc grobowa,
Przekleństwo ojca kładnie w dziecka słowa;
Lub w obłąkane czynności dziecięce,
Jakieś piekielne mięszają się ręce,
I straszne rzeczy czynią dziecka mocą —
I dziś — gdy Wacław zasnął — przed północą —
— — — — — — — — — — —

VII.

Lecz gdzież jest młoda małżonka? Grafini?
Czemu nie przy nim? Dawniej niewolnica,
Dziś samowładna w zamku monarchini —
Z kimże to błądzi po świetle księżyca?
Z kimże to słucha śpiewania słowików?
Dla kogoż rzuca ucztę, stołowników,

Dzieci i męża bezsenne wezgłowie?
A jednak, mówią, dba o grafa zdrowie! —
Sama przyprawia mu z lekarstwem czary.
Nieraz przy łożu jak ulotne mary
Staje powiewna, z lampą w ręku, blada,
Słuchać co śpiący o niej we śnie gada.
A mówią ludzie że nieraz jej ręka
Słucha, czy serce się w chorym nie pęka;
Bo takie drgania mu piersi podnoszą,
Takie go zimne, straszne poty roszą
Gdy śpi, a patrzy na śpiącego żona,
Jakby go anioł śmierci brał w ramiona,
Lecz dzisiaj z kimże na wieczornym chłodzie
Chodzi ta pani po mglistym ogrodzie?
Jeśli zbrodnicza miłość w sercu bije,
Ona się z taką miłością nie kryje,
Ale otwarcie, z bezwstydem na czole,
Kochanka sadza u boku przy stole:
Bo ten kochanek, nie wybrany w tłumie,
Zwykle pochlebia jej skażonej dumie.
To jaki książe, to króla powierny:
Pies nań nie szczeka, przepuszcza odźwierny,
Wszyscy go nawet witają ukłonem;
Zamek jest jego łożem, domem, tronem —
Włada; gdzieindziej podobny do węża,
Tu zdrajca — panem jest żony i męża!
Więc to nie z gachem Dianna grafini,
Tajemne schadzki ma w ciemnej jaskini?
W grocie co gładkim wyłożona brusem,
Szklannej kaskady zamknięta obrusem.
Szarfa ta wody lecąca z wysoka,
Nie puści w grotę śledzącego oka,
Ani księżyca — lecz przez nią przeleci
Czarna jaskółka, co w grocie ma dzieci;
Ta jedna kryształ skrzydłami rozcina —
Na wszystko miłość waży się matczyna,
Lecz noc — jaskółki śpią w gniazdach ukryte,
A ciemność trwożna okryła kobietę. —

Chociaż nie sama drży jak liść osiny,
Kiedy się w gniazdach poruszą ptaszyny;
Gdy woda głośniej w kaskadzie zakrzyczy.
A ten powiernik kto? duch tajemniczy?
Szata go długa w ciemności obiela,
Na głowie wianek stepowego ziela —
Na głowie, siwem porośniętej runem,
Wiąże się burzan czerwony z piołunem.
A przed nim kościół, czary i amfory. —
Ku jakiej sprawie? ku czemu przybory?
Czy klątwy rzucać, czy palić ofiary?
Czy zabić kogo piekielnemi czary?
Z jakim to widmem skandynawskiej Freі,
Grafini dzieło zaczyna Medei?

VIII.

Zaledwo pani wargę koralową,
Pierwsze i drżące otworzyło słowo —
O! nieba! leci jasnych świateł krocie
Z pałacu, ciemną aleją, ku grocie,
I rozsypują się po drzew łańcuchu:
W ogrodzie pełno krzyku, blasku, ruchu.
Na cichej wodzie łabędź się poruszył,
Strzepotał, wody zwierciadlane skruszył,
Zapienił cały krąg, zbudzony nagle,
Otworzył wszystkie puchy, pióra, żagle —
I znów spokojny spogląda wspaniale
Na rozchodzące się kręgami fale.
Tak silne serce posępnie się rzuci,
Kiedy go ze snu jaki grom ocuci,
Porwie się nagle, tłum spokojny zmięsza —
I widzi jak się przerażona rzesza
Cofa, jak kręgi blademi ucieka
Od rażonego nieszczęściem człowieka;
To wtenczas duma na pomoc przybędzie,
To wtenczas skrzydła duchowe, łabędzie,

Całe rozwioną przeciw wichrom losu —
To wtenczas serce jak z twardego ciosu.
I tem się nawet chełpi boleść sroga,
Że miała świadkiem walki — tylko Boga.
I tem się cieszy serce, choćby pękło,
Że zamiast podłych zlitować — przelękło.

IX.

Ludzie po drzewach szukający wszędzie,
Budzą słowiki i płoszą łabędzie.
Już słychać szmery, już wrzawa szalona,
Że graf otruty, że cierpi, że kona.
Wreszcie okropna wieść do groty wpadła:
Powiernik zaśmiał się — a pani zbladła!
I znów skościeli oboje na długo.
Lecz ktoby wtenczas ją widział z tym sługą,
Ktoby ją widział, kiedy przez kaskadę
Blaski księżyca ją oblały blade;
Ktoby w jej usta, już nie koralowe
Ale pobladłe, otwarte, surowe,
Spojrzał i słuchał gdy tak stała cicha,
Jak przez te usta serce w niej oddycha;
Ktoby usłyszał z jakim dzikim wrzaskiem
Wybiegła, z ludźmi się spotkać i z blaskiem —
I z obwinieniem co na każdej twarzy
Przy migającej się pochodni żarzy!
Ktoby w tej chwili, nie zalane łeską,
Ale pięknością jasne nad-niebieską,
Widział jej oczy, gdy je w gwiazdach trzyma,
Albo o męża pyta się oczyma:
Ten by ją całkiem miał niepotępioną! —
Zepsutą była, niewierną — lecz żoną.

X.

Jedne tam okno na zamkowej sali
Od czerwonego księżyca się pali.

To właśnie okno grafowskiej komnaty
Jak anioł, blaskiem czerwonym skrzydlaty
Stoi na zamku, patrzy na katusze,
I czeka by wziąść z tego ciała duszę —
U bramy zamku tłum pobladły czeka.
Na drodze widać konnego człowieka,
Jak czarny szatan z płomykiem na głowie:
Otwierać bramy nim się człek opowie!
Bo to nie djabeł, ani żadna jędza,
To Kozak pański konno wiezie księdza.
Będziesz pamiętał ty księże Prokopie
Jak się kozaczy koń przez jary kopie,
Jak parska ogniem, jak daje szczupaka,
Choć ma na sobie księdza i Kozaka.
Hej! hej! skrzypiąca brama się odmyka,
Kozak na koniu przywiózł spowiednika;
Przeskoczył djaków i bab bladych wianek,
Wziął go za kaptur i rzucił na ganek.
Sam idzie w tłumy, gdzie ponure gwary,
Że ktoś na pana rzucił śmiertne czary.
Kto? wszystkie oczy idą ku tej stronie.
Gdzie u grafini lampa w oknie płonie.
Wczoraj — widziano ją w grocie z wieczora
Nie samą — mówią że trup Wernyhora
Przyszedł się pomścić za Lachów ojczyznę,
I z grobu przyniósł dla pani truciznę.

XI.

Próżno ksiądz czeka u grafa podwoi,
Zamknął się Wacław i ludzi się boi,
I z małym synkiem sam na sam się pieści.
Widziano pierwsze trucizny boleści —
Sam mówił ludziom że otruty kona,
Potem służalców wygnał; nawet żona
Wejść się nie waży gdzie spoczywa chory,
Bo sam ode drzwi zasunął zapory;

A bramę chyba wyłamać wypada
Jak umrze. U drzwi słuchają, Graf gada —
Czasem się jakiś głosek serafina,
Niebieską skargą ojcu przypomina;
Czasem dwa tylko ciężkie odetchnienia,
Jakieś żałośne szmery i westchnienia;
I służebników tłum się niecierpliwi,
Bo słońce weszło — oni jeszcze żywi.
I dzień na strasznem zszedł oczekiwaniu,
Na skargach ojca, na dziecka płakaniu —
I księżyc weszedł, a ci dwaj straszliwi
W tajemniczości nocnej jeszcze żywi.
Śmierć ich mównemi uczyniła smutnie:
Ich głos w zamknięciu, jak dwie zgodne lutnie.
Ci co słuchali przez grube podwoje,
Mówią że więcej tam głosów niż dwoje.

XII.

Oddawna wieści szemrzą poszept głuchy,
Że z grafem jakieś są po nocach duchy.
Raz go widziano jak przez zamku cienie
Wodził za sobą dwa ciche płomienie,
Skrawe, czerwone, piekielne straszydła,
Mające oczy i włosy i skrzydła.
Ścigany przez nie wybiegał z komnaty
Tylnemi drzwiami, na ogród, na kwiaty —
I raz go z wody wydobyła zgraja:
Było to, mówią, w dzień trzeciego Maja.
Widziano jak biegał przez łąkę w zawody,
Ognie go, mówią, zagnały do wody —
Widziano jak się topił cały blady:
Skądże ta rozpacz? i te ognio-ślady?
Gdy ziemia w nowe kwiaty się ustraja,
Gdy wszystko ciche w dzień wiosenny maja?
A już od lat wielu takie rzeczy —
Nikt nie przysięgnie, i nikt nie zaprzeczy,

Wszyscy się boją wierzyć w takie dziwo,
W młodości, słychać, zgrzeszył bardzo krzywo,
Dla tego piorun za nim się pomyka,
Owiewa skrami, straszy, lecz nie tyka;
Tylko grobowym okrąży zapachem,
Aby go zabić krwią, albo przestrachem
A mówiąc o tem ludzie, z twarzą bladą,
Dodają: człowiek ten przewinił zdradą —
I sam się dzisiaj chce karać za zbrodnie,
Sam przyzwał piekieł czerwone pochodnie;
A kiedy przyjdą i nad łożem staną,
On się nakrywa chustą, krwią zbryzganą! —
W tej chuście niegdyś mu kozacka spisa
Podała w nocy sąd na infamisa,
Gdy kraj zdradzony już był i rozdarty.
Ta chusta i te pargaminu karty
Leżą przy łożu koło puginału —
Niech Bóg go broni w rozpaczy od szału!
Biada! o, biada! gdy przy łożu siędzie
Śmierci przyczyna i śmierci narzędzie!
To dość dla serca co się samo dręczy —
Widm nie potrzeba: sumienie wyręczy.
A rzecz straszniejsza! sumienie Wacława
Nabyło nawet nad uśpionym prawa!
On w nocy wstaje i z otwartem okiem
Po zamku chodzi niesłyszanym krokiem;
Czasem pochodnią sobie świeci nocną.
Oczy otwarte, wyiskrzone mocno —
Lecz jakby co się roiło w źrenicy,
Ani w nich mgnienia, ani błyskawicy,
Ani się światła bliskiego przelękną:
A gdy się wpatrzą w co — zda się że pękną.

XIII.

Znałem ja Grafa Wacława za młodu.
Dumny z piękności, z wysokiego rodu;

Drzewo, co późnej mogło czekać zimy —
On tak wyglądał, jak rycerz Solimy
Piękny i straszny, kiedy go koń kary
Niósł do kochanki przez burzanów jary.
Kiedy na jakie powietrzne wołanie
Stawał, obejrzeć się gdzie na kurhanie.
Myślałbyś wtenczas że to anioł stepu,
Pod błękitami niebieskiego sklepu
Stoi i czeka, aż wicher poruszy
Na jaką walkę skrzydła jego duszy.
Cóż się z nim stało? czy to moich powiek
Mara? — gdzie tamten anioł, rycerz, człowiek?

XIV.

Smutny był koniec jego pierwszej żony —
Dostała wcześnie anielskiej korony,
Zamordowana, utopiona w stawie,
Gdy na wojennej był Wacław wyprawie.
Mówią, że obce pomściły się prawa
Śmierci synowej, na ojcu Wacława.
Jeżeli tak jest? O, Chryste na męce!
Jakie w tym rodzie serca! jakie ręce!
Mówią — że ojciec Graf w turmę zamknięty,
Umarł przed sądem — a drudzy że ścięty —
Lecz takiej rzeczy myśl nie wierzy sama,
Na takim wielkim rodzie? taka plama!
Tak wielka szyja złamana nad gminem? —
Lecz ojcu nie mieć litości nad synem,
Ale zabójców nasłać na synowę,
I za pieniądze módz odkupić głowę! —
Gdy nieraz ołów ludzki się zagłębia
W serce orlicy, i za śmierć gołębia,
Nikt-że tej śmierci pomścić się nie umie
Na krwi wysokiej? na wyniosłej dumie?
Nikt-że — prócz syna — co za te popioły
Ojcowi musiał miecz pokazać goły?

Tak się więc zbrodnia ogniwami wini,
Że ojciec własny wroga widzi w synie;
Albo umiera, syna krwią czerwony,
Nie pożegnany i nie przebaczony.
Albo tak skala syna pierś łabędzią,
Aby mu nie był czystszym, ani sędzią:
Aż tam nareszcie stanie pochylony
Zdrajca narodu, przed zbójcą swej żony;
Aż znowu wrócą pod zwyczajne prawa,
I od przedajnej głowy wyższa — krwawa.

XV.

Ale to pewna że śmiercią tej żony
Graf Wacław dziwnie na sercu zmieniony!
Ponurość ciemne okryła oblicze,
Serce zamknięte ludziom, tajemnicze —
Na czole duma. Gdy kto weń uderzył
Miłością czystą ojczyzny — nie wierzył.
Na wszystkie echa roskoszy i jęku
Serce się jego już pozbyło dźwięku.
Coś ma cichego, okropnego w łonie —
Mówią, że myśli o polskiej koronie.
Króla w nim widzą przyjacielskie oczy,
Wielkość wyśledza głos fałszu proroczy.
Jam go opuścił śród tego zamętu,
Myśląc: i cóż jest twardość diamentu!
I cóż jest wierność grobowi, pamiątkom —
W sercu najtwardszem? jakimże to wrątkom
Daje się dusza unosić Wacława?
Chmurzy się niebo — burza będzie krwawa.
Więcej niż Boga, ta dusza tajemna
Zamyka w sobie — przyszłość będzie ciemna.
Bogdajbym nie zgadł! lecz smutna w nim siła:
Miłość to tknęła, boleść nie zabiła —
Więc jeszcze nadto w nim miłosnej siły
A już nikogo kochać — prócz mogiły! —

O! kraj nieszczęsny, co jak spadkobierca
Po żonie weźmie dar strutego serca! —
Ludu! przeżegnaj tę marę złowrogą! —
Ona na scenę świata wchodzi z trwogą;
Myśli że anioł ją rzucił obrończy —
Nieszczęściem zaczął — a piorunem skończy,

XVI.

A dziś? — już koniec! Do Wacława gmachu
Weszła posępna królowa przestrachu.
Czy go kto otruł, czy struła zgryzota —
Kona, a przy nim synek, róża złota,
Gwiazdeczka ranna, także więdnie, gaśnie.
A w zamku bójka, kradzieże i waśnie:
Ten bierze sprzęty, ten ściany odziera;
Zamek się niszczy, pan zamku umiera.
Gdzie żona? — Ona w najciemniejszej sali
Brylanty chowa i papiery pali;
Nie sama — Greczyn w Arnauta stroju,
Leży na złotem wezgłowiu w pokoju —
Jak sułtan jaki wydaje rozkazy.
A nie powtarza wydanych dwa razy.
Bo go ta piękna słucha, myśl zgadywa,
I całuje go w ręce — nieszczęśliwa!

XVII.

«Dyanno —!» Przyszła, stanęła w pokorze.
«Zrucć teraz piękna te ślubne obroże,
Wypogódź teraz czoło lodowate.
Lubię tę chłopkę, tę polską Hekatę;
A skoro tylko zabłyśnie Gingary,
Sam pójdę patrzeć jak zamawia czary,
I śmierć posyła ludziom z ciemnej groty.»

«O! Antynoe już czuję zgryzoty,

A przecież śmierci męża jam niewinna!
Ona to! ona, ta kobieta gminna,
Musiała jakieś zemsty niepowszednie,
Lub spełnić jakie chłopskie przepowiednie;
A gdy ja chciałam by ta wiedźma z piekła
Czarę miłośnem zaklęciem urzekła:
Ona — o! srogi i okropny błędzie! —
I może on mię trupem kochać będzie,
I z grobu przyjdzie po miłość — umarły.»

Tu się powoli drzwi sali otwarły.
Struchleli nagle oba kochankowie:
Wszedł śpiący, z szmatą skrwawioną na głowie.

XVIII.

Kto go tak ubrał? Nieraz synek mały,
Kiedy na ojca padał księżyc biały,
Widząc jak w świetle twarz się Grafa mroczy;
Dwie białe róże kładł ojcu na oczy:
Lub w obłąkaniu — o! jasne i wdzięczne
Dziecka przysługi! — promienie miesięczne
Od ojca wzroku brał na swoje lica.
I tak zesmutniał cały od księżyca.
A dziś — okropność! miałżeby Wacława —?
Przy łożu chusta tak leżała krwawa —
Miałżeby synek ten łachman grobowy,
Może z anioła ciemnego namowy,
Na głowę ojcu —? O nie, ta czerwona
Chusta nie była w ręku Eoljona.
O nie — przysięgam święci aniołowie!
Syn nie położył mu tej krwi na głowie.
Bo mniej straszliwa byłaby ofiara,
Gdyby ojczyzny sama przyszła mara
Zajrzeć w lekarstwo, zaprawne piołunem,
I zdrajcę takim nakryła całunem;
Aby raz jeszcze, nim go Bóg obudzi,
Czerwono wrył się w pamięci u ludzi.

XIX.

Cóż to? czy serce w tej kobiecie pękło
O marmur czoło uderzyło, jękło —
Kość zadzwoniła, gdy czołem upadła,
Przed same nogi groźnego widziadła.
I dziwnie — zadrżał, oczyma nie mignął,
Lecz cały zadrżał, i cały się wzdrygnął —
I stanął chwilę we śnie, zadziwiony,
Jakby usłyszał skąd o śmierci żony.
Lecz chwilę tylko chwiał się jak na szali
I nie obudził się — i poszedł dalej

XX.

Sen to, czy mara jaka nie zbawiona?
Krzyczą po zamku że Grafini kona.
Nie dowiedzieć się czego u Greczyna,
Krew w niem zastygła, zimny jak gadzina;
W pochodni światło obłąkany patrzy,
Chłodny jak kamień, od marmuru bladszy.
Grafini kona — mówią — on nie słyszy.
Zlękli się ludzie jego trupiej ciszy,
Trącają — milczy jak widmo zaklęte,
Usta ma drżące, zęby mocno ścięte;
Wzięli, zimnego zanieśli na łoże.
Co się w tym zamku stało? Wielki Boże!
Tu śmierć nie czeka zwyczajnej kolei.
Grafini mówią była przy nadziei —
Wszyscy widzieli i tłum cały pyta
Czy jeszcze żyje, czy z dzieckiem zabita.

XXI.

Patrzaj! tam słońce nad Dnieprowe skały
Wyrzucaś wietne brylantowe strzały.

Kwiaty ze łzami się podnoszą wdzięczne —
Tam w błękit czoło chowa się miesięczne.
Sarneczki złote na kurhany skaczą,
Róże się polne otwierają, płaczą —
Orzeł na krzyżu z rosy skrzydła trzepie.
Jaki spokojny wschód słońca na stepie!
Tylkoż w tym zamku, złote słońce budzi
Z przerażonego snu pobladłych ludzi!
Tylkoż w tym zamku otworzą się oczy,
Które przed nocą mgła śmierci zamroczy!
Na cóż więc było na ten świat przychodzić!
Cierpieć, miłować, nienawidzieć, szkodzić:
Ażeby wreszcie słońce, dawno znane,
Weszło — ostatnie — i nie zapłakane?

XXII.

Graf Wacław woła. — Wybito podwoje?
Wchodzą. Czy trupów powalonych dwoje?
Graf Wacław — przy nim synaczek maleńki —
Zbladli — Graf woła księdza i trumienki —
Wyszli — pojechał Kozak do stolarza.
Do Grafa księdza wzięto od ołtarza.
Ksiądz ten pocieszać umiał nieszczęśliwe;
Spokojne lice i włosy miał siwe.
Obudził ojca, wziął go pod ramiona,
Postawił, krzyż mu przycisnął do łona,
Na złote słońce obrócił go twarzą,
Na róże co się pod oknami żarzą,
Słońce i kwiaty, czy Boską mu chwałę,
Czyli dzieciątko te przypomną małe.
Dobrze, bo przerwą posępne rozpacze,
Bo może westchnie, przemówi, zapłacze? —
Nie — stoi martwy, twarz mu się nie mieni:
Tak w brylantowem powietrzu jesieni
Stoją bezlistne drzewa, w szronu szacie,
I zadumane jak po jakiej stracie.

I przyszli ludzie z gotową trumienką;
Ksiądz się obrócił i znak im dał ręką,
I wzięli trupka, po cichu wynieśli.
Ojciec nie słyszał tych ludzi — a jeśli
Słyszał, to udał dziwną licem chłodność —
Ostatnią dumę w nieszczęściu — łagodność.
I postradawszy tę dziecinkę drogą,
Już nie zapytał się o nią nikogo.
I tak był długo bez myśli, bez czucia,
Jak trup, nim dzieło zacznie się zepsucia.
Ksiądz złożył ręce na piersiach i czeka
Na smutną spowiedź grzesznego człowieka.

XXIII.

Usiadł — ksiądz słucha — on usty drżącemi:
«Księże! skończyłem już wszystko na ziemi.
Patrzaj! czy widzisz ten komin i tygle?
Bóg mię ukarał srogo, niedościgle;
Wiem co w tej czarze było — o, anioły!
Ogień miłosny i ludzkie popioły.
Wypiłem z moim synkiem przez połowę —
Co? może ojców mych resztki grobowe?
Strasznie pomyśleć: kto napój przyprawił,
Co mię otruło, jaki się duch zjawił,
Aby mi dzisiaj po nocy powiedział,
O czym grobowiec dotąd tylko wiedział! —
Cóż to za zemsta? jacy to nieczuli,
Co zdrajcę prochem antenatów struli?
Tym czystym prochem, zdradzonym nikczemnie,
Co się trucizną stał gdy wstąpił we mnie!
A jakąż to myśl mieli ci mściciele,
Uśpione czucia budzić w mojem ciele,
Żyły nalewać znowu krwią namiętną,
Zbudzić to serce gdzie zgryzoty piętno?
Wiedzieliż oni co ogień poruszy
W czarnem sumieniu, w pokalanej duszy?

Jaka rozogni się krwi mojej zgniłość?
Co wyjdzie na jaw? — Zaprawdę nie miłość!
Ale zgryzotę zbudzili i pychę! —
Przeklęci! serce już tak spało ciche!
Już tak popiołem i pleśnią nakryte,
Już tak spokojne! już takie zabite!
A teraz znowu krwią nalane wściekłą! —
Boleść w nim, burza, pioruny i piekło,
Wszystko co ludzi przerażało trwogą —
Ale nie miłość — — Co kochać? i kogo?
Ach gdyby nawet z grobu wywołani,
Gdyby ta nawet moja pierwsza pani,
Ta najkochańsza, najsłodsza umarła,
Wstała — to serce by moje rozdarła.
Płakałbym może i z cierpień się skarżył,
Alebym kochać już nie mógł — nie ważył;
Bo na to trzeba jaśniejszej godziny
Niż starość ludzka, pełna krwi i winy;
Co jako skrawy chmurny zachód słońca,
Otwiera niebo bez Boga — bez końca.»

XXIV.

«Księże! są o mnie haniebne powieści,
Nie wierz im wszystkim. Bez sławy, bez cześci! —
Nie jestem takim — jak ludzie niewinni;
Ależ ja więcej cierpiałem niż inni,
Ale ja większe miałem serce w sobie
Do nakarmienia. — Tam małżonka w grobie,
Tam ojca sądzą mojego, o zgroza!
Na śmierć haniebną na karę powroza! —
Mój teść otrzymał wyrok nie ojczysty —
Mój ojciec, mój ród dawny, dumny czysty,
Wszystko to jedna godzina obali!
Dzisiaj to wszystko ważyłbym na szali,
Dzisiaj bym wolał, o Boże! przed gminem,
Powieszonego się nazywać synem! —

Lecz wtenczas! z hańbą grożone zamęściem,
Mój ojciec, mój ród, moje imię —! Szczęściem
Mój ojciec umarł — tak jak był powinien. —
Czemuś ty księże zadrżał? jam nie winien —
Że mnie widziano tej nocy przy turmie
W księżycowego wichru dzikim szturmie?
Na zapienionym żem uciekał koniu,
Żem pędził z głuchym tententem po błoniu,
Że ojca mego we krwi znaleziono
Nazajutrz — księże! rozedrzyj mi łono
I obacz serce, nim pójdę do trumny,
Bo mówię prawdę — lecz przysiądz za dumny.

XXV.

«Jestem niewinien, ale nie wiem czemu
W pamięci jestem podobny winnemu.
Bo wyznam tobie, żem tej śmierci żądał,
Nawet spodziewał się, czekał, wyglądał;
Bo i wieść o niej chwyciłem łakomą
Myślą, lecz zimno, jak rzecz już wiadomą.
Coś we krwi miałem, coś w myśli ustrzegło,
Co mi o śmierci tej pierwej przysięgło.
To kiedy przyszli zwiastować mi smutni
Ludzie, co chciwi męczyć, i okrutni,
Lubią posępnych słów oglądać skutek:
Wzgardziłem dumnie pokazać im smutek:
Lecz pokazałem lice zimne, szczere,
Już podniesione nad zwyczajną sferę;
Już w tej krainie cichej, wnętrznej burzy,
Gdzie nawet czoła śmierć ojca nie chmurzy,
Ale przechodzi wszystko ziemskie, mija —
Jady nie trują i miecz nie zabija.
Pokazałem im tę niezmienność czoła,
Które zmroziło dotknięcie anioła.
Wytłómaczyli to ludzie inaczej,
Ten marmur bolu — tę ciszę rozpaczy.»

XXVI.

«Ty wiesz że dumni nieszczęściem, nie mogą
Za innych śladem iść tą samą drogą.
A gdy się duma z nieszczęściem wylęgnie,
To i Bóg czoła takiego nie sięgnie —
To nawet wiara nie pochyli głowy.
A cóż dopiero piorun, miecz, okowy,
A nawet ludzkie przekleństwo i wzgarda?
Tak była ciemna, taka była harda
Duma w tem sercu. Na co mię przywiodła —
Ty wiesz — lecz duszy nie sądź, bo nie podła.
Jam się nie rzucił jak koń do zawodu,
Ja sam stanąłem przeciwko narodu!
A gdym się oprzeć musiał w rzeczy ciągu,
To się na wielkim oparłem posągu.
I nie szukałbym był podpory wroga,
Gdybym większego znalazł w sercu — Boga.»

XXVII.

«Nie uniewinniam ja siebie, o księże! —
Jakie mię gryzły tu w tej piersi węże,
Jakie po nocach walki obłąkane
Z pamięcią, dumą, zaczęte, wytrwane!
Aż sumieniowi uczyniłem zadość:
Świadczą te oczy, to czoło, ta bladość.
O! trzeba było siadać nad mem łożem! —
Gdy we śnie serce mi coś prało nożem! —
Gdy się budziłem w noc bez-księżycową,
W ciemności, ze krwi piorunem nad głową.
Albo widm okiem do łoża przybity,
Zimny, i łzami, i potem okryty,
Nie wiedząc czemu serce drży boleśnie.
Mówią, żem chodził po pałacu we śnie —
Nie wiem, lecz nieraz gdy sen ciężki spadał,
Możem wstał, chodził, płakał, jęczał, gadał —

Możem z krwi rękę o rękę ocierał,
Możem zabijał i trumny otwierał,
Możem się dzielił z kim jaką mogiłą —
Nie wiem — bo o tem mi się wszystkiem śniło.
I nawet dzisiaj na mnie krew czerwona,
Na głowie — — Gdzie jest druga moja żona?» —

XXVIII.

«Stój! stój! Nie szukaj tej kobiety ojcze. —
Od innych ciosy okropne, zabójcze,
Lecz od niej gorsze ja rany poniosłem.
Ona zrobiła że śmierć kraju zniosłem.
Anioł piękności i wróg nieodstępny,
Stała, gdy z hańbą walczyłem posępny.
Com cierpiał w sobie i com czuł — nie czuła,
Co w sercu mojem zmartwychwstało — struła,
Aż przyszło wreszcie że dziś, jędza blada — —
Lecz z tego niechaj ona się spowiada,
To jej na sercu, to je kiedyś zrani.
Patrz! ja ten ogród zasadziłem dla niej,
Te drzewa, łąki, tam niby w obłędzie
Strumienie i na błękitach łabędzie,
I ta z marmuru «carrara» łazienka —
To dla niej. — Putrzę, i serce mi pęka;
Bo to zostanie po mnie wszystko — długo — —
O! gdybym to mógł jaką krwawą strugą
Zalać i zniszczyć i duszę wyzionąć,
I z zamkiem i z nią i z wszystkiem utonąć!
Zostawić gruzy leżące na pował,
Którychby człowiek nie znał, nie żałował,
Nie myślał o mnie — tu błądząc, nie gadał:
Że tutaj zdrajca chodził, dumał, siadał,
Tu się śmiał z Boga, a tutaj łzy ronił —
A tu się w grocie kaskadą zasłonił,
Bojąc się słońca co tę ziemię złoci,
I żył jak węże w zimnie i wilgoci!» —

XXIX.

«Miłość ojczyzny — o! to słońce świetne
Dla serc, co dumne, sieroce, szlachetne,
Całe się czystym miłościom oddadzą.
Jako żórawie, co łańcuch prowadzą —
Świetniejsze serca wylatują przodem,
Umrą — ich duchy lecą przed narodem,
Ich wrzask, ich imię, ich lament — to hasła.
Gdy matka po nich zapłakana wrzasła.
Ojczyzna cała słyszy, leci, mści się;
W gołębiach wtenczas są serca tygrysie.
Umrą wygnani, to naród wysyła
Posłów — zapraszać, niech wróci mogiła.
A choćby nawet zapomnienie, nędza,
Jednego pacierz nad mogiłą księdza,
I wieczna cisza w grobie niepłakanym:
O! ja zazdroszczę tym czystym, nieznanym,
Ja, co się aż tam, aż do słońca darłem —
O! czemu ja też dzieckiem nie umarłem!
Czemu! — Ach, wtenczas, księże, nic dla sławy,
Lecz przyleciałem był raz na bój krwawy,
Ażeby umrzeć. — Na Boga żywego,
Jabym się teraz nie miał chełpić z czego! —
Szyki się biły pod Maciejowicą:
Wleciałem, ściśle zamknięty przyłbicą.
Dziwny był ubiór, ale to miał zyskiem,
Że nie witano mię zdrajcy nazwiskiem;
Wreszcie i armat zakryłem się błyskiem.
I smutny w sobie, wpadłem we krwi morze.
Słyszałeś o tym żelaznym upiorze?
Długo to było między ludźmi sporem,
Kto był w tym ogniu rąbiącym upiorem.
O śmierci! ludzi tysiącznych morderca!
Nie chciałaś wtenczas tej krwi, tego serca! —

Lont nie chciał armat przedemną zapalać;
Kule się bały we krwi mojej zwalać,
I omijały świszcząc koło ucha;
Miecz mój po karkach dzwonił jak miecz ducha.
Los miał okropną zbawić mię bezczelność —
Jam był ubrany w straszną nieśmiertelność.
Jaka w tem wola Boska! nie odgadnę,
I nie chcę myśleć — lecz gdy myślę, bladnę.
Sam na tem polu, gdzie psów wściekłych kupa,
Na koniu, nakształt siedzącego trupa!
Gdy z ciał wychodził obłok krwawy, dymny,
Gdy księżyc wschodził straszny, dymny, zimny.
Stałem — wtem jeden z niedomarłych, blisko,
Wymówił moje przeklęte nazwisko:
Schylam się z konia — patrzę: krwią się broczy,
I krew mi swoją ten człek rzucił w oczy.
Dobyłem miecza — o! nie bladnij, książe! —
Choć syknął na mnie ten, gorzej jak węże,
Chociaż mię taką pieczęcią naznaczył,
Jam go nie dobił, alem nie przebaczył.»

XXX.

«Książe — gdzie teraz Kościuszko? — w mogile —
Kiedy żył jeszcze, były takie chwile,
Żem ja był wrogiem jego świetnej sławy.
Chciałbym dziś widzieć cień jego postawy,
Albo grobowiec przy bladych lawinach:
Musi być smutny, nad nim szmer w drzewinach.
Smutne tam duchy błądzą w księżyc świetny,
Wołając: ojcze! — choć on był bezdzietny.
Mówią, że idąc za trumny orszakiem,
Koń jego stawał przed każdym żebrakiem,
Tak nauczony za życia rycerza.
To wszystko, książe! serce mi rozszerza,
Łez pełne, burzę zapowiada ciemną.
Patrzaj, co stało się z nim — a co ze mną?»

XXXI.

«Obróć tu księże twe łzawe oblicze —
Ileż ja w życiu chwil okropnych liczę!
Słuchaj, po śmierci kraju, już shańbiony,
Dom odwiedzałem mojej pierwszej żony.
O! co ja czułem, gdy lip poczet stary
Zaczął nademną swoje smutne gwary —
Kiedy się miesiąc w liść zabłąkał szumny!
Ja, co tam żyłem młody, jasny, dumny,
Z nią razem, ojcze! Ja, co w tej krainie
Myślałem niegdyś, że młodość nie minie! —
Wchodzę — trzy razy wspomniałem o Bogu,
Trzy razy, blady, przejść nie mogłem progu.
Przeszedłem wreszcie — w komnatach nikogo —
Ściany się zdały napełnione trwogą,
Że mię tam widzą samego w ciemności;
Ale w powietrzu jakiś szmer litości,
I coś szeptało: «nie płacz» z każdej cegły —
A mnie okropne łzy po twarzy biegły.
Na cóż to przyszedł ów Wacław wyniosły,
Chwasty go same w tym gmachu przerosły.
Sam o bogdajbym był sam! o shańbienie!
Starzec wychodzi w księżyca promienie,
Poznaję — mój teść — przy niepewnym świcie
Widzę, że w ręku ma jakieś zawicie;
Twarz jego dzika, okropna, surowa.
Rozwija — patrzę — ojca mego głowa! —
Po śmierci zemsty bezczelnej dokazał:
Wyjął z mogiły trupa i ściąć kazał.

XXXII.

«Tak to mi starzec zwiędłe serce kruszy!
Tak to anielstwo wypędzono z duszy!

Tak to myśleli, że mię zdeptać mogą —
Aż się od hańby obroniłem trwogą!
Lecz nie pomogło — bo jak od zwierciadła,
Od ludzi trwoga ta na mnie upadła.
Bo wyschły jak trup, po uczuć pogrzebie,
Jąłem się lękać nie Boga, lecz siebie,
Więc niech się skończy ten los, co mi ciąży,
Niech w nieskończoność dusza się rozpręży;
Wszystko straszliwe, co się w serce ciśnie,
Niech się jak piorun wyrwie i rozbłyśnie.
Niechaj część każda pokalanej duszy
Dozna właściwych bolów i katuszy.
Lecz niechaj wszystko to w jednym mordercu
Zamknięte, w jednym nie gryzie się sercu.
O! były chwile okropne na świecie!
I ta noc —! Księże — pociesz ty mię przecie!
Czy ty łzy tylko masz dla mnie z pacierzem?
Dla mnie, co stoję nad śmierci wybrzeżem!
Co tu widziałem, pełną tajemnicy
Śmierć w synka mego błękitnej źrenicy.
Okropność! jego usteczka różane,
Miłością jakąś obłąkane, pjane,
Z ognia oddechem, z lutniowemi gwary,
Pocałunkami tu goniły mary.
Widziałem moje sny młodości złote:
Zachwyty, miłość, niepokój, tęsknotę,
Wydane dziecka niewinnem obliczem.
Lecz on kochał nic, nie tęsknił za niczem —
A jednak tęsknił i kochał — — Widziałem,
Jak się w coś wpatrzył z obłąkania szałem.
Myślałem — biedny! czego on się męczy?
Łabędź, w jeziora zakochał się tęczy —
Umarł nim zgasła, nie doczekał nocy.
Lecz ile było w nim ognia i mocy!
Jakie wyrazy tęskne, smutne, śliczne,
Długo-echowe i melancholiczne
Z ust mu jęczały! Była jedna chwila —
Myślałem że mu skrzydełka motyla

Z ramion wyrosną, że główka zaświeci
Ogniem niebieskim i w niebo uleci;
Bo na paluszkach wstał, rosnął w człowieka;
Myślałem że już odemnie ucieka! —
Wrócił — przy nogach mi go ból pokonał,
W godzinie jednej kochał, cierpiał, skonał.
O, cud okropny! co iskrę słoneczną
W serduszku dziecka zamknął — miłość wieczną.
To, co ja dotąd w mojem sercu mieszczę,
To go zabiło — a ja cierpię jeszcze!
I jeszcze kocham i widzę to jawniej
W sercu, przed śmiercią, że kocham jak dawniej.
Tu! z krzyżem, księże! tu stawaj u czoła!
Niechaj myśl moja tych snów nie wywoła —
Niech nie przychodzi tu jej cień bladawy — —
Przyszła! Tam za nią stoi ojciec krwawy,
Włos jego siwy — O! to męki moje!
Ta para, ludzi tych w powietrzu dwoje!
A jednak twarze to może jedyne,
Co odpuszczają mi hańbę i winę —
Co widząc dolę znękanego twardą,
Jak inni ludzie, nie patrzą ze wzgardą! —
Mario! nie idź za księżyc się chować,
Dobrze żeś przyszła się tu ulitować!
Dobrze żeś mi się duchem pokazała,
Taka posępna, i cicha, i biała,
Jak gdyby za mną w mogile tęskniąca! —
Mario, czekaj zachodu miesiąca —
Pójdziemy razem — gdzie? — ja nie wiem. — Księże!
Wkrótce me ciało już ziemię zalęże,
Na długie słowa słowa już mi braknie czasu.
Każ uszyć nową jej suknię z atlasu,
Każ włożyć wianek z róż świeżych uwity,
Niech ją obmyją, ubiorą — kobiety —
Pamiętaj — trumna to od wejścia czwarta —
Patrz, jak ta szata już na niej podarta.
Czy dobrze? — Zrób to, nim promienie świtu —
Patrz — uśmiechnęła się na to z błękitu — —»

XXXIII.

«Nie mów nikomu o mnie sługo Boży!
Niech mój grobowiec ludzi długo trwoży.
Weź i tę chustę — choć krwią powalana,
Możesz ją złożyć przed ołtarzem Pana,
Albo — — Dla czegoś drgnął przed tym rozkazem
Powieś tę chustę przed Panny obrazem —
Musi być święta krew, co ją broczy,
Bo mi ją kiedyś naród rzucił w oczy.
Więc to męczeństwo pobladłego czoła,
To mi ostatni jest dar dla kościoła.
I jam coś ciernia czuł w mojej rozpaczy:
Może Bóg wspomni na to i przebaczy.
Żalu mojego najlepszą jest próbą
To upodlenie moje — i przed sobą.
Co będzie z moim duchem nad mogiłą?
Pewnie nie gorzej jak to co już było.
W dumie mej jeszcze przynajmniej zachodzę,
Że mię przed śmiercią broni uledz trwodze.
Gdy przy tem łożu nic, tylko rozpacze —
Gdyby mniej dumy, płakałbym — i płaczę.
Lecz coś jest we mnie, gdy w grób muszę wchodzić,
Z czem by się żadne łzy nie mogły zgodzić.
Wściekłość na siebie, żar co się nie studzi,
A nawet, księże! jakiś żal do ludzi:
Jak gdyby oni byli winni zdawna,
Że się krew we mnie zaczerniła sławna.
Lecz nie — i myśl ta nie może pocieszyć.
To wszystko. — Księże, czy śmiesz mię rozgrzeszyć?
Olej, co czyni w Bogu śmierć wesołą,
Czy się odważysz lać na zdrajcy czoło?
Jam nie żałował i nic nie naprawił,
Kraj jeszcze we krwi — a ja go zakrwawił;
I długo będzie ta krew po mnie płynąć!
Tysiące walczyć i tysiące ginąć — —

Po mnie nieszczęścia więzienia i wojny —
I mógłżebym ja w grobie spać spokojny?
O, nie! nadzieja jest szaleństwem dla mnie —
A jednak — starcze! ty módl się i za mnie — —!»

XXXIV.

Graf Wacław skonał. O, domysłów płonność!
Na lice wyszła trucizny zieloność —
Ale krew jego już dawno zepsuta.
Ciągła samotność, łzy wzgarda, pokuta,
To nieraz także te trucizny duszy
Wyjdą na ciało, zwiędle od katuszy —
I nieraz lice trupowi odmienią,
Połamią, poskrzą, zsinią, pozielenią.
Więc może i te splamienia Wacława
Nie z gwałtu poszły, lecz z natury prawa;
Lepiej tak wierzyć niż oskarżać ludzi.
Niech się podstępna ciekawość nie trudzi;
Gdy ziemia z siebie rzecz przeklętą zruci,
Niechaj spokojność w tłum zmięszany wróci.
Lecz nie! Ten zamek wre skargą i gwarem!
Domysły rosną z niepokojem, swarem.
Mówią że pani chciała ukryć winę;
Mówią że miała otrucia przyczynę —
Jaką? — nie można wierzyć w takie baśnie.
Miałażby otruć małżonka — a właśnie
Zadatek nowej miłości i wiary
W jej łonie? — Po cóż przy kołysce mary?

XXXV.

Po ukraińskich stepach syczą żmije:
Pogrzeb się czarny z pochodniami wije,
A za pogrzebem groźny wicher wije.
Smutno, posępnie przez kurhany płynie,

Pogrzeb możnego pana w Ukrainie.
Z każdej mogiły ognista kolumna
Wytryska w niebo, gdy nadchodzi trumna.
Już przeminęła, a jeszcze czerwono
Wszystkie kurhany w Ukrainie płoną,
I rozmawiają cicho o pogrzebie.
Gwar na tym stepie, a cisza na niebie.
W ziemi grobowej głucha trupów wrzawa,
Bo między nimi stanął trup Wacława.

XXXVI.

Człowiek? czy widmo? — Jakiś duch z burzanu
Wyszedł na czoło ogniste kurhanu,
Pogroził ręką: «Zdrajco! otóż tobie
Trucizna — w przodków wypróchniałym grobie!
Idź trumno czarna z ohydnym człowiekiem,
Z trupem, co mojem wykarmiony mlekiem.
Idź w ogień piekła za narodu zdradę!
W kołyskę kładłam i w prochy cię kładę.
Dzieciątko moje ty i moja żmija —
Ziemia cię zmrozi, robaki spowiją!
A choć krew twoja kiedyś winę zmaże,
Tego ci Pan Bóg zwiastować nie każe.
Choć Ukrainie kiedyś zmartwychwstanie,
Ty się nie dowiesz w piekle — ty szatanie!
Nic się nie zmieni, wieczność się zaczyna.
A wieczność taka jak śmierci godzina! —»
Tak pożegnawszy resztki pana zgniłe,
Zapadła wiedźma w burzan, czy w mogiłę.

XXXVII.

I znów na zamku jasnych świateł krocie,
Księżyc w ogrodach, szum kaskady w grocie,
I znów tam cicho, i kaskada grzmiąca
Znowu się srebrzy na blasku miesiąca.

Mówią że łabędź i róża czerwona
Szepcą w powietrzu imię Eoliona —
Gdy wszystko scichnie wieczorną godziną,
Gdy róże płaczą i łabędzie płyną.
A o dzieciątku tym z twarzyczką ducha
Została jakaś ciemna powieść, głucha.
Mówią, że raz go widziano w tej grocie,
Całego w gwiazdach, w promienistem złocie:
Duchy powietrzne, za tęczową szarfę,
Przyniosły jemu zapaloną harfę.
Usiadł — do ognia strun przybliżył ręki:
A pierwsze z harfy westchnienia i dźwięki
Zwołały wszystkie łabędzie z ogrodu;
A drugie tony, jak jęki narodu,
Co cicho konać i cierpieć nie umie,
Zrobiły szelest w tym łabędzi tłumie.
A gdy śpiewaka pieśń i tony rosły,
Wszystkie się razem łabędzie podniosły,
I poleciały płaczącym orszakiem
W niebo gwiazdziste, z harfą, ze śpiewakiem?
I znikły, długo widziane na górze,
Jak girlandami spięte białe róże,
Ulatujące w niebieskie krainy,
Dosłychać harfy tej cudnej dzieciny.
Nie wiem czy wierzyć — lecz cuda są wszędzie —
I odtąd znikły w ogrodach łabędzie,
I szafirowych wód nie krają łonem,
Bo poleciały wszystkie z Eoljonem.
A Bóg nam wieszczów zostawiać nie raczy,
Odkąd zabrakło już białych słuchaczy.

POEMA

PIASTA DANTYSZKA,

HERBU LELIWA,

O PIEKLE.

OFIAROWANIE.

U nóg twych kładę: O! żałosna wdowo
Polskiego ludu! O matko w żałobie!
Tych, co śpią w krwawym pochowani grobie,
I tych — co wierzą że wstaniesz na nowo!

O! ty gotowa twą krew Chrystusową
Rzucić na twarze wątpiące i blade! —
Warszawo! tę pieśń ci pod nogi kładę,
I nóg skrwawionych twoich sięgam głową.

Bo ja nie wierzę, żebyś ty się zlękła
Carskiego czoła i carskich rycerzy:
A gdy mówiono, żeś przed nim uklękła,
Tom był jak człowiek, gdy grom weń uderzy! —

Potem — schyliwszy czoło zamyślone,
Rzekłem: żeś klękła ty po tę koronę,
Co spadła z głowy, i u nóg ci leży.

Florencja, 15 listopada 1838 r.

Usiadł na grobie, gdzie jasne motyle
Około róż się kręciły grobowych:
Poprawił wąsa i wylotów płowych,
I rzekł: Pięcioro mam dzieci w mogile,
A zaś ostatni, wężowego płodu,
Syn mój ostatni jest zdrajcą narodu.
To mi włos siwy cały się wypręża,
I drży i wstaje z głowy dębem węża:
Kiedy pomyślę, jak mi się zdradziecko
Ostatnie moje pohańbiło dziecko.
Lecz niech tak będzie! Pana Boga wola!
Kontusz wytarty, szabla i niedola,
I czapka krzywo zatknięta na głowie,
I moi gdzieś tam w mogiłach synowie —
Z tym ja, mój panie, jak królowie dumny,
Krzyż zrobię święty i pójdę do trumny,
A biada temu, pod kim się usunie
Mogiła moja i ziemia na trumnie!
A biada, jeśli mój syn zdrajca stąpi
Na ten grobowiec, bo się rozestąpi;
Bo zeń czerwone płomienie wybuchną;
Bo nań wyskoczy mój trup, moje próchno,
I kąsać będzie, robactwem oblizie —
Aż go zje, aż go zdusi — aż go zgryzie!

Patrzaj ty na mnie — ot! taki jak jestem,
Widziałem Boskich na oczy aniołów.
Ot taki nędzarz, brudny od popiołów,
Obmyty krwawym narodowym chrzestem,

Nie mogę przeżyć bez pociech do zgonu,
Poszedłem sobie na górę Sionu,
Cokolwiek duszy ulżyć płaczem zdrowym,
Na zakrwawionym grobie Chrystusowym;
Za moje martwe syny się pomodlić,
A tego przekląć, co się ważył spodlić.
Za tych, co zabił tyran i zabija,
Zmówić na grobie trzy Ave Maria —
Na te mogiły, gdzie leżą krwawemi,
Jerozolimskiej przynieść trochę ziemi.
I grobowiec ich cichy, nieszczęśliwy,
Posypać liściem srebrzystej oliwy,
Która Chrystusa uroszona łzami,
Wyrosła drzewem litości nad nami.
I cóż! przebiegłem błękitne żywioły,
Ot w tym żupanie i z tą szablą rdzawą,
A jak turecki jaki święty, goły;
A śpiąc pod żaglem, albo gdzie pod ławą.
I patrz, jak podróż staruszkowi służy!
Wróciłem sobie jak żóraw z podróży —
Wichry mi trochę podszarzały skrzydeł,
Mój kontusz teraz nie do malowideł;
Przez pas wychodzą moje chude kłęby,
Szabla na skałach wyszczerbiona w zęby;
Lecz chociaż sobie wygląda jak chrobra,
Byleby wojna, patrz! co? — jeszcze dobra!
Jeszcze jak niebo ma łono błękitne.
A jak nią świsnę! jak po czaszkach zgrzytnę!
Dalibóg! nie dam grać po nosie sobie!
Bom to zaprzysiągł na Chrystusa grobie.

Ale do rzeczy, mości dobrodzieju!
Tu mówią w karczmie i po domach plotą,
Żem się ja zapił aż na śmierć zgryzotą;
Że tracę nawet tę trochę oleju,
Którą ma z łaski Bożej twór człowieczy,
I roję sobie niestworzone rzeczy.

Mówią, że sztuką jakąś, może djablą,
Zaszedłem w piekle dzwonić moją szablą;
Że mi się trochę opaliła dusza,
Żem sobie nawet podsmalił kontusza:
Że mi skra padła na gołą łysinę
I wypaliła tajemniczą dziurę!
Skąd, kiedy piję, to wypuszczam chmurę!
A nawet, mówią, iskry wielkie, sine
Bogdajby djabeł oniemił fałszerze!
Ja w Pana Boga i w Chrystusa wierzę,
I co dnia mówię z kogutem pacierze.
A kto obelży mojej duszy sławę,
Z tym ja mieć będę żelazną rozprawę.
A postaw tu dzban, jak gwiazdy zaświecą,
Ujrzysz czy z mojej łysiny skry lecą?
A jeśli lecą, to dobrze, nie pusta —
Więc pożar łatwo mi zalać przez usta;
A jeśli zatkać tę łysinę ręką,
Skry sobie będą wychodziły szczęką —
A ludzie niech się sami siebie strzegą!
A że ja palę się, co im do tego?
Otóż tak dobrze! — dzban — przyniosłeś wina.
Postaw tu, panie — tu — na tej mogile;
Niech trup zazdrości, że ludziom godzina
Ulecі sobie jak złote motyle.
Bo cóż? — my także grobów kandydaty!
A kto jak ja żył, lelijowe kwiaty
Mieć będzie kiedyś i polane rosą —
I drzewa, gdzie się słowikowie niosą,
I tak śpiewają i z taką rozpaczą,
Że aż tam brzozy na kurhanach płaczą.

Brr! — Coś mi panie teraz w oczach widno.
Słuchaj! Raz jednej nocy, bez księżyca,
Widziałem panie rzecz strasznie ohydną —
Lecz nie mów o tem, bo to tajemnica!
Bo jakby na mnie to poczuli księża,
Gotowi wygnać z kościoła jak węża;

A nie wie o tem ani gwiazdek para,
Ani syn zdrajca, ani matka stara,
Co jeszcze żyje gdzieś nad wodą Niemna,
I kołowrotek swój obraca, ciemna,
Biedaczka, nie wie dotychczas o niczem —
Nawet że tamci pomarli synowie.
Bo kiedy ręką mię maca po głowie,
To ja się różnym przerabiam obliczem,
Udaję różny głos i różne twarze;
A potem ślepej odgadywać każę,
Który z jej synów stoi przy niej blisko,
I zawsze inne powiada nazwisko —
Myśląc biedaczka, że przy niej są bliscy
Synowie zdrowi i żywi, i wszyscy —
A Bóg im dawno na niebiosach świeci!
A stara zamrze, to tam znajdzie dzieci!

Lecz to nie o tem mowa, mości panie!
Raz kiedy była tu cisza ponura,
A ja siedziałem spokojny przy dzbanie,
A nad sosnami temi była chmura,
Rozrzucająca okropną ciemnotę,
A tam wisiało pod nią słońce złote.
A ja tak z czapką na bakier na głowie —
Mój mości panie — dwaj mię Aniołowie
Przyszli powitać, mówiąc: — Panie Piaście!
Zadziwiłem się i rzekłem: — Skąd waście,
Których ja nigdy znać nie miałem w zysku,
Wiedzą o moim rodzie i nazwisku? —
Tak mówiąc, byłem w djabelnym kłopocie;
A do mnie piękne te figury w złocie:
Nie bój się! Boga jesteśmy posłani;
A jeśli zechcesz przelecieć się z nami
Przez te ogromne szafirowe pola,
To z twoją wolą jest i Boga wola.
Tak mi mówili; a ja panie rzeźwy,
Wstałem: dalibóg! dziś przysięgam trzeźwy,
I w dłonie klaszcząc, jak dziecina klaska,

Rzekłem panowie jaśni! jeśli łaska
Dajcie mi widzieć tych co w piekle gorą?
A potem moich dziateczek pięcioro,
A potem jeszcze gdzieś na tamtym świecie —
O kim ja mówić chcę, zapewne wiecie?
Więc jeśli wola jest Jehowy na to,
Niech będę z temi, co już poszli dawno,
I włożeni są w ziemię lodowatą. —
A gdy mówiłem, to było mi jawno,
Że prośbę moją napróżno zanoszę.
I że nie zrobią święci o co proszę.
Aż tu mój panie, nad podziw, ci złoci
Biorą mię, nakształt zerwanej stokroci
Biorą, i prosto w tęczę złotowłosą,
Na ciemną chmurę, nad sosnami niosą:
I bez żadnego szelestu i dźwięku,
Niosą szlachcica w niebo, z dzbanem w ręku.
Aż ja z nad chmury upuściłem dzbana —
I potem aż się dowiedziałem w siole,
Że upadł z nieba na księdza plebana,
I wybił mu jak talar guz na czole,
I zostawił mu siniec w upominku —
Pożałowałem dzbana i uczynku.

A to więc panie mój, były nie żarty!
Na złotych skrzydłach jak król rozpostarty
Lecę, a tęcza co wisi na chmurach,
Świeci jak brylant na kontusza dziurach;
A gwiazdy żółte, różowe i sine,
Sypią się deszczem na moją łysinę;
A księżyc blisko przybiega i staje,
I widzę srebrne rzeki, srebrne gaje,
Góry — o góry zaczepiłem pałasz — —
A dotąd nie chce wierzyć pan bakałarz,
Choć mu po stokroć na honor mówiłem:
Gdy księżyc świeci we mgle — że tam byłem.

I tak mię nieśli Boscy aniołowie —
A ja siedziałem jednemu na głowie,

Pusząc się dumą jak paw na folwarku;
Nogi zaś moje drugi niósł na karku —
Anielik mały, jak różyczka młody,
I nogi moje dźwigał jak dwie kłody,
A takie były te aniołki skoczne,
I takie zwinne, że nie oni sami,
Alem ja zaczął prosić się ze łzami,
Niech sobie stary na chwilę wypocznę;
Bo mi już kości trzeszczą jak łuczywo,
I w gwiazd mi żywych towarzystwie ckliwo.
I zaręczam ci na honor szlachica,
Że postawili mię na dwóch podkówkach,
Na samym środku srebrnego księżyca;
I na różanych mię oparli główkach,
A ogień zaczął mi iść przez łysinę —
Jeżeli kłamię, panie, to niech zginę!
Ogień wybuchał przez kości i skórę,
I szedł z księżyca jak kolumna w górę.
A stąd urosło o mnie to przysłowie,
Żem się wypalił na księżycu w głowie.
Ale w tym, panie, prawdy ani trocha!
Kto pałasz kocha i ojczyznę kocha?
Choćby się palił dla niej przez dwa wieki,
I gdzieś jak żóraw odleciał daleki,
I gdzieś przez lat sto więdniał od rozpaczy
To jak swą szablę i swój kraj zobaczy,
To jak usłyszy że krzyczą do broni! —
Przed Panem Bogiem się tylko ukłoni,
A potem ludziom odpowie na hasło,
Że miecz nie ściemniał i serce nie zgasło.
To i mnie widzisz żem jeszcze gotowy —
Choć mi czuć dawno już wilgoć smętarza,
I zapach trumny nozdrze już obraża,
Zapach posępnie smutny i cedrowy —
To chociaż czuję że przez bliskie rżysko,
Leci koń śmierci, i leci, i tętni,
I już nadbiega z próżnem siodłem blisko;
Nim wskoczę: biada; kto mi się nawinie!

Biada! kto moją ojczyznę zasmętni!
Bo nim łza po mnie, to wprzód krew popłynie.
O! wy nie wiecie, co się w sercu złoży
Zemsty i bolu, nim się grób otworzy?
O! wy nie wiecie, ile dusza dzika
W jeden cios szabli na przyszłość zamyka,
Wiele modlitew o zgon ludzki kładnie?
Aż z takim ciosem pierwsza głowa spadnie!
To może wtenczas gdy ją w piasek rzuci,
Do Pana Boga i modlitwy wróci,
I spokojniejsza sądów Boskich czeka,
Ubrana w jasną szatę, w krew człowieka — —
Ale to mary! to są mary krasne.
Ja potępiony, nie zemszczony zasnę!
Z sercem na zemstę tak długo upartem,
Ludzie zostawią śpiącego w kurhanie;
Śpiącego starca, w kontuszu wytartym —
I tak na wieki będzie, tak mospanie!
Przybędzie tylko ku kraju ozdobie,
Jeden grób więcej i starzec w tym grobie:
A słowiki mu chór żałości utną.
I cóż? — Na księżyc wróćmy, bo mi smutno.

Otóż jak mówię! — Hej! dolej mi szklanki!
Gardło jak suche, to gra jak w multanki!
A tu mi trzeba o piekielnym dziwie,
Jak psu po nocy, zaszczekać chrapliwie.
Idę przez księżyc złocisty i szary —
I napotykam trzy okropne mary.
Przy ogniu trójka siedziała spokojna,
Około ognia: Głód, Dżuma i Wojna —
Siedziały cicho i w kotle warzyły
Trupy, z wczorajszej wyjęte mogiły.
Widząc te rzeczy w lodowatej strefie,
Krzyknąłem: Jezu, Mario, Józefie!
A pocieszywszy się modlitwą skrytą,
Rzucam się na nie z szablicą dobytą:
Rzucam się wściekły — jak tnę bogobojnie,

Uciąłem prawe ucho pani Wojnie;
A Głód je chwycił, i gębę rozdziawił,
Połknął uszeczko siostrzycy i strawił,
I w kocioł je wnet rzucił z drugiej strony.
Stałem, i wąsa kręciłem zdziwiony —
Myślę: co robić? A djabli to wiedzą.
Co utnę szablą to połkną i zjedzą.
Twarz mi się zgrozą stała trochę blada,
Bo panie! sprawa z djabłami nie lada!
I przemyślałem więc summarum summa
Co robić? Aż tu do mnie pani Dżuma:
Nie jendycz się tak, krzyknęła, szlachcicu!
Na srebrnej ziemi, na zimnym księżycu,
I nie bądź takim przeraźliwym Serbem;
Wszak ty Leliwę, księżyc miałeś herbem?
Więc może ciebie nie bardzo rozbestwię,
Prosząc na ucztę w twem własnem królestwie.
Siadaj przy kotle i powąchaj woni,
A potem proszę, jedz — bez ceremonji.
Na takie dictum, choć przysięgam jeszcze,
Djabelne jakieś szły po skórze dreszcze,
Zbliżam się — z kotła idzie krwawa para,
Wonna — myślałem że gotują Cara
Lub inną jaką potępioną liszkę;
Zazieram — krwawy war — proszę o łyżkę —
Dają mi, wielka jak łopata, sina,
Dobywam z kotła coś — to głowa syna!
Struchałem! Syna mojego główinka!
Blada i krwawa; oczki otworzone,
Usteczka jeszcze jak róże czerwone,
Twarz, oczki, mego najmłodszego synka!
Patrzy się na mnie, żółciutki jak woski;
I tak trzymałem go za złote włoski,
I nie wiedziałem wyć, płakać, czy szczekać?
Aż widmom z oczu krew zaczęła ściekać,
I rozpłakały się krzycząc: szlachciuro,
Nam samym smutnie, zimno i ponuro,
I drżą wnętrzności jak żywoty matek,

Słuchając, jak ty płaczesz twoich dziatek;
A nie obwiniaj nas! bo my bez plamy!
My je od ojca kochanego mamy —
On je tam łowi gdzieś w krwawym potoku,
I w morzu płaczów: i nam tu co roku
Przysyła takich głów tysiące darem.
Ojciec co karmi tak, zowie się Carem;
A my kochamy go, bo dla nas dobry —
Mówiły: a ja płakałem jak bobry.
I płacząc kocioł mięszałem aż do dna;
Więc najstarszego syna głowa chłodna,
I główka tego co był w rodzie średni,
I pięcioro ich — wszyscy moi biedni! —
Wszystko pięcioro głów z kotła dobyłem,
I nie płakałem już po nich — lecz wyłem.
I tak mi wyschły źrenice rozpaczą,
Że zawstydzały mię widma co płaczą.
Jakby martwica co po piekle hasa,
Wiążę te głowy trupeczków do pasa:
Tak przywiązuję tu za włoski złote,
Pod samym sercem najmłodszą sierotę;
A tu wąsatą twarz syna ułana,
A tutaj trzecia, czwarta przywiązana,
A piąta wisi tuż przy rękojeści:
I tak z wszystkiemi pięciu — o boleści! —
Aż na te widma zimna padła trwoga —
Głośno krzyczałem że idę do Boga.

O! haniebna to była maskarada!
Gdybym się kiedy tak we wsi pokazał,
Proboszcz by dzwonić w dzwon umarłych kazał,
Za mną by dziatek leciała gromada.
A tam — krew ciekła na księżyca bruki —
Leciały za mną wrony, sępy, kruki,
Wilki wyjrzały z parowów i jękły,
Aniołki znikły, bo się mnie przelękły;
Przecięż, żem nie był zbój, to łatwo dociec,
Na czole miałem napisane: ojciec.

W oczach łzy były co wszystko tłumaczą —
Zabójce tak nad trupami nie płaczą.
Szedłem przez góry, szedłem przez padoły;
I nie wiem gdzie szła ta piekielna droga,
I nie wiem czyli tam chodzą anioły;
A ja krzyczałem że idę do Boga.
Idę przez ciemne, tajemnicze światy,
Ukochanemi trupami skrzydlaty.
Idę, a język mi syczy jak żmija,
Mózg wszystko pali, łamie i zabija,
Boleść, co w sercu cały świat oskarża,
Mój widok sądem jest, mój płacz przeraża —
Umarli co mię zobaczą, nie zasną;
Bóg może nawet twarz odwróci jasną.
Na blask boleści, który ze mnie strzela,
Od krwi co w kontusz wypłowiały wsięknie!
Matka się Boska odwróci i zlęknie,
Myśląc że była matką Zbawiciela.

Idę — w tem, panie, patrzę — jakaś szklanna
Z księżyca w niebo wytryska fontanna;
A od niej leci woń miła i słodka,
A przy niej tańce, pląsy i chichotka.
Dziewczęta hoże, proste jak badyle,
A ze skrzydłami jak polne motyle —
Za dziewicami rój kochanków młody,
Goni, całuje i spycha do wody;
A ukąpane dzieweczki, wychodzą
Piękne jak róże, co się dzisiaj rodzą —
Piękne jak białe narcysy do wianka!
I za kochankiem, znów leci kochanka,
I nikną w łąkach. A ta wywrócona,
Gdzieś szafirowe łowi winogrona:
A ta do wody kryje się jak płotka,
Nie mając innej szaty jak ta woda;
A ta całuje kogo tylko spotka —
Wszędy wesołość, śmiechy, miłość, zgoda.
Zmartwiałem — wąs się najeżył surowy.

Spojrzałem gorzko na dzieciątek głowy —
Szukam, znajduję dwa kamienie duże,
Chwytam — w tem jeden zamienił się w róże,
Drugi w motyla — tak, że z gniewu burzą,
Motylem na nie rzuciłem i różą.
Wściekłość mię zdjęła! W tem jedna z dzieweczek:
Patrzcie! krzyknęła: co to za figura?
Patrzcie! krzyknęła: co za aniołeczek
W starym żupanie! patrzcie co za gbura!
I wszystkie w śmiechy ha! ha! ha! ha! ha! ha!
A jedna do mnie: proszę pana Lacha!
Proszę tu bliżej, tu nie ma zazdrości,
Dla wszystkich płynie fontanna młodości.
Proszę tu bliżej; zagrzej sobie żyły,
A wyjdziesz świeży jak kwiatek z mogiły;
Odrzucisz czaszki zbierane na grobie,
Wymyjesz tę krew co z żupana cieknie,
A potem sama zakocham się w tobie,
I przekochamy czas, i czas ucieknie! —
Proszę tu bliżej! proszę do fontanny!
Tak zapraszała ta i drugie panny.
A tu mi wtenczas już gniew nie wystarczał,
Zęby szczęknęły, i język zawarczał,
A wy niegodne! a wy kogutnice!
A tam kraj we krwi? a tu w różach lice?
A tam mogiły — a tu! — bierz was djabli! —
Jak skoczę panie! jak dobędę szabli!
Jak się z krzyżowym wypuszczę zamachem!
Wszystkie różyczki w nogi! — ja za niemi —
Lecą, ogromnym ścigane przestrachem,
Biją mię w oczy włosami złotemi;
A ja zaś rąbię — co machnie szablica,
To utnie kawał srebrnego księżyca.
A te się śmieją, biegną i wietrzeją
I za laury się kryją i znów śmieją,
I przez cyprysy skakają jak róże —
Ażem się cały w łzy zapocił duże!
A tak mi serce wściekło się grobowe:

Że odwiązawszy z paska, syna głowę —
Przypadkiem głowa to była ułana —
Jak za włos chwycę! jak zakręcę wartko!
Jak palnę!!! — czarna z niej krew jak ze dzbana.
Ułan, miłośne to było lampartko!
Skoro się poczuł, w trop za dziewczątkami,
I djabli by go nie wstrzymali sami.
Kręci się, leci, kolorów nabiera,
Wąs się zakręca, oko się otwiera,
Jak w lot się puścił, tak leci i leci! —
A trupek to był: a proszę waszeci!
Fartuszkiem swoim z bielutkiego rąbka
Najpiękniejsza go wzięła jak gołąbka,
I przytuliła: i chórem gromadnim
Zaczęły wszystkie piękne płakać nad nim.
Aż mi jęły ciec łzy po siwych wąsach.
Zostańcie! rzekłem: zostańcie wy w pląsach,
Wy, co i płakać umiecie rycerzy!
Przy waszem sercu mu dobrze, niech leży;
Niechaj spoczywa, a wy moje młode
Lejcie na niego tę młodości wodę —
A choć nie zbudzi, to lepsza jest ona
Polewać trupy, niż łza moja słona.
Ubierzcie go wy w kwiaty lelijowe,
Tańcujcie nad nim i bądźcie mi zdrowe.
Bo mnie staremu inna niż wam droga,
Bo ja mam krwawy zapozew do Boga.
Tak mówiąc, w serce jakby mieczem ranny,
Od śmiejącej się odszedłem fontanny.
A wiatr z prędkiemi lecąc za mną echy,
Przynosił długo płacz, róże i śmiechy.

Lecz to na długą powieść się zabiera;
A człowiek grzeszny częstokroć umiera
I małej bajki życia nie zakończy.
A nad nim wszyscy w śmiech! — a wstyd mospanie!
A cóż robiłeś ty na życia łanie?
A rzadko jaki tam anioł obrończy,

Stłumi obmowy gadające licho,
Mówiąc: on w grobie śpi — gadajcie cicho!
Więc o to chodzić każdemu powinno,
Ażeby «finis» był w jego żywocie;
Jak jedną powieść skończy, zacznie inną,
Gdzieś tam na tęczach w promienistym złocie,
Gdzie już nie pójdzie nic chęciom opacznie.
Kiedyż się moja taka powieść zacznie?
Jużem grób sobie jak ziarnu wyorał —
Ale bierz djabli grób, ciało i morał!
Do rzeczy panie! Na końcu księżyca
Stoi piekielna jakaś szubienica,
I biednych ludzi po śmierci przestrasza,
Kołysząc trupem brzęczącym Judasza.
Za szubienicą zaś tą o pół ćwierci
Mili niebieskiej, stoi brama śmierci.
Nie dla tych ludzi co szli wedle cnoty,
Ale dla krwawej piekielnej hołoty.
A na tej bramie są różne napisy! —
Na szabli mojej, jak żebrak na kiju,
Przed piekłem mój łeb uchyliłem łysy
I czytam — tutaj: sacre nom de Diu,
Ognistą szablą jakąś grenadjera
Wyrysowane, stoi w diamencie.
Tu inne jakieś straszniejsze przeklęcie
Carrajo! Goddam! Do stu —! et cetera.
I różne takie, mój panie, rysunki
Nosi na sobie ta piekielna wieża,
Żem się pokornie udał do szkaplerza,
I odmawiałem pobożnie korunki.
A dreszcz mię przebiegł i przejęła skrucha
Widząc jak za tą wieżą ogień bucha.
A tutaj do mnie z bramy jakiś człeczek
Krzyknął: szlachcicu! — Jam zaś, nie chcąc sprzeczek
Z djablami, udał, żem ślepy i głuchy,
I litanije trzepię pełen skruchy,
A patrzę zezem — a ten nieboraczek
Z ognia wydobył nos krzywy jak haczek,

I kichnął skrami i łzy miał na licu;
I znów mię prosi: mój panie szlachcicu!
Jeżeli twoja łaska, albo czyja,
Niech zmówi za mnie sto ave maria;
Jam cenzorował książki i obraski —
A teraz w piekle; zowię się Sz.n..ski —
A djabeł tutaj mię postawił na to,
Abym nie wpuszczał myśli; a pod stratą
Duszy moskiewskiej uczynić to muszę,
Bo choć ją djabeł rwie, mam jeszcze duszę!
A to! krzyknąłem, rzecz niesprawiedliwa
Cenzory w piekle palić jak łuczywa!
A przyznam ci się, żem nie wiedział prawie,
Kogo ja z piekła do nieba wyprawię.
Już się za szkaplerz biorę nieświadomy —
Aż tu w korunkę dwa czerwone gromy!
Aż tutaj szkaplerz i szlachcic się pali.
Uciekam — widzę rzekę — buch! do fali!
Wpadłem, myślałem że już na dnie leżę;
Lecz te główeczki dziatek jak pęcherze
Płyną po wodzie, i mnie starca niosą.
O wy! z twarzyczką białą, złotowłosą!
O wy dzieciątka moje! z twarzą młodą,
Jak wy nosili mię nad piekła wodą!
Jak wy dźwigali mię śród tego wrątka —
O! łabędzie wy moje! o dzieciątka!
Próżno mię jakiś chciał wyrwać z powodzi,
I do swej czarnej zapraszał mię łodzi —
Człowiek co wożąc mgły, zarabia chleba.
Odpowiedziałem: łodzi mi nie trzeba,
Bo mię tu niosą synaczkowie moi;
Wody nie trzeba — bo mię łza napoi,
Ani rozmowy — bo trupki te bawią,
Ani modlitwy — bo mię one zbawią,
A zaś przed Bogiem nie trzeba wymowy,
Bo za mnie będą mówiły te głowy.
A wszystkie trupy co na łodzi stały,
Na moją głowę pokazując sobie,

Pytały: czy to jaki łabędź biały,
Co smutnie śpiewa gdy ma zasnąć w grobie?
Bom się unosił śpiewając żałośnie,
Po czarnej wodzie co z łez ludzkich rośnie.

Nie patrz ty na mnie, gdy ja w smutek wpadam,
Bo wtenczas nie wiem co się ze mną robi —
I cały we łzach utonąwszy, gadam.
Lecz gdy mię starca wesołość ozdobi,
Wtenczas mi śmiało możesz patrzeć w oczy.
Śmiejmy się! ej ha! aż serce podskoczy!
Śmiejmy się jako woda zwierciadlana!
Śmiejmy się! pozwól że zajrzę do dzbana —
Hej tak! otarłszy pot na siwej skroni,
Spuściłem pałasz, niech po piekle dzwoni.
Człowiek poczciwy to nie tajemnica,
Po całym piekle niech słyszą szlachcica.
Twarz polska nie ma obłudnej skorupy,
Niechaj w nią patrzą jak w zwierciadło, trupy —
Kto ma z płomieni posłanie i trunę,
A w grobie mi się z oblicza podoba,
Za tego westchnę — a kto nie, to plunę.
Albowiem szlachcic żywy — to osoba —
A król umarły jest to rzecz nicości,
Troszkę robaków — tfu! i trochę kości.

Lecz wprzód opiszę jaką tam strukturą
Stoi ta wieża zwana trupów górą —
Czarna po wierzchu, czerwone ma wnętrze,
O siedmiorakim zbudowana piętrze;
Różne języki w niej mówią i płaczą,
A wchodzisz na nią drożynką ślimaczą.
A czasem ciemno tak, choć wykol oczy;
A tam grom wytnie, a tam wąż wyskoczy,
A tam lew ryknie, a tam żmije pisną;
Czasem jak wilcy, trupy okiem łysną.
Śród takich strachów, śród takiego dziwa,
Szedłem Dantyszek, Piast, herbu Leliwa.

A każdy mi trup mówił: dobra droga!
Wiedząc że idę ze skargą do Boga;
I niosę cztery główki mego rodu,
Jak pokrwawionych gołąbków dwie pary —
I mam w kieszeni manifest narodu,
Abym przeczytał go przez okulary
Przed panem Bogiem; i dowiódł rozprawą
Ze szlachcic, kiedy zabija, ma prawo.
Że mu przystojnie gdy przed Bogiem stanie
Ze krwią na szabli, ze skargą na zębie.
Bo cóż — był biały. — Ale to mój panie
Jak okrwawione po nocy gołębie,
Kiedy na pole walki pić przylecą;
Nie wiedzą same co piły? czem świecą?
Tak i my biedni, ludzie nieobłudni,
Cożeśmy winni, że krew w naszej studni?
Cożeśmy winni że krwią czara tłusta
I krwawe oczy i czerwone usta?
To może nawet nam i serca bolą
Jeść ciągłą zemstę z łez żałosnych solą!
Ale cóż robić? tak nam być na wieki
Ludziom, bez Boga litosnej opieki —
Tak — aż się kiedyś tam szala nachyli.
Choćbyśmy do dnia sądnego krew pili,
Bądźmy jak męże co walczą i mszczą się;
A choćby tyle w nas życia jak w kłosie,
Co rośnie pośród gdzieś przejezdnej drogi —
Zdeptani, stokroć wstaniemy na nogi!

Tu cię na wstępie powieści przerażę —
Wieża piekielna oparta na Carze,
Na jednym trupie, jak na zgniłym palu,
Cała się trzęsie wisząc na moskalu.
A nie dziw się ty sile trupiej belki,
Bo to w osobie piekielnej — Piotr Wielki.
Siedzi pod wieżą, a na niego z cebra,
Jakieś straszydło okropne, puchacze,
Wylewa ciepłą krew ludu i płacze —

I oczerwienia mu łeb, piersi, żebra.
Przed tym straszydłem, co siedzi czerwone,
Myślałem z trwogą że we krwi utonę.
Co robić? krwawa podemną kałuża,
Nademną smutnie krew ludzka szeleści;
Straszydło siedzi i oczów nie zmruża,
A oczy jego czerwone jak róża.
A tyle w nich krwi, że łza się nie zmieści.
A rzecz straszniejsza! każdy trup włóczęga,
Carowi temu na wierność przysięga! —
We krwi się topią mary niedołężne;
Ogień zapalił im palce przysiężne,
Tak, że każdego kościo-trupa wdzięki
Widać przy ogniu palącej się ręki —
Palą się, klęcząc. — A tu nowe dziwo!
Krew do mnie woła po polsku: Leliwo!
Jam jest krwią ludzi umarłych bez plamy!
Jam jest żałosną i męczeńską jestem!
O przekop ty mi twoją szablą tamy,
A ja popłynę z płaczem i z szelestem,
I całe piekło mszcząca się zatopię! —
Rzekła: ja zaraz do szabli i kopię.
I krew się cała z kałuży wywala,
Skarży się, płacze i szumi jak fala;
Zagasza trupom płonące ramiona.
Cała dolina we krwi już czerwona —
Wszystko się topi jak w sądu godzinę!
Ja sam co rów ten wykopałem, płynę —
Już po pas we krwi, już czerwona szyja,
Już wąsy — Jezu! krzyknąłem, Maria!
Piekło się wali! — a dajże go biesu!
Co jeden szlachcic narobił tertesu?
Piekło zalane krwawą falą — ginie,
Szatani toną — pan Dantyszek płynie.
Powietrza nabrał sobie w twarz pyzatą,
Urąga z głupiej fortuny jak Kato.
Łysina błyszczy ludziom potępionym,
Jak biały księżyc na morzu czerwonem.

Szabla rdzewieje. — Niech ją biorą djabli!
Polak w kołysce i w trumnie przy szabli.
Wreszcie znudziło mi się tak żeglować —
I pomyślawszy, zawołałem: Chryste!
W imię Twe święte racz ty mię zachować.
I wnet uchwycił mię ktoś jak w ogniste
Skrzydła, i wyniósł w nieskończoność ciemną,
I przez powietrze mgliste leciał ze mną.

Skorom wyleciał nad czerwone brody,
Zacząłem wołać: wody! wody! wody!
Czarny cherubin, co mię w skrzydłach nosił,
Skoro posłyszał żem pokornie prosił,
Postawił ciało me grzeszne na skale,
I ulitował się mnie, i wspaniale
Oko swe własne z nad dzioba wyłupił,
I dał mi z oka pić — a jam się upił.

Polak prawdziwy kiedy się upije,
Wspomni ojczyznę i płaczem zawyje;
Potem jak ludzie w zmysłach nieprzytomni,
Śmieje się głośno gdy o niej zapomni.
Tak ja mój panie! to śmiech, to łzy żywe,
Lałem na moje długie wąsy siwe.
I cóż! gdy miła ojczyzna nie żyje,
Kto starca może obwiniać że pije?
Hej, nieście dzbany, i stawiajcie w koło!
Niech pomagają umierać wesoło!
Niech pomagają tysiącami dźwięków,
Nie słyszeć kajdan i płaczu, i jęków!
Niechaj na kwiaty obalają śliczne,
I pod lipami do snów cichych tulą! —
Na cóż nam serca chować balsamiczne?
Cóż po tem? że łby siwe się rozczulą
I znów na piersi zasklepioną ranę,
Jak łby łabędzie spadną zadumane?
Co zrobią myśli pod czaską ogromną?
Przypominając — co sobie przypomną?
Nic. — Wszędzie nędza, smutek i zgryzota!

Ojczyzna — kawał skrwawionego błota!
Polak — wygnaniec, męczennik, sierota!
To pić i szukać zapomnienia w dzbanie,
A zbudzić serce, gdy kraj zmartwychwstanie.
Upił się starzec — a tu właśnie sina
Zachodzi jemu drogę Katarzyna.
Spojrzałem na nią! o krwawa! o sroga!
Trupy! skrzydełka! nieście mię przed Boga!
Spojrzałem na nią i w źrenicę cisnę,
I powiekami mogiłę zawarłem —
I będę milczał, aż ją krwawem garłem,
I krwawem okiem, przed Bogiem wybłysnę;
Aż ze mściwego serca wyrzucona,
Przed Panem Bogiem upadnie i skona.
Trupki! skrzydłami wy bądźcie pośpiechu —
O! wy nie śpieszne już! o! wy leniwe!
Główki! ptaszęta wy moje nieżywe!
Ja się wam każę nieść przez kraje grzechu,
A wy płaczecie, i wasz głosek niemy
Mówi mi: Ojcze! my już w grobie śpiemy!
Dobrze! nie będę was płakać, o dziatki!
Ani jak ojce, ani tak jak matki;
Lecz jak jaskółka jaka nieszczęśliwa,
Co puste gniazdo skrzydłami nakrywa;
I o swych dzieciach jak o żywych roi,
I pod skrzydła się własne zajrzeć boi.

Ciało Carycy zgniłe, starożytne,
W sercu ma węże, jak miecze błękitne,
Za sobą skrzydła też wężowe wlecze,
A z czarnych piersi, krew jak koral ciecze.
Na grynszpanowej krwi te węże tyją,
I nad umarłą niewiastą się wiją;
A twarze mają blade martwych ludzi,
A usta im krew zastygniona brudzi —
A z bladych twarzy wznoszą się do góry:
Płomienne, z ognia piekielnego sznury.
Także ujrzałem i dziś jeszcze widzę,

Na siedmiu wężów splątanej łodydze,
Jakby ten świecznik tyleż liczył prawic,
Widzę głów siedem trupich i błyskawic.
Świecznikiem była. Tu nagle, o zgroza!
Jeden wąż nad nią nagiął się jak łoza —
I zdjąwszy z siebie człowieka oblicze,
W usta jej czarne, krwawe, tajemnicze,
Wszedł i do serca aż może przeniknął,
Bo potem wyjął głowę i krwią syknął —
A senność jakaś padła na umarłą,
Poziewające otworzyła garło. —
Patrzałem trwożny co się dalej stanie,
A z niej ogniste wyszło poziewanie!
I w gadzinę szło jakby płomień siny;
A drugi płomień w trupa, szedł z gadziny.
A tu już wstrzymać nie mogłem szablicy!
Jak tnę w nadęty żywot czarownicy,
Cały otworzył się jak czarna grota:
Wyszedł dym, płomień i węże z żywota.
Węże — i na mnie lecą czarnym kłębem,
Próżno je szablą tnę, zgrzytając zębem,
Próżno, z gadziny rodem nie ma rady —
Ten kłębek w setne rozsypał się gady.
Lecą i myślą że szlachcica zniszczą —
Lecą i skrami sykają i świszczą.
Uciekam, a wąż tuż, tuż za mną ściga.
Odcinam się im, kręcę się jak fryga;
Wreszcie do głowy po ostatnią radę —
Chwytam dzieciątko jedno moje blade,
Rzucam je, więcej sam niż trup wybladły! —
Na głowę dziecka wszystkie gady wpadły,
I okręciły ją wiankiem i zjadły. —

Tam węże jedzą głowę, a tam krzyki!
A tu mię liżą płomienne języki —
A tu duch jakiś okropny, ponury,
Ze złotą tacą, w chałacie z purpury,
Idzie i usty ognistemi piecze

Na złotej tacy — co? — serce człowiecze! —
Spojrzał nocnego na mnie okiem ptaka.
I rzekł mi: patrzaj; to serce Polaka.
Kłamiesz! krzyknąłem, straszydło szkaradne!
Bo w nas się serce tak nie trzęsie żadne,
A choćbyś rozdarł mi szponami ciało
I wyjął moje, aniby zadrżało! —
A ta rzecz drżąca i zgniła, i szara,
To musi serce być jakiegoś Cara —
To serce, co jak wąż z tacy umyka,
Musi być z Cara, albo z niewolnika,
Bo drży wyjęte z piersi — bo się boi. —
A duch: Co ci się mój szlachcicu roi?
To serce przyniósł tutaj pies szatański,
I szczęknął do mnie że to Erywański;
A ja upiekłem je dla Lucyfera.
Tak mówiąc usta na nowo otwiera,
I na te serce ogniem z gardła dmucha.
Serce się kurczy pod ustami ducha,
Więdnie, i krwią się rozlewa po misie;
A kiedy szatan jaśniej dmuchnie — skrzy się.

Poszedł. A szlachcic poleciwszy Panu,
Serce Polaka co nie dźwięk liczmanu,
Ale dotknięte od fortuny młota,
Wydaje smętny brzęk szczerego złota —
To serce Panu oddawszy w pokorze,
Wyszedł jak okręt, na nieszczęsnych morze.
I wyżeglował w jakieś kraje smętne,
Gdzie było niebo krwią narodów mętne —
I krwawa tęcza była na ciemnicy,
Jak wstęga z cichej krwi i błyskawicy,
A całe niebo zielone jak z miedzi —
A pod tą bramą czerwoną trup siedzi.
Złożyłem ręce na piersiach pobożne:
Koło martwego przechodzę ostrożnie,
Abym nie trącił o rzecz taką cichą,
Siedzącą martwie pod krwiami narodów —.

Idę — i moją nie dźwięczę szablicha,
Myśląc że to jest jaki trup Herodów,
Któremu tu jest wieczności początek
I wieczna skrucha, za rzeź niewiniątek.
Aż tu ktoś do mnie z ciemnego powietrza:
Pluń w twarz, zawołał, tej bezwstydnej marze,
Która jak szakal tu krew trupią zwietrza.
Stanąłem: myśląc że Boga obrażę,
Że mię tu szatan w swoje sidła łowi,
Każąc mi w ciche lice plwać trupowi.
A gdym z sumieniem zadał się do sporów,
Głos znowu krzyknął: plwaj! bo to Suworów!
Ha! ha! krzyknąłem — szlachcicu! moskalu!
Więc i ty teraz po krwi naszej w żalu?
Siedzisz jak żeglarz na rozbitej łodzi,
A krew po oczach przeklęknionych chodzi?
I nigdy na nie nie spada powieka;
A czasem tylko mgnienie krwi powleka
Sine szkło, w czaszce oprawione trupiej!
A czasem się wzrok cały w tęczę wsłupi —
A wtenczas jako liść na drzewie chory,
Źrenica twoja ma różne kolory;
I różne blaski i haniebne cienie
Miota, o rzezi mówiące sumienie.
Czy słyszysz jeszcze pod okropną tęczą
Jak matki krzyczą? jak dzieciątka jęczą?
Jak wyrzynana Praga wre i płacze! —
Maro! na ciebie żaden wąż nie skacze,
Żadna przy tobie nie szeleści dusza;
Lecz piekło trupów się pod tobą rusza! —
A tęcza jak bicz na ciebie okrutny,
Bo siedzisz blady, drżysz i jesteś smutny.
To nieszczęśliwym nam znośniej w ciemnicach,
Z łańcuchem u nóg, ze łzami na licach;
Mniej obrzydliwe, gdy z więzienia nory
Wychodzą blade szpiegowskie potwory,
I stają nakształt ciemnego anioła,
Słuchać co we śnie mówią blade czoła

To stokroć lepiej w krwawą upaść rzekę,
Oddawszy duszę swą Panu w opiekę;
I świat utracić jak rzecz jaką podłą —
A potem, gdzieś tam, pod smętarza jodłą
Leżeć spokojnie i z umarłych pychą
Słuchać, jak sławny hymn śpiewają cicho:
I przerywają sobie często łzami,
Żywi, śpiewając nad zmarłych trumnami.

Hej! hej! piekielna rozszerza się góra,
Im dalej idę, tem bardziej ponura,
A tu jakiś trup, niby wierzba sucha:
Ogniem jest jasnym po głowę od brzucha,
A jeszcze Panie! uda ma zupełne —
Wnętrze: oleju, krwi, żył, ognia pełne.
Tak opuszczona chrzcielnica kościelna,
Gdzie była niegdyś woda nieśmiertelna,
Kiedy ją ludzie opuszczą, pleśnieje;
Wąż ją wypełni, i mech przyodzieje.
Tak i w żywocie tym trupim, już gady,
Płomień i błędnych iskierek gromady,
A nad tym wszystkim spleśniała skorupa:
A ciągle nowy grzmot walił w pół trupa.
I taki był blask, że szlachcic Leliwa,
Myślał: tam Bóg się za światłem ukrywa.
Z taką nadzieją, człowiek nie ze słomy,
Krzyżem się świętym opatrzył — i w gromy!
Skry go opadły, a piorun potrąca —
Nie dotknąć szabli, jak ogień gorąca.
Duszeczki z twarzą niż lilijki bladszą
Na starca z ognia piekielnego patrzą,
Proszą biedaczki o Ave Maria —
Szlachcic się żegna, modli się i mija,
Męki się biednych duszeczek użalił,
I szedł, i w ogniu Pana Boga chwalił.

Przeszedłem gromy i ognistą chmurę —
Idę, a oczy zanoszę na górę —
A tu na złotym niby słońca denku

Krzyż. — A! szlachcicu Piascie! pomaleńku!
Do krzyża Waćpan przystępuj z pokorą,
A niech obłudne ludzie djabły biorą!
Lecz krzyż choć w piekle siedzi przez trafunek,
Niechaj u siwej głowy ma szacunek.
Wtem patrzę napis haniebny, o trwoga!
«Na krzyżu nigdy tym nie było Boga»
Cóż to! krzyknąłem, więc to jakaś stara
Szatańska sztuka! krzyża trup i mara!
A to co? Jakieś pobożne trupiątko,
Złożone rączki trzyma jak dzieciątko;
W grobowcu świeżo wykopanym klęczy,
Podnosi ręce, skarży się i jęczy.
A ma na głowie koron potrojenie;
W koronach z ognia żywego kamienie,
Twarzyczkę suchą co się wiecznie łzawi.
A tu — niech mię Bóg jeśli może zbawi,
A człowiek jeśli chce niech nie dowierza,
Ale ja powiem żem widział — Papieża!
Tu mi się wszystko pomięszało w oczach;
Chwytam na złotych wiszącą warkoczach
Główeczkę syna i rzucam na marę —
A trupek złotą mu strącił tiarę,
A tak uczynił pokutnika z króla.
A ja krzyczałem: Papieżu! a bulla?
Tu starzec zawył z przeraźliwą hryją:
Krzyżu! trupami na mnie, wołał, biją!
A ja na jego płaczu kirielle
Rzekłem: a co ty robiłeś w kościele?
Takżeby Chrystus dziatki w krwawych rosach
Trzymał na łonie i głaskał po włosach?
Bo my dziatkami prawie niewinnemi,
Kładli się we krwi na ojczystej ziemi.
A ty? o stary, czyś wyciągnął dłonie
Ku tej ojczyznie, która we krwi tonie?
Czyś ty się za nią pomodlił przed Bogiem?
Widzianoż ciebie przed ołtarzów progiem,
Żeś sypał popiół na twe włosy siwe?

Trupami cię przywalę! znaj Leliwę!
A w niebie skargę na ciebie zaniosę,
Pannie Marii królestwa patronce;
I całą tęczę aniołów roztrącę,
I przejdę całą gwiazd różowych rosę,
I na księżycu jej białym uklęknę;
I tak ją łzami skruszę — krwią przelękne,
Że wreszcie z niebios błękitnych wyprawi
Anioła, co nas pocieszy i zbawi.
A ciebie, coś tył pacierzem i czaszą
Złożyć by w ten grób! i krwią zalać naszą! —
Na to staruszek: wcale nie potrzeba,
Rzekł mi, po zemstę chodzić aż do nieba —
Obacz! jak mię ten krzyż za szyję ściska.
Tak mówiąc starzec wyszedł z grobowiska,
I Chrystusowe szedł lizać znamiona.
A krzyż go w czarne uchwycił ramiona.
Podniósł za szyję, wstrząsnął i uścisnął;
Aż trup swojemi źrenicami błysnął;
Z szyi się własnej rwie jakby z powroza —
Krzyż zadrżał — ciało upadło. O zgroza!
Urwany się trup w mogile położył,
A krzyż żałobne ramiona otworzył.
Głowa człowieka, wzrok miotając sowi,
Wypadła z ramion ciemnemu krzyżowi.
Biegła, aż ciało w krwi jasnej znalazła,
I sycząc jak wąż do mogiły wlazła.

O! jakże trudno z tych ciemnych padołów
Grzeszną podlecieć myślą do aniołów?
Lecz kto w opiekę się da panu swemu,
Ten nie ulegnie przestrachowi złemu:
Ani mu zadrżą nawet wtenczas wargi,
Kiedy żałosne rozwodząca skargi
Dusza, na wieczność odchodzi z żywota,
Gasnąc jak jaka piękna lampa złota.
A chyba boleść przejdzie serce do dna,
Myśląc, że ziemia go nie była godna.

Że wędrownikiem na polu szerokiem,
Odchodząc, płakać nawet nie ma po kim.
A kiedy strumień lat przeminął lotny,
Został na świecie jak bocian samotny;
A żaden z druhów we śnie, ni na jawie,
Nie przyjdzie usiąść na gościnnej ławie.
Tylko gołębi znajomych za młodu,
Dziatki zlatują pod lipę do chłodu
I po murawach sobie chodzą dumne,
Jakby do starca mówiąc: precz ty w trumnę.
To tak nie wiedzieć co nam starym czynić?
Kwiaty się zdają nasze oczy winić,
I na to listki tęczowe wyciągać,
By szklannym oczom starości urągać.
To więc nam w płomień piekła patrzeć smutnie,
Gdy inni grają w piszczałki i w lutnie.
To więc o rzeczach strasznych rozpowiadać,
I nad rzekami utrapienia siadać,
Słuchając jak te potępione wody,
W przepaść nieszczęścia unoszą narody.

Gdzież to ja byłem? Ha! w piekielnym lesie,
Gdzie nieraz wicher nieszczęścia poniesie
Dusze szlachetne i po ziemi szarga,
Jak zwiędłe liście w których szumi skarga.
A ciemny był las, smutny i głęboki!
A drzew gałęzie powite jak smoki:
Na jednych wisi czarny liść i krwawy,
Te otworzyły wielki pień dziurawy
I siedzą z dumną starości powagą.
Dobyłem szabli, a ujrzawszy nagą,
Taki mię smutek zdjął i tak szalony
Żem zaczął rąbać las na wszystkie strony.
Aż tu krew tryska, oczy mi zalewa,
Krwią wybuchają, jęczą wszystkie drzewa! —
Próżno ubieram pierś w najświętszą Trójcę!
Krwią leją — krzyczą: stój, my samobójce!
O przestań rąbać! o ty bez litości!

Człowieku! czemu ty nam łamiesz kości? —
Któż wy jesteście spytałem, o dusze?
A jeden do mnie: Nie krusz mi gałęzi!
Bo ja w tym dębie pokutować muszę,
Żem duszę moją chciał wyrwać z uwięzi,
I otworzyłem jej drogę ołowiem.
Słuchaj mię stary, to ja ci opowiem,
Jak ruska ręka twarz splamiła jasną,
A jam się umył krwią na twarzy własną.
Nie chcę was słuchać, krzyknąłem, na Boga!
Że wami hańba miotała i trwoga,
To wyście w sobie zacierali święty
Chrystusa Pana wizerunek! Krwawi!
Przeklęci bądźcie! i las wasz przeklęty! —
Nie zabijali się Polacy prawi!
Ani przed dumną Kościuszki mogiłą,
O takiej rzeczy kiedy słychać było! —
A teraz przyszło nam jak na ostatki,
Że się na trupach samobójczych matki
Kładną i rany ich haniebne liczą,
I w dziurę czaszek pożegnania krzyczą! - -
A dusza idąc tam, gdzie droga pusta
Na wyjściu ich łzy znajduje i usta,
I oczy matki otwarte na straży —
I znów do czaszki wraca przerażona.
Nie zabijali się Polacy starzy!
Drugi raz Chrystus w was i Polska kona! —
A to więc hańba w nieświęconej ziemi,
Chować się wcześnie pod kwiatki złotemi,
Których to runem lekko wiosna rusza:
Gdy w innych ciałach cierpi polska dusza?
O czarni! hańby ojczystej niepomni!
Bądźcie wy teraz pokorni i skromni
Pod kamieniami rozstajnemi świata;
Tam łzy — a tu was szlachcic szablą płata,
Choćby go wasza krew zalała z głową.
Tak mówiąc idę i rąbię na nowo —
A szabla moja smutnie w drzewach brzęczy,

A las oblewa mię krwią — a las jęczy;
I woła za mną i na drzew wyłamy
Wychodzą białe księżycowe plamy —
To smutnych duszę co z twarzą księżyca,
Przez krew patrzały w piekle na szlachcica.
Idę, a czarna krew z tych dębów syka —
Idę, podobny z twarzy do krwawnika,
Idę, i niosę niestrwożone lice —
A wtem się chować zaczęły księżyce,
Dusze się trwożne zamykały w korze;
Las cały, Panie, w czerwonym kolorze
Błysnął okropnie ciemno i ogniście,
I wypadały płomienie przez liście.
Z trwogi się ręką przeżegnałem lewą,
I pochowałem się grzeszny na drzewo.
Patrzę, a tutaj konnych ludzi kupa,
Galopem ściga książęcego trupa.
A niech mię święty mój Dantyszek broni!
Ci ludzie byli pół człeka, pół koni.
O biedny księże! o jaka mizerja!
Wężowe chwosty miała kawalerja,
Z ognia przyłbice, akselbanty z węży —
Takich musztrować, o jakże to cięży!
I nie słuchają komendy i lecą
I kopytami ognistemi świecą. —
Próżno się książe drzew płaczących chwyta;
Na łeb mu skrawe rzucają kopyta,
Na blade czoło, na lenty ze srebra:
Aż trupia postać przed burzą uklękła —
A jam usłyszał jak trzasnęły żebra,
Jak czaszka jego zgrzytnęła i pękła.
I dalej leciał ów hufiec kałmucki
I na las runął gdyby morskie wały;
I rozpłakał się las po za nim cały,
I rozjęczał się las — a jęk był ludzki.

Wybiegłem wtenczas blady z po za drzewa
Coś zgniecionego jęczy i poziewa;

Przychodzę — płótnem nakryte trupisko.
Oddzieram płótno, ciało się oddziera.
Zmartwiałem cały na te widowisko;
Z pod płachty, czaszka odarta wyziera,
Już nie oczyma, o święte Anioły!
Ale czarnemi patrzy na mnie doły.
I nagle się tak poskarżyła smutnie!
O! czemu ty mię dręczysz starcze Boży?
I czemu ty mi twarz zrywasz na płótnie?
Tak mówi ta kość i serce mi trwoży,
I do litości ku niemu skłoniła:
Więc rzekłem: czaszko! bogdajbyś ty była
Wprzód powiedziała, czym jest przyklejone
Na twoich kościach te płótno czerwone —
A jabym wtenczas Waszej Księcej Mości
Zostawił jego płaski nos na kości.
A teraz więcej już rany nie ruszę,
Bo czasem miałeś ty litość i duszę;
A czasem nawet, czerwony Herodzie,
Uszanowałeś Chrystusa w narodzie.
A nim ci błyska Polski szabla goła,
To przed nieszczęściem uchylałeś czoła.
Więc bądź spokojny! ja zemsty nie biorę,
I oddam drewnu twojemu tę korę.
A nawet jeszcze przed tych konnych przyjściem,
Ciało przysypię samobójczym liściem;
I zaśniesz jako ludzie w krew ubrani,
I nie wynajdą cię pod krwią szatani.
Tak powiedziawszy nałamałem w boru,
Rzeczy płaczącej, krwawego koloru.
I książęcego przysypałem trupa.
Zastygła na nim posoki skorupa;
A gdy wstąpiłem, cały drżący trwogą,
Na nią, to nawet nie jękła pod nogą.

I patrz na jakiej ja mogile sterczę,
Jak krzyż wsadzony na ciało mordercze?
I wodzę okiem po nieszczęścia światach;

Smutny jak bocian stojący na czatach.
A ty mię widząc tam w ciemnicy piekła,
Pytasz gdzie moja wesołość uciekła?
Na tym czerwonym grobie i liścianym,
Na tym ohydnym, we krwi pochowanym;
Wietrząc arabskich prawie nozdrzem koni,
Skąd przyjdzie wicher Chrystusowej woni?
Z której się strony w samobójczym lesie
Błękitny księżyc zbawienia podniesie —
Skąd mi samotna twarz Bogarodzicy
Błyśnie łabędzią bielą w błyskawicy —
Skąd mi nadzieja słoneczna zaświta? —
Stoję — a któż mię o wesołość spyta?
To więc szaleni co się zawsze śmieją,
I każdą rozpacz farbują nadzieją?
Wesołość była ozdobą Polaków. —
Lecz już podcięto skrzydła złote ptaków.
To już nie lecą gwiazdom patrzeć w oczy;
A dumne serca teraz robak toczy;
I twarz schylona lepiej dziś przystoi,
Niż stal na piersi i skrzydła na zbroi.
Bo nie polecą już rycerze nasi,
Jak ptak co myśli że krwią słońce zgasi;
Ale gdy wyjdą na walkę ich stada
Ziemia się mogił pod końmi zapada —
Lub zdrajcę — Co tam! — Dolej mi węgrzyna!
Piję za zdrowie zdrajcy — mego syna —
A kiedy teraz w tym ostatnim łyku,
Czuję truciznę gorzką na języku,
Uczynię sobie może usta słodsze.
Mówiąc o zdrajcy tym i o tym łotrze.

Stałem na grobie Wielkiego Książęcia,
Śród drzew co krwią mi oddawały cięcia;
A oto jakiś wóz przez lasy rusza:
Powozi djabeł, czy stracona dusza.
W ręku ma lejce z płomieni czerwone,
A wóz prowadzą dwa węże zielone.

Patrzę na gady, widok wcale nowy,
Jak ogonami popychają głowy.
Krzyczę na djabła. Hej! hej! ta kareta
Czy do najęcia? A na mnie woźnica,
Obróciwszy się jako błyskawica:
To powóz, mówi, jest króla Makbeta.
Nie wiesz kto jest ten król co ma żmije?
Ja o nim pierwszy raz słyszę jak żyję. —
Więc w niewinności chrześciańskiej duszy
Rzekłem do djabła: mój panie koniuszy
Podwieź mię proszę dwie piekielne mile,
Jeżeli ty chcesz i chcą krokodyle.
A djabeł do mnie — uważ jaka zdrada!
Djabeł powiedział mi: niechaj pan siada.
Siadam: i dalej po zakrętach góry.
Galopowały zielone jaszczury.
To po kamieniach, to się we krwi ślizga,
To ognistemi wóz falami bryzga.
A ja choć czujny jak zając na zdradę,
Haniebny zwyczaj mam chrapać gdy jadę.
Więc senna głowa na pierś mi opadła,
I śpię — i dusza ze mnie się wykradła,
I poleciała sobie w lata młode
Pod jakieś wierzby, co płaczą na wodę,
Nad jakieś wody co się całe śmieją,
Gdy róże księżyc poranny zaleją.
Widzę małego Dantyszka psotnika,
Jak tam gołębia wypuszcza wabika;
A ptak powraca drugim lasu brzegiem.
I obsypuje mię gołębi śniegiem.
A choć to kradzież, to jako anieli
Myłem się w ptaszków pokradzionych bieli;
I różany się chłopczyk, śmiałem ładnie,
Jak ten co narcys aniołom ukradnie;
Senny, gołębic owiany szelestem —
Budzę się — Jezus, Mario! gdzież jestem?
Cwałują węże w ognistej hołobli,
Po błotnem polu, po okropnej grobli.

Jako kamienie obmyte na rosie,
Po obu stronach trupie głowy skrzą się;
Rzecz godna dziwu, że z twarzycą krwawą
Był trup na lewo, a biały na prawo.
I tak w kałużach smętnych utopieni,
Trupowie biali, trupowie czerwieni;
Wszystko się kręci w oczach i przestrasza.
Już chcę wyskoczyć, chwytam się pałasza:
A mój przewodnik: jakie masz rachuby,
Spytał, śród sejmu grząść? czy między kluby?
Jezu! krzyknąłem: więc tu ich jak liści?
A to posłowie są? a to — klubiści?
A za cóż ty ich Boże tak potopił? —
Nic nie rzekł djabeł, ale węże skropił,
Lecą i świszczą — drży grobla w piszczeli.
Patrzę przed siebie — O święci anieli!
Ogień piekielny przedemną, już piecze,
W ogień mię wieczny ten haniebnik wlecze;
Pędzi — chcę krzyczeć — wąs mi biały swędzi —
Chcę krzyczeć — głos mi zastyga — on pędzi
I urąga się ze mnie winowajca:
Patrzę. — O! Boże mój! — To syn mój zdrajca.
Już w płomieniste ubrany obłoki,
Patrzy się na mnie, syn mój jednooki —
Okropnie hańbą splamiony na twarzy!
Śmieje się głośno że mnie w ogniu zwarzy,
Że resztę włosa, co miał kolor stali,
Na mojej głowie pobielił i spali.
Śmieje się, leci w przeraźliwym pędzie.
O nie! — krzyknąłem zdrajco! tak nie będzie.
I wydobywszy złotego szkaplerza
Wiążę mu szyję, piorun krwi uderza,
Pali, wyrzuca ognistemi ziarny;
Wyszły: wzrok biały na wierzch, język czarny,
Z oczu się jedna wytoczyła śloza
Wielka — i umarł. — Wyskoczyłem z woza
Już rozpalony jak gancarskie cegły;
A węże z sinym trupem w żar pobiegły.

Przepadaj zdrajco ty, ohydny gadzie!
Owco ty, w białym zarażona stadzie! —
Ty, coś mię zabił dwa razy ohydą!
Ty, drżąca dotąd w mojem sercu dzido! —
Przekleństwo moje jak piorun nie mignie,
Ale na ustach mi martwych zastygnie.
A gdybyś w grobie twarz moją obaczył,
Zlękniesz się, widząc żem ja nie przebaczył;
I śpię, i groźne otwarłem powieki
W grobie gdzie tylu śpi cicho, na wieki. —
Lecz ja sen mogił na przekleństwach spędzę.
Z duszy uczynię krwawą zemsty jędzę,
I biegnąc — biegnąc za tobą jak mara,
Znajdę cię wężu, choć na piersiach Cara!
Dawniej, gdy były na honorze szczerby,
Albo ród gasnął — to łamano herby:
To może jakiś trupi rycerz konny,
Wleci do gromnic przez jałowiec wonny,
I na trumnie mi skruszy tarczę dumną.
I w ziemię razem zapadnie się z trumną.
Bo kiedy zdrajce honor rodu splamią,
Nie ma imienia już — herby się łamią.

Sinego trupa, lecąc jak szalone.
W żar zatargały jaszczurki zielone;
I zniknął — tylko coś — trzaskanie kości,
Jak płacz wilgotnej na ogniu parości.
Słyszałem, blady, śród płomieni jęku. —
Patrz! — Jam go niegdyś piastował na ręku!
I całowałem go w oczka ogniste;
Ja całowałem go niegdyś?! O Chryste!
Jakże od przekleństw do litości blisko!
Zapatrzyłem się smętny w te ognisko,
I było już na ustach: powróć synu!
Obmyj się ty krwią szlachetnego czynu,
Wymyj tę plamę jaką łzą czerwoną.
I nie grzesz więcej i chodź tu na łono!
Nie! nie! nie! czuję — o! ty krajo-bójca! —

Ty tego nawet nie zrobisz dla ojca!
Więc wieczny rozbrat z tobą, o szatanie!
Boże mój wielki! o Boże mój, Panie!
Jak ty mię dotknął między całym gminem,
Jak ty mię moim ukarałeś synem!
Oto shańbiony o litość cię proszę,
I smętne oczy do ciebie podnoszę. —

Nię był to płomień co trzaskał nędzniki;
Ale jakoby lekkie śniegu płatki,
Błądziły jasne w powietrzu płomyki.
A jako owiec zmoczonych gromadki,
Kiedy przed deszczem schronią się pod gruszę,
Pod smętnem drzewem stały biedne dusze.
A płomień się lał okropnemi rosy,
I spływał trupom po drżących ramionach,
I oczerwienił boleśnie ich włosy
Te biedne, jeszcze na głowie w koronach.
Bo to królowie co na to nie dbali,
Że łzy kraj topią, że się w ogniu pali;
Byleby tron swój mieli z baldahinem,
Nie dbali co tam, jaki miecz nad gminem.
To więc i w piekle szukają kotary,
Przed bolesnemi się zakrywać żary.
Ale na próżno, bo płomień ponury
Dosięgnął ramion, odziera ze skóry —
A gdzie upadnie na ciało, tam tleje!
Płatek ognisty skrzy się i topnieje,
I zgryzie ciało i kość, aż ją złamie.
Jeden trup spojrzał przez płomień i ramię —
A obaczywszy moje oczy sine,
Mój kontusz, dziatek moich główki, minę —
Przeląkł sie i padł, krzycząc: jakiś Mścisław —
A wiesz ty kto to był? — to Król Stanisław.

Drzewa, płomienie, węże, trupy, mary,
Z drogi! do Boga chce Dantyszek stary!
A jeśli go Bóg z piekła nie wydźwignie,
Gdzie jako kamień dumając, zastygnie. —

Coraz mniej światła, coraz większe próby.
W około widzę palące się groby,
W grobowiec trupy kładą się jak kręgle —
Płomień je chwyta i pali na węgle;
A po spaleniu znowu w głębi dołu
Leży trup cały z białego popiołu! —
I wszystkie członki jak za życia spoi;
A wtenczas się go w grobie ogień boi —
I z pod białego na desce człowieka
Z grobowca, dwoma skrzydłami ucieka.
Pomiędzy mogił ognistemi sznury
Szedłem, o królach dumając ponury;
Aż tu się jawi, z groźnemi przechwałki,
Jakiś trup w drobne pocięty kawałki,
I pozlepiany sztucznie krwią człowieczą:
Kawały ciała na nim brzęczą, skrzeczą;
A jak w złodzieja ręku worek krwawy
Szczękają, trąc się o siebie i stawy.
Członków zaś wszystkich pozrastanych zbiegi,
Koralowemi oznaczone ściegi. —
Widząc że ku mnie się haniebny zbliża.
Zrobiłem ręką znak świętego krzyża.
On mi dłoń podał — wziąłem — ramię pęka,
I w ręku trupa została mi ręka.
Trup odskoczywszy, widząc że się trwożę:
Tyś mię obraził, krzyknął, na honorze!
Panie Leliwo, więc nie czas odwlekać,
Wybierz co wolisz, strzelać się czy siekać?
A ja zmartwiały i żółty jak drzewo:
To ty? krzyknąłem, coś miał za cholewą
Zawsze kartelusz, albo pistolety,
Aby za honor, albo za kobiety
Strzelać, w tę jeszcze nie zamkniętą bliznę,
Którą szlachetny człek wziął za ojczyznę?
A i tu jeszcze jeżysz wąsy krucze?
Pojedynkarzu — stój! ja cię nauczę!
Tak mówiąc z pochwy dobyłem szablichy.
A trup przedemną posępny i cichy,

Ręką nie dobrze do ciała przyszytą
Wziął się za włosy, chrzeszczące jak żytoł
I podniósł z karku skrzącą się oczyma
Głowę, jak człowiek co latarnię trzyma;
Myśląc, że stary, zlękne się nikczemnie
Twarzy, co śmiała się w powietrzu ze mnie.
Dobrze! krzyknąłem — przy takiej latarni
Bić się będziemy jak duchowie czarni;
A jeśli taki ty ptaszek grobowy,
To pojedynek nasz będzie na głowy.
Tak mówiąc, gniewem i zemstą zażarty,
Staję — w ręku mi warczy synek czwarty;
W samą pierś godzę, rzucam — od tej gałki
Rozleciał się ów trup w drobne kawałki,
I w różne ludzkie groby poupadał.

A płomień z grobów wybuchnął i gadał:
Dobrze zrobiłeś żeś się zemścił przecie,
Za nas pociętych w samym wieku kwiecie.
Wszyscy od jego polegliśmy broni —
Ani z nas kwiatu ojczyznie, ni woni,
Lecz dusze poszły w tę ognistą wodę
Z ciała naszego, skarżąc się że młode,
Zmuszone już iść i nigdy nie wrócić,
Jak róże, gdy im trzeba listki zrucić.
Dobrze żeś za nas się zemścił, o starcze!
A pozwól jeszcze że ciebie obarczę —
Mówił trupeczek jeden z tej gromadki —
Pocałowaniem dla żałosnej matki,
Której ubyło we mnie całe plemię!
Powiedz jej starcze jak wrócisz na ziemię,
Że syn — Tu w ręce dwa razy zaklaskał,
Ucichł i płomień w mogile go strzaskał.

Tak odprawiwszy straszny pojedynek,
Widzę że jeden mi już został synek;
Lecz cóż? — to Boga litości nie zmniejszy,
Bo to najmłodszy, bo to najpiękniejszy;

Matki kochanie i moja pieszczota:
Oczki błękitne a główeczka złota.
Bolesna moja główeczka, kochana!
Umrę — lecz główkę tę rzucę przed Pana.

I hej! Leliwa, co trupy zabija,
W piekle jak złota błyskawica mija.
Ku Panu Bogu prosty wziął kierunek,
Ale mu w głowie wre djabelski trunek:
To nim ostygnie, kto wie co z nim będzie?
Z drogi! Leliwa idzie w wielkim pędzie!
Bo właśnie był wir, gdzie biedaczka dusza,
Jeżeli wpadnie, to rusza i rusza.
Więc pan Dantyszek, choć się bardzo smęcił
Po swej ojczyznie, toczył się i kręcił.
A w koło duszek zakręconych tłumy,
Gwary, jęczenia, szelesty i szumy;
Szare powietrze wichrzy się i miesza,
Z trupami trupów roztrąca się rzesza:
Zbiją się, zwichrzą, wezmą się za ręce —
I znów się kręcą i znów się ja kręcę,
I całe piekło jak w burzy i wichrze.
Tu fale głośno płaczące, tu cichsze;
Upiory dziewic z młodzieńcami w parach,
Białe i smętne z różami w symarach.

Patrzę — jak oman ze śniegu zamieci,
Jakaś duszeczka kręcąca się leci;
Serce mi drgnęło i warga pobladła —
W otwarte ręce ta mara mi wpadła,
Chciała na sercu odpocząć troszeczkę:
Lecz wicher wyrwał mi z rąk tę dziewczęcę,
I dalej poniósł w piekła zakamarki,
Z koszulą białą, pociętą na szlarki,
Co się kręciła na niej jak dzwon biały.
Poszła i wichry płaczu ją gdzieś wiały.
A od niej młodość zapachła i zgniłość;
A taki smutek i przestrach, i miłość

Wzięły mi stare moje serce w szpony;
Żem był jak dziecko — żem był jak szalony.

Dawniej to nieraz za legionistą
Strzelano czarną źrenicą, ognistą;
Dawniej — o dawniej! — Czy znasz ty wygnańcze
Ziemię, gdzie rosną mirt i pomarańcze?
Tam ja błądziłem. A cóż się dziś chwalić,
Że łatwo serce w dzieweczkach rozpalić!
To i ta biedna do kruczych warkoczy
Tuliła moje zadumane oczy;
A gdym ja wołał ojczyzny: ta pusta
Jasne jak róże dawała mi usta;
A jam się na nich uwieszał namiętny,
I zakochany, i dumny, i smętny.
A dziś ją taki wicher płaczu goni! —

Czekaj! — Chcę jeszcze raz pomyśleć o niej,
Jeszcze raz tylko, aż te dwie łzy pękną.
Ona tak była urodziwą, piękną!
I patrz — pamiętam — bogdaj mię pożarła
Pamięć — pamiętam ten dzień, gdy umarła.
Na marach białą złożyli dziewicę:
A matka wzięła okropne nożyce
I w szlarki cięła jej koszuli rąbki,
Aby nie było co kraść z tej gołąbki.
Oh! bo tam kradną ludzie w tamtej ziemi,
I wstydzą trupy z piersiami białemi
Oh! bo tam nędza, co w grób jeden rzuca
Na pierś dzieweczki suche starca płuca.
Albo dzieciątko śmiercią tajemnicze,
Co pada jak ssać — na piersi dziewicze! —
To niech przynajmniej ciało łzami myte,
Będzie w tym grobie koszulą okryte:
Koszulą taką! co kusić nie będzie
Złodzieja, w pióra pocięta łabędzie.
Tak ją ubrały ręce rodzicielskie —
Myślałem patrząc, że w skrzydła anielskie.

A ta wyrwała się z grobu jak mara,
I rozsypała się na niej symara;
Pierzchła jak gołąb, dotknęła mi kości,
Owiała wonią trupa i młodości;
Trąciła wichrem spróchniałej bielizny,
I wichrem żalu, starca bez ojczyzny! —

Czegoż ty chciałaś, martwa szalenico?
Mario moja! moja gołębico!
O Florentynko ty moja! ty śpiąca,
Tak cicho niegdyś, przy blasku miesiąca,
Kiedy cię smutna dusza moja strzegła!
Czemuś ty z grobu w tych szlarkach wybiegła?
I jak pieniążek kręcisz się nikczemnie?
Mario! czegoż ty chciała odemnie? —
Oczki jej były jak to niebo w górze,
Usta — perłami wysadzone róże;
Do niej podobna ta dziewicza brzoza,
Taka wstydliwa — a teraz? O zgroza! —
Módl się! a nie drwij że łzy lecą duże,
Bo i nam starcom niegdyś pachły róże!
I po nas innym zapachną i zwiędną,
Tylko je trzeba rwać ręką oszczędną — —
To chociaż serce tam burza skłopota,
Miłą mu młodość — temi kwiaty złota.
A pod ich wonią łeb siwy się chyli,
Gdy księżyc błyśnie, a słowik zakwili.

O Boże! Boże! jaka twa opieka
Jest tam w młodości nad sercem człowieka!
Gdyby pomyśleć, to już tyle razy
Miało czem zwiędnąć lub stać się jak głazy —
A nie! i patrzaj? z włosami białemi
Czuję mojego serca woń na ziemi,
I żywość jego — bo niech kto poruszy
Honoru mego, ojczyzny, lub duszy —
Niechaj sprobuje wydrzeć mi nadzieje,
A padnie trupem i krew go zaleje.

Lecz kiedy starca w pokoju zostawią,
Z włosem się jego białym wróble bawią,
Spokojny w smutnem zadumaniu stoi —
Jelonek się go bez matki nie boi.
A gdy myśliwiec jakiej białej łani
Pobije dziatki i samą porani,
Przychodzi, oczy do starca podnosi —
Skarży się matka i o litość prosi.
A nie myśl, nie myśl, że to są zmyślenia,
Widziałem oczy błękitne jelenia,
I zadziwiła mię jego odwaga,
I ufność w starcu i łez szklistych waga.

Ty powiesz teraz, że starzec majaczy,
I czeka sobie aż znów co zobaczy.
Nie tak zaprawdę się ze starym dzieje!
W nim wiecznie lampa czarodziejska tleje,
I tęcza blasków wiecznie w głowie świta,
A w sercu wiecznie ojczyzna zabita.
To choć pomyślał o młodości złotej,
Powróci znowu w serce dźwięk zgryzoty.
Nie będzie zawsze jak ci, co się smucą
Po różach, które zwiędły i nie wrócą.
Ale raz westchnie za wszystkiem co było;
A potem znowu jak krzyż nad mogiłą
Uświęcający grobowce posępne,
Czoło pamiątkom wzniesie niedostępne,
A pełen tylko nadziei i wiary.
Bo się przekonał, że to w świecie — mary!
Że nic tam nie ma w krajach pod-słonecznych,
Godnego serca i łez jego wiecznych.
A wszystko wiotkie, tak zrobione może,
Aby się jako liść zmieniało w borze;
Aby te wichry nieszczęścia i czasu
Miały czem smutnie szumieć w głębiach lasu.

I dalej idę — tu coraz mniej zgrai.
Każdy się z męką swoją jak wąż tai.

Albowiem blisko u wierzchołka góry,
Największe zbrodnie, najstraszniejsze chmury;
I największemi są łzami wilgotni
Zbrodniarze wielcy, krwawi i samotni.
Idąc na górę, mówiłem do siebie:
Gdzież są więc zdrajce ojczyzny? Czy w niebie?
Oto był rodzaj trupa wszelakiego,
A z wielkich zdrajców nie było żadnego?
Czy się ubrali wilki w owiec wełnę?
Bez nich, mój Boże! to piekło nie pełne;
Bez nich tu braknie płomieniem ozdoby —
Na nich wołają z pod ziemi te groby.
Ledwom wymówił: O! rzecz nie do wiary!
Ręka zwyczajnej jakby ludzkiej miary
Na krwawym słupie przybita, krwią ścieka,
I pokazuje w ciemności zdaleka
Jakąś ohydną rzecz — czoło człowieka.

Siedział w podziemnej utajony grocie,
Oddany strasznej jędzy w straż — zgryzocie.
Włos, najeżony strachem winowajcy,
Wstał na haniebnem, bladem czole zdrajcy.
I straszne w oczach było przerażenie,
Albowiem w grocie jęczały kamienie.
Wicher napędzał mu przez korytarze
Błąkające się ognie, trupów twarze;
A zaś oblicza i sine ogniska
Szły przypatrywać mu się — stojąc z bliska.
Między ogniami, co przyszły na straże,
Krwią osykany przez upiorów twarze,
Jak człowiek własną uznający winę,
Pokornie krwawą ich ocierał ślinę.
A kiedy jęki ozwały się w grobie,
Do ust po kostki wkładał ręce obie,
Widać miał w bolu słuchowi obronę,
Bo gryzł — i z paszczy wyciągał czerwoną.
Już chciałem uciąć szablicą te ręce,
Krwawe jak szpony orle, lub zwierzęce,

Nie zemstą, ale litością ruszony,
Gdy nagle biała mara jego żony
Wybiega, klęka i oczy podnosi:
I tak na rany Chrystusowe prosi:
Panie! ty ojca mojego masz lice,
I taki kontusz i taką szablicę,
Więc ci aż do nóg bolesna upadnę,
I do serca się twego łzami wkradnę;
I w niebie mojej ustąpię światłości,
Za jedną nad nim tylko łzę litości!
Słuchaj! ja niegdyś utopiona w stawie
Teraz jak mara — jak błędne żórawie,
Ciągle ja latam i ciągle mi droga
Od gwiazd do męża, od męża do Boga.
A jeszczem biedna nie mogła wyjęczeć,
Aby go jęki te przestały dręczyć!
Bo cała tutaj ojczyzna zabita
Przychodzi płakać, i jęczy, i zgrzyta —
I wali głuchą przekleństwa ulewą
Na mego męża, jak na zwiędłe drzewo!
Cała ojczyzna i wszyscy umarli
Tutaj przychodzą, aby go rozdarli.
O! jakie serca wy macie tygrysie!
O! jak ojczyzna wasza długo mści się! —
I czyż tak będzie od wieku do wieku?
Wyproś ty dla nas litości człowieku!
Wyproś! ja będę modlitwom przytomną,
Jeśli przebaczyć nie chcą — niech zapomną
Jeśli ich nasza męka nie roztkliwi,
Niech myślą że my byli tak szczęśliwi!
Od nas, niesione błękitami wody,
Pary łabędzi uczyły się zgody.
Od nas uczyły się śnieżyste szyje,
Chować pod skrzydło te, gdzie serce bije.
Słońce lubiło zaglądać w aleje,
Gdzie na nim niegdyś moja postać mdleje —
Po kwiatach wietrzyk biegł i czoło chłodził,
I księżyc prędzej na niebo przychodził.

A ja, spojona szczęściem i rozrzutna,
Każdą mu gwiazdę, co wschodziła smutna,
Lubiłam dawać, jak dziecinka pusta,
I każdą jego nazywać imieniem;
Bo mię za każdą on całował w usta — —
Starcze, pogadaj ty, proszę z sumieniem!
Bo mi się zdaje tonącej w rozpaczy,
Gdy ty przebaczysz i Bóg nam przebaczy. —

Tak mię prosiła: a na głos słowika
Serce się ludzkie choć stare odmyka.
Patrz — o! bielutka! — patrz — ta pochlebnica!
Twój kontusz, mówi, i twoja szablica
Z ojcem ci moim podobieństwo dały —
O, ty litośny! o, ty nie ze skały! —
Jakże się ostać przed takiemi prośby?
Twarzą już tylko udawałem groźby,
A już mi serce kruszyło się, miękło —
Już nad nią dwie łez roztopionych pękło —
Już wyciągałem ręce — wtem ta blada
Leci do męża, na serce mu pada.
A nędzarz blady jak płócienna chusta,
W jej piersi oczy pochował i usta.

Patrzę — o zgroza! — z pod kruczych warkoczy
Wstążeczka się krwi koralowej toczy,
I plami narcyz ten litości srebrny!
On ją ukąsił — zbrodniarz! o haniebny!!
Jękła i nagle od ssącej gadziny
Pierś oderwała, A trup blady, siny,
Oczy zbłąkane obraca w około —
O niczem nie wie to haniebne czoło!
Nigdy się oczy nie łzawią zielone:
A jednak spojrzał na krew i na żonę.
I wyszły z oczu mu dwie łzy tułacze!
Wyszły — a piekło wrzasło: zdrajca płacze,
Tu zadziwieni ciemni aniołowie,
Zaczęli śmiać się i wyć mu na głowie.

Tu się tajemne rozjęczały ściany;
Tu wyszły plamy z ognia, tu szatany —
Wszystko co było w gmachu i za gmachem,
Wabi się z tych łez ohydnym zapachem;
Tu wzrok płaczący, tu wzrok widać sowi,
Urągający zdrajcy lamentowi.
A jeszcze dalej duchowie zaskalni,
Z po za ścian, słychać, płaczą niewidzialni!
Chwieje się piekło, wre krzykiem i łzami —
Uciekłem — uszy zakrywszy rękami.

Widziałem rzeczy straszne i żałobne,
Widziałem ludzi do wężów podobne,
I zrastające się ich ciała z gadem:
Ale ten zdrajca oślinion jadem,
Ale ten własne gryzący piszczele,
Ale ten blady w lamentów kościele,
Oplwany całą krwią zdradzoną w oczy;
Ale ten straszny, co psim zębem broczy
Białą pierś żony i bolem się żywi,
A gdy zapłacze, to piekło zadziwi —
Ten jeden z myśli mi trupy wygonił,
I zadziwiłem się, żem łzę uronił.
O! bo to sercom Polaka nie trudna,
Przebaczyć ręce, co krwią naszą brudna;
Przebaczyć zdrajcy prochom i mogiłom,
Zapomnieć nawet — a to jeden wyłom
Zrobiony ręką ich w kraju budowie,
Położył gruzy nam całe na głowie;
A to więc mieczem ich podcięta jodła
Uschła i mieszka w niej gadzina podła.

A choćby i znów powstał lud z rozpaczy,
Któż Polskę taką jak była zobaczy?
Czy jaki rycerz ścięty od zawoja,
Na zmartwychwstałą powie: matko moja —
Czy jaki z grobu wywołany miecznik
Pozna ten blady dzisiejszy słonecznik?

Co za nowości gwiazdą się obraca?
Lud z takiem sercem po śmierci nie wraca!
A gdzież są dzisiaj te pany w żupanie,
U których w sercu cnót na króla stanie?
A gdzież niewiasty, co synowskie ciało
I zgon, nie nadto, ani też za mało
Umiały płakać, gdy legł za ojczyznę? —
O! dajcie mi krwi ojcowskiej, niech bryznę,
I zwalam twarze dziś białe — i ciała! —
Bo krew z nich płynie jak w godzinach biała;
A nie tak ważną jak ojcowie głowe,
Ni takie serca mają bursztynowe.
Lecz wszystko jakoś popsuło się, zgniło,
A lud już strupiał, a kraj już mogiłą.

Nie budź! — Bo jestem smutnie zamyślony
O strasznem oku piekielnej korony.
Widzę jak gwiazda okropna sumienia,
Z góry wieżycę trupów opromienia.
A jako okno gdzieś po nocy w sali,
Od czerwonego księżyca się pali —
I opłomienia łoża królów ciemne,
A w sny ich trwogi rozrzuca tajemne —
Tak owa gwiazda nad piekłem szkaradnie
To zaczerwieni się, to znowu zbladnie,
I znów za obłok zachodzi ponury,
Za jakieś ciemne i skrwawione chmury! —
A gdy się krwiami napoi ta chłodna,
Z po za chmur jasna wychodzi, pogodna,
Otwiera usta i jakoby z płuca
W ciemne przepaście krwi piorunem rzuca.
Tam, gdzie kończyła się piekielna skała,
Spiorunowanych krwią widziałem ciała.

Już blisko Boga — patrzę — trup człowieka
W ciemność od gwiazdy sumienia ucieka,
Ucieka — z czołem na nią obróconem,
W złotej koronie i w płaszczu czerwonym.

Za nim — o honor! niewieście gromady
Trup nań rzucają maleńki i blady,
I kamienują czerwoną gadzinę!
Powietrze blade od trupków i sine — —
Deszczem nań leją z ramion rodzicielskich,
Mogiły smętne, pagórków anielskich.
Jakby niechętne trupy, jakby senne,
Gołębi stadem lecą przez Gehenne.
A dłoń to matek, co je tak umyślnie
Rzuca na trupa — nim rzuci, uściśnie,
Pożegna wprzódy i łzami opryska,
Potem za nóżki zakręci i ciska.
Wartkie jak kamień, sine jak ze stali,
Leci dzieciątko i w purpurę wali,
I kości trzaska na trupie szkaradne — —
Patrz! patrz! o zgroza! dzieciąteczko ładne
Z ziemi podnosi trup, za nóżki chwyta,
Broni się matkom, a broniąc się zgrzyta.
Ukląkł nareszcie — a trupiemi ciały
Tak uklękłego zakamienowały,
Matki po dzieciach płaczące żałośnie.
Grobowiec na nim straszny, śniady, rośnie:
Trupki się kładą przy trupkach w girlandy;
Już urosł kurhan jak mogiła Wandy.
I jeszcze kładną się przy duszkach duszki,
I urósł jako mogiła Kościuszki.
A gdy był wielki, krzyknąłem: O Boże!
Ja stary, pieczęć na grobie położę,
By nie zmartwychwstał — — — —
— — — — — — — — — — — —

Ej! dosyć, już dosyć!
Mamże ja Boga wielką litość głosić?
Czy się przeklinać stary człowiek smutny,
Że byłem trupków pieniądzem rozrzutny.
Taki jest Polak — dobra jego sprawa,
Krwawe zaczęcie i osnowa krwawa;
Lecz kiedy przyjdzie dobić aż do końca,
To wstydzić się mu księżyca i słońca!

Ej! ale ziarno się nie darmo sieje,
To i tam w końcu coś widać — nadzieję —
Smutna to lampa i nocnego ptaka,
Lecz i ta dobra nad grobem Polaka.

To więc chodź ze mną aż na trupów górę,
Klęknij, wznieś oczy w tę gwiazdę, w tę chmurę,
Bóg za nią — klękaj! niech się twarz nie bieli.
A cóż że z gwiazdy piorun krwi wystrzeli —
Klękaj! — To niech się wola Boska stanie!
Lecz my przysiężmy, że kraj zmartwychwstanie;
A przysiężemy — to zmartwychwstać musi!
I co, że powróz proroka udusi?
Że może ściętej głowie nie pozwolą
Spocząć na sercu zabitem niedolą?
I co, że wnuki łzą kwiaty pokropią,
Kiedy nie pełny grób starców odkopią,
I znajdą tylko tam bez czaszki, ciała?
To co? — Powiedzą: głowa zmartwychwstała!
I aniołowie, strażnicy tej bryły,
Wylatującą widzieli z mogiły —
Gdy piorunami się noc smętna zmierzchła,
Wylatywała jak gołąb i pierzchła.
A gdy z aniołem, co smętnych prowadzi,
Wygnańce nasi będą wracać bladzi,
I rozpoznawać podobieństwo głazów —
Z pomiędzy białych narcyzów i ślazów,
Niech wtenczas smutne oczy napotyka
Kwietny grobowiec, starca męczennika.

O Polsko! Polsko święta! bogobojna!
Jeżeli kiedy jasna i spokojna,
Obrócisz twoje rozwidnione oczy
Na groby nasze, gdzie nas robak toczy —
Gdzie urny prochów pod wierzby wiosenne
Skryły się dumać jak łabędzie senne —
Polsko ty moja! gdy już nieprzytomni
Będziemy — wspomnij ty o nas! o wspomnij — —!

Wszak myśmy z twego zrobili nazwiska
Pacierz co płacze i piorun co błyska.
A dosyć, że się zastanowisz chwilę,
Jaka tam cisza na naszej mogile —
Jak się wydaje przez Boga przeklęta,
A nie zapomnisz ty o nas, o święta! —

PRZYPISY.

Opowiadanie Dantyszka o piekle, natchnięte niby echem lekkiem Danta, napisane w ojczyźnie tego księcia ponurych wieszczów; kontuszem Leliwy odstrychnęło się od oryginału i wzoru, stawszy się więcej rubasznem i polskiem. Kontusz zaś ten wiele myśli wygnał, wiele myśli skrócił, a nawet często zwięzłości potrzebnej w wyrażeniach nie pozwolił; zamiast zaś rozpraw teologicznych Danta, przymusił autora do użycia tej prostej filozofji, która tak pięknie rozjaśniła niegdyś wiersze Jana Kochanowskiego; przyłączyło się tylko do niej trochę melancholji, nieznanej szczęśliwym przodkom naszym. Powiedziawszy te słów kilka o całym poemacie, przystąpię z oszczędnością do wyjaśnienia niektórych szczegółów i obrazów.

Str. 221. w. 13. Dla wszystkich płynie fontanna młodości.

Między pięknemi urojeniami wieków średnich było mniemanie, że gdzieś na ziemi w pustyni wytryska źródło, z którego pijąc, odzyskać można młodość. Marko-Polo szukał tego źródła, jadąc do wielkiego Khana. Minstrelowie Prowancji często o tej wodzie w pieśniach wspominają; a dziś jeszcze nieraz Arab wypuszcza konia na pustynię i zagłębia się w piaski, w nadziei że na fontannę młodości wiecznej natrafi.

Str. 240. w. 4. Świecznikiem była.

W twarzach trupich węży, które stoją na trupie Katarzyny i palą się na włosach, czytelnik możeby ujrzał podobieństwo do Potemkina, Zubowa i innych gachów tej nierządnicy. Przez prędkość, Dantyszek zapomniał węże imionami ludzkiemi ponazywać; jako też powiedzieć czytelnikowi: że Katarzyna,

starająca się długo pochlebstwem u Woltera i innych, aby ją za światłą pochodnię cywilizacji na północy okrzyczeli, po śmierci hołd ten odebrała od zdrobniałego Danta w kontuszu.

Str. 241. w. 15. I szczeknął do mnie, że to Erywański.

Przez patrjotyzm zapewne go Dantyszek Księciem Warszawskim nie nazywa; a dziwić by się powinien, że zeń wyjęto serce: on go nie miał.

Str. 242. w. 12. Pływaj, bo to Suworów.

Za nadto dumną i posępną ma karę ten człowiek, który za życia miał srogość lwa, z postacią małpy. Malują go dobrze wiersze jego do Katarzyny po wzięciu Izmaiłowa, w których na skrwawionej karcie imię tej carycy tak bezbożnie z imieniem Boga połączył; a lepiej jeszcze maluje małpią i szatańską duszę jego następująca anegdota: Podczas rzezi Pragi ujrzał Suworów jendyka skaleczonego, który gdzieś z zakrwawionego domu, krwią ludzką i swoją okryty, kulejąc uciekał. «O biedne stworzenie!» zawołał, patrząc na ptaka wódz moskiewski, «dla czegoż ty niewinnie masz mieć udział w nędzy i nieszczęściach ludzkich?» Po takiej patetycznej przemowie zawołał swego lekarza, kazał mu owego ptaka opatrzyć i pilne o nim mieć staranie. A gdy się to działo, trwała rzeź i ludzie umierali.

Str. 246. w. 36. Krwią leją, krzyczą: stój! my samobójce!

W Dancie jest podobnież las, w którym drzewa gadają i mieszczą w sobie dusze samobójców. — Dant naśladował z Wirgiljusza; a Danta zaś Tass i Ariost naśladowali, zamykając mary w cyprysach. Kładę tu kilka wierszy dosłownie prawie z Danta tłómaczonych, abym o zupełną kradzież literacką nie był posądzony.

A pień zaś krzyknął: — Czemu ty mię łamiesz? —
Tu znowu ucichł i na ranę białą
Krew czarna wyszła kroplami z parości.
I znowu krzyknął: Czemu rwiesz mi ciało?
Człowieku! nie masz ty w sercu litości?
Byliśmy ludźmi, dziś drzewami piekła!
Lecz czyliż przeto dłoń twoja tak cięży?

Czyliż nas łamać i karcić ma wściekła,
Choćbyśmy w korze miały dusze węży? —
Jaka gałąska, gdy z liściem ucięta,
Kiedy ją ogień od końca kaleczy,
To drugą stroną skarży się i syczy.
A wilgoć razem z powietrzem zamknięta,
Płaczliwie z ciasnej wymyka się więzi — - -
Tak właśnie z owej uciętej gałęzi
Krew ze słowami jedną wyszły drogą,
Rzuciwszy gałąź, stałem, zbladły trwogą — i t. d.

Las Dantyszka napełniony jest zapewne duszami oficerów, którzy shańbieni przez Wielkiego Księcia, szli zabijać się w Saskim ogrodzie i strzałem pistoletowym często płoszyli słowiki, spokojnie w ciemnych kasztanach zamieszkałe. Znajome jest mieszkańcom Warszawy wzgórze i urna kamienna, oblana nieraz krwią tych nieszczęsnych.

Str. 249. w. 2. Oddzieram płótno, ciało się oddziera.

Centaury tratujące Wielkiego Księcia nieznani są z nazwiska Dantyszkowi, nieświadomemu rzeczy mitologicznych; również nie wiedział że płótno nakrywające trupa jest koszulą Dejaniry, którą raz wdziawszy, z kawałkami ciała oderwać tylko można było od kości.

Str. 253. w. 22. Nie ma imienia już, herby się łamią.

Posępna i poetyczna ceremonja u dawnych Polaków, łamania herbów po wygaśnieniu jakiej familji, odbywała się w kościele, do którego wlatywał rycerz konny i drzewcem w tarczę uderzał. Po śmierci hetmana Branickiego odbył się ten obrzęd podobno po raz ostatni.

Str. 259. w. 2. I rozsypała się na niej symara.

W narodach, które już zniewieściały, albo wcale nie mają egzystencji politycznej, dziwna jest obojętność względem umarłych. I tak w Toskanji podróżny nie znajdzie tych smętarzów, które taką wonią kwiatów obwiewają wzgórza miasteczek niemieckich. Bogatsi Toskańczycy chowani są pod zimnemi murami kościołów, ubożsi zaś wywożeni o cztery mile za miasto na smętarz zwany «Trespiano» i rzucani razem bez trumien w jeden grobowiec, który co dnia piętnaście ciał

pożera. Hamleta trzeba nad takim grobem! Hamleta, który ryby Ofelję swoją widział pomięszaną z ohydną zgrają umarłych w jednej mogile. — Z tego zwyczaju Florencji urodził się zapewne ów wymysł matczynej czułości, godny prawdziwie serca jaskółek: że kiedy jakie biedne ciałko dziewicze lub dziecięce przymuszone są powierzyć czarnym grabarzom Trespiano — bojąc się, aby go ci chciwi ludzie przed rzuceniem w dół z ostatniej koszuli nie obnażyli — ubierają martwego w długą białą symarę i pod fałdami rozcinają tę szatę w długie aż do dołu wstążki, tak, że się wydaje całą, a złodziejom już na nic przydatną być nie może. Biedny Dantyszek będąc jeszcze żołnierzem legjonistą i wygnańcem, nie miał zapewne dość grosza, aby dzieweczkę swoją w Santa Croce obok Danta pochować i musiał ją na równinie Trespiano zostawić. — Jeżeli który z wojażerów rozczuli się nad przygodą złotej młodości Dantyszka, niechaj zmówi Ave Maria, przejeżdżając około smętarza, gdzie leży ta piękna, siostra może Fornariny. Dziwny smętarz, na którym krzyż tylko jeden stoi pośrodku i otwiera bolesne ramiona, a pod nim i w około żadnej nie widać mogiły, lecz ziemia gładka, runem niby wiosennem okryta i zielona, a co dnia dół jeden czarny, wielki, otwarty, czekający na umarłe.

Str. 262. w. 11. Słuchaj — ja niegdyś utopiona w stawie.

Leliwa nie wymówił nazwiska zdrajcy, ale powyższy wiersz pokazuje, że ci oboje widziani w piekle są ci sami, o których jest rzecz w cudownym poemacie Malczewskiego. O parze tych małżonków czytałem także w manuskrypcie piękną tragedję, którą napisał Korzeniowski. Wspomniawszy o tym pisarzu, muszę tu wyjawić moje zadziwienie, że go Polska dotychczas tak mało zna, a stąd i nie dosyć ceni — przez taką obojętność gotuje sobie wyrzuty sumienia na przyszłość, kiedy już poetów nie będzie.

Str. 266. w. 6. Mogiły smętne pagórków Anielskich.

Na smętarzach w Litwie osobne jest wzgórze przeznaczone na grzebanie maleńkich, i nazywa się: Górką Anielską.

Str. 266. w. 20. Tak uklęklego zakamienowały.

Czytelnik domyśli się, że tu jest mowa o Mikołaju. A Dantyszek mógłby powiedzieć, jak Dante, umieszczający w piekle

człowieka żywego jeszcze — że Car widzialny na tronie znikomą jest tylko marą i trupem już, a prawdziwie zaś z duszą swoją umarł i znajduje się w piekle. Twierdzenie to Danta, tak przeraziło owa żyjącą jeszcze podówczas osobę, że sama zaczęła wierzyć w dwojaką swoją istność, i bać się o rzeczywistość ciała swego na ziemi. Okropny sceptycyzm! —

Str. 266. w. 34. Że byłem trupków pieniądzem rozrzutny.

Obwinia siebie Dantyszek: że uniesiony mściwością, rozrzucił swoje dziatki po piekle, i żadnej główki nie doniósł przed Bogą; a nie powiada czy sam doszedł aż do nieba. Sądziéby więc należało, że ustał na siłach i wrócił na ziemię, nie dokonawszy zamiaru. Po inaczej skutek jego skargi, to jest litość Boską uczulibyście nad sobą.

MAZEPA,

TRAGEDJA

W PIĘCIU AKTACH.

OSOBY.

Król Jan Kazimierz.
Mazepa, dworzanin króla.
Wojewoda.
Amelja, żona Wojewody.
Zbigniew, syn Wojewody z pierwszego małżeństwa.
Chmara, Pasek, Chrząstka — dworzani Wojewody.
Kasztelanowa.

Pokojowi królewscy, Szlachta, ludzie Wojewody, Ksiądz, i. t. d.

Scena w zamku Wojewody.

AKT II.

SCENA I.

(Sala oświecona jak na bal.)

WOJEWODA, ZBIGNIEW potem KASZTELANOWA.

WOJEWODA.

A przy mozdzierzach trzymać zapalone lonty. —
Waść mi, Panie Zbigniewie synu, zajrzyj w kąty
Czy wszystko jak potrzeba na królewskie gody.
(Do wchodzącej Kasztelanowej.)
Mościa Kasztelanowo! mam wielkie powody
Cieszyć się, że cię widzę w zdrowiu i świeżości - -

KASZTELANOWA.

Jakże mi pięknie zamek wygląda Waszmości!
Co lamp! co pozłotowin! — A gdzie Aści żona?

WOJEWODA.

Dotychczas niegotowa i nieprzystrojona —
A to mój syn zastąpi ją tu przy Asińdzce.
Pójdę tymczasem z wieży zajrzeć na gościńce
Czy się już król nie toczy po drodze lipowej.
Zbigniewie, atentuj się Waść Kasztelanowej
I baw Jaśnie Wielmożną.

KASZTELANOWA, do Zbigniewa.

Waść przyjeżdżasz z Padwy?

ZBIGNIEW.

Nie, mościa Dobrodziejko, już z wojska.

KASZTELANOWA.

Doprawdy?

Waść w wojsku?

ZBIGNIEW.

Tak, rotmistrzem zostałem pancernym.

KASZTELANOWA.

Strzeż mi się Waść, bo zaraz zostaniesz: niewiernym,
Płochym, uwodzicielem, jak wszyscy rotmistrze.

ZBIGNIEW.

Broń Boże!

KASZTELANOWA.

Masz oczęta co się błyszczą bystrze,
Ale coś trochę mgliste i afekcjonalne —
I cóż to jest Waćpanu? — ot, w pancerz cię palnę
Wachlarzykiem i wszystko serduszko wyśpiewa. —
Mówże mi co o Włoszech Asiądziej.

(Słychać zgiełk za sceną.)

WOJEWODA.

Cholewa
Panie Cholewa! co tam za wrzask! Panie Chmara;
Mości Chrząstko! czy wszystkich djabli wzięli? — Wiara!
Szablice dzwonią, trzeba iść pacyfikować.

(Wchodzi.)

SCENA II.

(ZBIGNIEW, KASZTELANOWA, PAN CHRZĄSTKA, wchodzący innemi drzwiami.)

CHRZĄSTKA.

Gdzie Wojewoda?

KASZTELANOWA.

Chciej nas Waść zainformować
Co to za krzyk?

CHRZĄSTKA.

Zdarzenie Mościa Dobrodziko,
Bardzo smutne.

KASZTELANOWA.

A powiedz że?

CHRZĄSTKA.

Bryka za bryką
Wjechała na dziedziniec, Mościa Dobrodziko.
Z tych bryk wysiadło szlachty, panów co niemiara!
Jednych prowadził pan Marszałek ziemski Szczara,

Lubomirszczyk zajadły, rokoszanin, śmiałek;
Drugim pan Olgopolski przywodził Marszałek
Babińcowym nazwany, bo trzyma z królową.
Zeszli się Mościa pani, przed bramą zamkową
Owi dwaj marszałkowi, a każdy jak patron
«Caudy» swej przyjacielskiej «amicos» i matron

KASZTELANOWA.

Proszę Waćpana nie leź w łacinę jak w błoto.

CHRZĄSTKA.

Oba więc tym marszałkom przeciwnym szło o to,
Który z nich krok najpierwszy ma mieć do przedsienia;
Lecz jako oba grzeczni, więc bez ubliżenia
Jeden drugiemu, oba, mając czapki w rękach
Nuż się kłaniać, we dwoje giąć się jak na mękach;
Próżno obu łysiny mroził księżyc chłodny
Jeden krzyczał: niegodny — i drugi: niegodny:
I byłyby na wieki trwały te respekta;
Gdyby jeden z baczących na te kontrefekta
Jezuickiej grzeczności, nie był krzyknął z brzucha:
«A weź że panie Szczara krok, i nakryj ucha.»
Co słysząc Olgopolski, jak piorun z obłoku
W bramę — co widząc, równie «accelerans» kroku
I pan Szczara uczynił. — Waćpani się spytasz
Co się stało? — Jak razem wstąpili w korytarz
Tak i razem ugrzęźli, brzuch z brzuchem, nos z nosem;
Próżno ich szlachta częstem szturchańcem i głosem
Podżega i na dalsze zaprasza pokoje —
Nie mogą — więc myśl wzięto «seccare» na dwoje
Zaciętych «inimicos», więc błysnęły szable.
Jako więc w ciasnym porcie dwa wielkie korable,
Które «fortunam» niosą, przed burzliwym gromem —

WOJEWODA, za sceną.

Rozbić mur, niechaj wejdą Ichmoście wyłomem! —
Panie Chmara! rozwalić mur! —

KASZTELANOWA.

O! krotochwila.

(Chrząstka wychodzi.)

SCENA III.

ZBIGNIEW, KASZTELANOWA, wchodzi AMELJA.

KASZTELANOWA.

Cóż to jest za dzieweczka? Ze skrzydeł motyla
Trzewiczki ma; na głowie bez żadnego fiocha

ZBIGNIEW.

To Mościa Dobrodziejko, jest moja macocha.

KASZTELANOWA.

Tak młodziutka? To jeszcze dziecko! (do Amelji.) A proszę cię,
Bądźże mi przyjaciołką, moje piękne dziecię.
Uważaj mię jak swoją. — Cóż? jaka ty ładna!
A to panie Zbigniewie cud! — Z sąsiadek żadna
Nie wyrówna. — Nie płoń się, starej wolno mówić.
Trzeba ci było muszek wiosennych nałowić,
Oberwać im skrzydełka i upstrzyć twarzyczkę.
Nadto biała, we włosach zatknęłaś różyczkę —
Nadto białą! — jeszcze dzieciątko niewinne. —
Panie Zbigniewie, czy masz respekta powinne
Dla takiej młodej matki? jakże wy z nią razem?
To dziwnie, Waszeć mi się zdajesz zimnym głazem,
Atentuj że się Wasze tej młodziutkiej matce.

(Do Amelji.)

Tobie tu jak białemu gołębiowi w klatce,
Ten zamek bardzo smutny, tobie trzeba słońca.
Cóż — czy cię nudzi starej gawęda bez końca?
Powiem ci coś miłego: tu z królem przybywa
Pan Mazepa.

AMELJA.

Któż to jest

KASZTELANOWA.

Jakto? nieszczęśliwa!
nigdy nie słyszałaś o panu Mazepie?

AMELJA.

Nie Mościa Dobrodziejko.

KASZTELANOWA.

Ja ciebie oślepię!
Jak ci zacznę o złotym mówić sowizdrzale,

A może twoje czyste serduszko rozpalę
Ogniem nieugaszonym! — Obaczysz go sama.
Serce jego otwarte jak przejezdna brama:
Jedna wjeżdża, a druga wyjeżdża za wrota —
Spojrzenia jego nakszałt kowalskiego młota,
Ciągle w biedne serduszka uderzają, tłuką
Na miazgę. — Niech to będzie Asińdzce nauką.

(Walą z dział.)

AMELJA.

O Boże, król!

KASZTELANOWA.

Nim wejdzie, mamy czasu dużo —
Tam na ganku pan Pasek, z powagą papużą
I z wielkiem stał papierem — ba! to mówca śliczny
Przygotował dla króla wiersz makaroniczny.
O czem że ja mówiła Mościa dobrodziejko —
Ha — otóż pan Mazepa — jeszcze mu czuć mleko
Pod nosem, a już o nim tyle rzeczy plotą!

SCENA IV.

(Ciż sami.)

MAZEPA włazi oknem niewidziany przez aktorów.

KASZTELANOWA.

Wystaw ty sobie co to za sowizdrzał! co to
Za urwis ten Mazepa!

MAZEPA, na stroni.

Ba, tu o mnie mowa —

KASZTELANOWA.

Wystaw sobie co to jest za przewrotna głowa!
Co to za wróg niewieści! Węża wziął za godło —
Paź, kochanek, włosami kazał wypchać siodło —

MAZEPA, kłaniając się Kasztelanowej nagle.

Fałsz! Mościa Dobrodziejko — proszę nie dać wiary.

KASZTELANOWA.

Jakże tu pan przyszedłeś?

MAZEPA.

Z kiężycem przez szpary.
Lecz w czas przychodzę bronić własnego honoru.

KASZTELANOWA.

Lecz jak tu pan przyszedłeś?

MAZEPA.

Jak motylek dworu
Przez okno, Mościa pani.

KASZTELANOWA.

Ba, kłamcy masz minę
Okno wysokie.

MAZEPA.

Z włosów mam różnych drabinę.

KASZTELANOWA.

Z włosów kochanek?

MAZEPA.

Tak jest

KASZTELANOWA.

Lecz czemuż przez szyby
Nie przeze drzwi?

MAZEPA.

Bo we drzwiach jest Pasek, co niby
Cerber z trzema głowami — krew się w żyłach ścina —
Co jedna skończy mówić, to druga zaczyna —
Myśląc że to się nigdy nie skończy — uciekłem.

KASZTELANOWA.

Już ja widzę że Waćpan ten dom zrobisz piekłem,
Że tu Waćpan przez okno wniesiesz niepokoje.

MAZEPA.

Skądże tak zła opinja?

KASZTELANOWA.

Ja bardzo się boję
Waszej niestateczności. -- Niech nas Bóg ochrania;
Waszeć nigdy nie możesz być bez zakochania.
Lecz tutaj wartoby się rozkochać ze skruchą —
Jak się zakochasz, to mi powiesz w kim — na ucho —
Ja stara, cię nie zdradzę —

MAZEPA, z ręką na sercu.

Paź Aśćkę przekona —

SCENA V.

Ciż sami. KRÓL, WOJEWODA, i wiele szlachty.

WOJEWODA.

Oto jest, Najjaśniejszy Panie, moja żona,
Która ci się do kolan uniży.
A to — Kasztelanowa Robroncka ze Spiży;
A to mój syn jedynak twej potencji sługa.

KRÓL.

Cóż to? Paź tu?

MAZEPA.

Oracja była bardzo długa,
Nie chciałem się rozczulić, wnet mi oczy mokną —
Wszedłem przez okno —

KRÓL.

Strzeż się wylecieć przez okno.

MAZEPA.

W szczęśliwsze pozwól Królu ufać horoskopy.

KRÓL, do Wojewodziny.

Pani racz mi dać rękę. — Te ogniste stropy
Prawdziwie empiryjskim zdają się obłokiem —
A ty Wojewodzino —

(Kończy do ucha komplement.)

WOJEWODA.

Za królewskim krokiem,
Mości Panowie proszę — proszę — bardzo proszę! —

(Wychodzą wszyscy, oprócz Mazepy, na dalsze pokoje.)

SCENA VI.

MAZEPA, sam.

O! dziwny świat! ten młody Rotmistrz przy macosze
Tak cudownej, a zimny jak lód się wydaje,
Gdy ja, ledwom ją ujrzał, już mi serce taje —
Już chciałbym albo żyć z nią — albo umrzeć dla niej.
Mościa Kasztelanowa! o, zgadłaś Waćpani,
Że tu przyjdzie w miłości zapisać się wiecznik! —

Zacznę jak słońce, może skończę jak słonecznik —
Ona mi będzie serce obracać oczyma.

(Wojewoda wchodzi.)

WOJEWODA.

Cóż to czy mój stół żadnych względów nie otrzyma?
Proszę, Wielmożny Panie, nie pogardzaj strawą —

(Mazepa kłania się i odchodzi.)

SCENA VII.

WOJEWODA, CHMARA.

WOJEWODA.

Panie Chmara; w ogrodzie czy od lamp jaskrawo?

CHMARA.

Już się palą —

WOJEWODA.

Wyłamać zaraz tę przegrodę —
Niech król zobaczy dobrze w zamku Wojewodę —
Niechaj mu będzie jasno — cóż? — wyjąć tę ścianę! —

(Ludzie wyjmują ścianę w głębi teatru, pokazuje się ogród illuminowany.)

To pięknie! — Czy tam wszystkie rozkazy wydane?
Czy włość pije, Mospanie, czy upiekli wołu?

CHMARA.

Wszystko, Panie

(Wchodzi Pan Pasek.)

PAN PASEK.

Jegomość Król wstaje od stołu,
Już kazał sobie podać z nalewką miednicę.

WOJEWODA.

Panie Pasek, każ urżnąć polskiego muzyce.

(Rozchodzą się w różne strony, Wojewoda idzie do Króla. —)

SCENA VIII.

(Muzyka gra poloneza.)

KRÓL wchodzi w pierwszej parze prowadząc WOJEWODZINĘ. — Za nim Paź MAZEPA z KASZTELANOWĄ, potem opodal ZBIGNIEW z jakąś Panią. WOJEWODA na końcu.

KRÓL, do Amelji.

Pani Wojewodzino, to królewskie gody! —
Jeśli wola, pójdziemy kołem przez ogrody?

AMELJA.

Sługa Waszej Królewskiej Mości.

KRÓL.

Proszę w ślady.

(Polonez wychodzi do ogrodu.)

KASZTELANOWA, przechodząc do Mazepy.

A Waćpan się już kochasz?

MAZEPA.

Już.

PIERWSZA Z PAŃ, do Zbigniewa.

Jak Waszmość blady —

ZBIGNIEW.

Mościa Pani, zapewne takim byłem wczora.

(Wychodzą. Polonez wraca z ogrodu. Król puszcza rękę Wojewodziny — wszystkie pary rozłączają się.)

KRÓL.

Wielmożne panie, proszę iść same, gąsiora.
A teraz nowym wszystkich wyborem zaszczycić.

(Kasztelanowa bierze rękę Króla — inne panie wybierają tancerzy; Amelja zostaje na przodzie sceny, a paź z boku. — Polonez cały wychodzi — i bal przenosi się do sal dalszych.)

SCENA IX.

AMELJA, MAZEPA.

MAZEPA, na stronie.

Udało mi się żadnej ręki nie uchwycić
I zostać z nią sam na sam! — Piękności cudowna!
Owiała mię przy tobie trwoga niewymowna,
Jak w miejscu świętem —

AMELJA, do siebie.

Tak mi coś na sercu smutno!

MAZEPA, na stronie.

Niespokojnością jestem dręczony okrutną.
Jak tu zacząć — (do Amelji) Czy wolno Panią prosić w tany?

AMELJA.

Niech Pan wybaczy.

MAZEPA

Więc nie?

AMELJA.

Nie.

MAZEPA.

Głosek twój szklanny
Wyuczył się harmonji od leśnych słowików;
Oczy twoje z błękitów całe i z promyków,
Od gwiazd się nauczyły być tak błękitnemi,
I tak zawsze, tak prosto zlatywać ku ziemi! —
Pozwól mi głos usłyszeć — i zobaczyć oczy —
Bo pomyślę żeś gniewna. — Ty drżysz? — Nikt nie wkroczy;
Wszyscy za królem ciągną po zamku. — My sami. —
O! to kraj dziwny! tu są niebianek ustami
Róże zamknięte, nie chcą otworzyć się całe —
Widzę na ustach uśmiech. — Muszę oczy śmiałe
Odwrócić, bo mię twoich brwi mignienie zgubi.

AMELJA.

Nie wiem czy Waszmość wiejską prostotę polubi;
Ale muszę mu wyznać, że ta jego mowa
Wcale mi się nie zdaje —

MAZEPA.

Bywaj Pani zdrowa
Jeślim obraził —

AMELJA.

O! nie.

MAZEPA.

Idę — i w łeb strzelę.

AMELJA.

Tak żartować!

MAZEPA.

Bynajmniej — jak robie podchmielę,
Gotów jestem na wszystko! — idę pić z rozpaczy.

AMELJA.

A potem?

MAZEPA.

Potem Pani z okna mię zobaczy.
Strzelającego sobie w łeb —

AMELJA.

Pan stroi żarty.

MAZEPA.

Cóż mam robić na świecie? co? — czy grać w drużbarty,
Albo z królem odmawiać litanije smętne?
At — nie mam już w nic wiary, serce moje mętne —
Ciebie bym jeszcze, Pani, wziął za spowiednika!
Boś podobna do świętej! — Ty słuchasz słowika,
A ja mam więcej, Pani, z tobą do mówienia
A ty mię słuchać nie chcesz? (Do siebie.) Już się zarumienia —
Dobry znak. (Głośno.) O niebieska! bądź świętą osobą,
Tylko mi się ty pozwól spowiadać przed sobą?
Ja mam wiele na sercu ciężącej spowiedzi.! —
Pod oknem twojem pewnie jaki ptaszek siedzi
I przez całą noc śpiewa piosnkę nieudolną:
Czyliż mi dziś słowika zastąpić niewolno?
Czy to gniew twój obudzi?

AMELJA.

O Boże! o Boże!

MAZEPA.

Jam się rozpytał dobrze o wszystko we dworze —
Wiem że twój balkon brzozą płaczącą okryty,
Lilijami ubrany —

AMELJA.

Pan nie jesteś skryty,
Gdy się do roli szpiega przyznajesz tak snadnie!

MAZEPA.

Tak — jestem bez honoru!

AMELJA.

Pan tu w przepaść wpadnie.
Ja mam obrońcę — ja tu będę obroniona!

MAZEPA.

Lecz Pani będziesz tego żałować, kto skona.

AMELJA.

Próżne słowa! tak błaho nikt życia nie traci;
I bez żadnej nadziei —

MAZEPA.

W twej drżącej postaci
Wiele dla mnie nadziei.

AMELJA.

Żadnej nie ma — żadnej

(Odchodzi.)

SCENA X.

MAZEPA, potem KASZTELANOWA.

MAZEPA.

Już się jak rybka wędki uchwyciła zdradnej!
Przysięgnę, że się z okna dziś do mnie wychyli.
Resztę uczyni djabeł —

(Wchodzi Kasztelanowa.)

KASZTELANOWA.

A gdzież to wy byli
Mój panie Dworzaninie? z kim się to gwarzyło?

MAZEPA.

Z nikim, Wielmożna Pani — —

KASZTELANOWA.

Serduszko się wpiło
Jak kleszcz! — Ja ci coś powiem — jestem tu na oku.
Widziałam jak was Zbigniew wypatrywał z boku —
Strusiłbyś panie Paziu gdybyś go zobaczył —
Bo tak wyglądał jak trup! — Żeby Waszmość raczył
Podać mi do powozu rękę? —

MAZEPA.

Już cię tracę
Mościa Kasztelanowo?

(Daje rękę i wyprowadza Kasztelanowę.)

SCENA XI.

ZBIGNIEW i WOJEWODA, który przez cały ciąg sceny wyprowadza gości z czapką w ręku i kłania się nisko.

ZBIGNIEW.

Serce mi kołace
Jakbym miał omdleć — — Tutaj stała nieruchoma —
On gadał do niej, trwoga w niej była widoma!
O czem on do niej mówił? jakiemi wyrazy?
Ona się odwróciła, widziałem dwa razy,

Jakby z niespokojności — trzebaż mi się było
Pokazać? — Ten dom będzie paziowi mogiłą.

WOJEWODA.

Gasić światła! — Król się Pan ma ku spoczynkowi.

(Wychodzi.)

ZDZISŁAW.

I nikt że mi tu z duchów litosnych nie powie
O czem oni gadali? — Nie — ja spać nie będę;
Pójdę — aż się tych myśli dręczących pozbędę,
Ukołysany nocną cichością w ogrodzie.
Jeśli usłyszy — on mię pozna po chodzie
I przypomni że jestem na świecie. — O męka! —

(Wychodzi.)

SCENA XII.

(Inny pokój w zamku.)

KRÓL, WOJEWODA z pochodnią, MAZEPA. Pokojowi królewscy.

KRÓL.

A niechże przecie Waszmość przedemną nie klęka

WOJEWODA.

Król się pozwoli rozzuć.

KRÓL, podnosząc go z ziemi.

Waść zanadto czyni!
Prosimy cię, zostaw nas nocnej monarchini
Diannie, co w te szyby zamierzchłe zagląda.
Sam się ku spoczynkowi miej. Morfeusz żąda
Ofiary po ofierze Bachusa.

(Wojewoda kłania się i odchodzi.)

Bóg z wami.

(Pokojowcy królewscy odchodzą.)

SCENA XIII.

KRÓL, MAZEPA.

KRÓL.

Podaj mi brewiarz. Niebo iskrzy się gwiazdami —
«Ave Maria plena.» — Mazo! słuchaj —

MAZEPA.

Panie?

KRÓL.

Czy wiesz Acan gdzie tutaj śpią moi dworzanie?

MAZEPA.

Na lewo.

KRÓL.

A pan zamku?

MAZEPA.

Nie wiem.

KRÓL.

Toś kiep.

MAZEPA.

Zgoda.

KRÓL.

«Ave Maria» — Nie wiesz gdzie śpi wojewoda?

MAZEPA.

Nie wiem —

KRÓL.

Toś wielki dureń.

MAZEPA.

Już drugi raz słyszę.

KRÓL.

A ty gdzie śpisz?

MAZEPA.

Ja nie śpię.

KRÓL.

A cóż robisz?

MAZEPA.

Piszę

Dzieje twe, Miłościwy Panie.

KRÓL.

Sowizdrzale

Historjografie!

MAZEPA, na stronie.

Bogdajbyś pękł ex-kardynale.

KRÓL.

Co waść mruczysz?

MAZEPA.

Nic — wiersze —

KRÓL.

Ba — ja się założę,
Że ty masz jaką schadzkę po nocy.

MAZEPA.

Być może —

KRÓL.

Ja wiem pewnie. Waść gadał z Wojewodziną!

MAZEPA.

Chwaliłem przed nią Waszą Królewską Mość

KRÓL.

Ino
Mów prawdę. Waść ją będziesz widział dzisiaj jeszcze?

MAZEPA.

Jak tylko serce moje gdziekolwiek umieszczę,
To mi Król Miłościwy wnet zajrzysz.

KRÓL

Nie zajrzę,
Bynajmniej —

MAZEPA.

Wnet przeszkadzasz mi królu —

KRÓL.

A dajże
Mi święty pokój, głupcze — tak mi trąbisz w uszy.
Że aż uciekam —

(Bierze na siebie płaszcz Mazepy zostawiony na krześle, i kapelusz Mazepy kładzie na głowę.)

MAZEPA.

Królu! to mój płaszcz.

KRÓL.

Bez duszy!
Chcesz żebym dostał febry, bez płaszcza, po rosie.

MAZEPA.

Król Miłościwy wszakże ma swój.

KRÓL.

Co? młokosie!
Chcesz żeby mię po nocy w królewskiej odzieży,
Poznało zaraz całe wojsko nietoperzy?

I oddawało winne królewskie honory! —
Cóż Mazo, Waść nie jesteś na gorączkę chory;
Jeśli mię płaszcz zarazi czem, to głupstwem chyba! —
Czekaj tu Waść —

(Wychodzi do ogrodu.)

SCENA XIV.

MAZEPA, sam.

Niech djabli wezmą tego grzyba!
Jemu to w pazia płaszczu po księżycu chodzić
I pod oknami marznąć — i niewiasty zwodzić!
Ortodoxus! przeklęty Ortodoxus! ckliwy!
Wszak jeszcze wczoraj włos mu wyrywałem siwy —
Poczekaj! Drugi raz mię nie złapiesz tak snadnie!
Dalibóg że mu w moim płaszczu bardzo ładnie —
Gotowa jeszcze okno otworzyć!

SCENA XV.

KRÓL, wraca ze szpadą dobytą, ranny w rękę — MAZEPA.

KRÓL.

Nędzniku!

MAZEPA.

Królu!

KRÓL.

Zdrajco bezczelny!

MAZEPA.

Skądże tyle krzyku?

KRÓL.

Waść mię posłał na zgubę.

MAZEPA.

Ja?

KRÓL.

Zbójcę nasadził.

MAZEPA.

Przysięgam, Miłościwy Panie —

KRÓL.

Waść mię zdradził —

MAZEPA.

Co widzę? Najjaśniejszy Pan masz krew na dłoni!

KRÓL,

Wytłomacz się urwisie! Niechaj się Waść broni —
Będziesz Waść ukarany! — Ledwom dał dwa kroki,
Jakiś olbrzym wypada, jak sosna wysoki,
Z szablą dobytą — i wnet, nuż rąbać na ślepo;
Krzycząc: podły Mazepo! tchórzu ty Mazepo!
Nie będziesz ty mi więcej po księżycu łaził!

MAZEPA.

I król go nie zabiłeś?

KRÓL.

On mię nie obraził,
On Waści lżył — a mnie co do tego panie?

MAZEPA.

Lecz on ranił królewską dłoń i znak zostanie.

KRÓL.

Bogdajeś pękł — to wszystko ja cierpię za Waści.

MAZEPA.

On widział, że król, jego uchodząc napaści,
Zostaleś ranny?

KRÓL.

Widział — krew ciekła z oszczepa —
A mój ludojad krzyczał — jaki tchórz Mazepa!
Ranny już, a z pod szabli jak łajdak uchodzi!

MAZEPA.

I król go nie zabiłeś?

KRÓL.

A cóż to mi szkodzi
Że ktoś Waści nazywa tchórzem?

MAZEPA.

W żaden sposób —

KRÓL.

Injurje takie zawsze należą do osób,
Do których wymierzone są i do nazwiska.

MAZEPA.

Lecz jutro, Miłościwy Panie, krew odzyska
Swoje prawa.

KRÓL.

Co? jakie krew odzyska prawa?

MAZEPA.

Jutro, nazwisko tchórza, weźmie ręka krwawa.

KRÓL

Co ty mówisz?

MAZEPA.

Racz o tem pomyśleć raz drugi.

KRÓL.

Idź Waść i obudź moje pokojowe sługi —
Pakować się — ja jutro wyjeżdżam przed słońcem.
Przeklęta noc!

MAZEPA.

Przeklęta noc!

KRÓL.

I koniec końcem —
Wyjedziemy.

MAZEPA.

I koniec końcem wyjedziemy.

KRÓL.

Ten zabójca rozpapla —

MAZEPA.

Nie musi być niemy.

KRÓL.

Przeklęta noc!

MAZEPA.

Injurje należą do osób.

KRÓL.

Co ty mruczysz?

MAZEPA.

Ot! panie, wynalazłem sposób,
Aby tu zostać jutro.

KRÓL.

Ba! to rzecz ciekawa?

MAZEPA.

Jutro nazwisko tchórza weźmie ręka krwawa.

KRÓL.

No i cóż? jakże Waszeć mój honor obroni?

MAZEPA bierze szpadę króla i sam siebie w dłoń rani.

Oto mi, królu patrzaj, krew trysnęła z dłoni —

KRÓL, ściskając go,

Dziecko moje kochane!

MAZEPA.

Cóż jest w tej zadzierce!
Ja bym się może królu — dla niej ranił w serce.

AKT II.

SCENA I.

(Galerja z arkadami otworzonemi na ogród.)

KRÓL, WOJEWODA.

KRÓL.

Mój Mości Wojewodo! to rzecz nie do wiary —
Paź napadnięty —

WOJEWODA.

Niech mię położą na mary,
Jeśli ja co rozumię Najjaśniejszy Panie,
W tej gmatwaninie —

KRÓL.

Niech to już tak i zostanie.
A Waszeć wojewodo nie wdawaj się w śledztwo.

WOJEWODA.

Co? Miłościwy Panie, moje tu szlachectwo
Na szwank jest wystawione, assasinium w domu!

KRÓL.

No, przecież się nie stało wielkie zło nikomu,
Paź tylko przywileju wietrznika nadużył
I oberwał Mospanie to na co zasłużył;
Dobrze mu tak, niech ładnym się oczkiem nie wabi.
No — cóż tak Wojewodo dumasz?

WOJEWODA.

Wabik babi,
Ten paź — może się strasznie oparzyć. — Mopanek!
Niechaj się strzeże, niech tu nie szuka kochanek —
Mój dom nie jest —

KRÓL.

I cóż tak drzesz pas złotolity?

WOJEWODA.

Więc pazik szukał tutaj po nocy kobiety?

KRÓL.

Wojewodo, ja nie wiem!

WOJEWODA.

Miłościwy Panie —
Pozwól mi — pójdę — ranne zastawiać śniadanie.

KRÓL.

Dajem wam wszelką wolność.

(Wojewoda odchodzi.)

SCENA II.

KRÓL, sam.

Ten starzec zazdrosny —
Jakże taki charakter w starych ludziach sprosny —!
Jaki śmieszny! — Rwał wąsa i rozdzierał pasa,
A wszystko więził w sobie, i krwi tylko krasa,
Wyszła mu na policzki starością zwiędniałe
Wstrząsał się, jakby dźwigał na ramionach skałę.
Widziałem jak mu błysła źrenica czerwona,
Gdy wyrzekłszy: kobieta, w myśli dodał: żona.
Oj wojewodo! tak mi wyglądałeś Wasze
Jak Radziejowski, gdy jadł ze Szwedami kaszę.
Cóż to? — Wojewodzina! —

SCENA III.

KRÓL, AMELJA.

AMELJA.

Panie Miłościwy!
Przyszłam ze skargą.

KRÓL.

Jakżem dumny i szczęśliwy!

AMELJA.

Królu! widzisz mię jeszcze drżącą z przelęknienia —
Wielką zniosłam obelgę — twarz mi opłomienia —
Mówić nie mogę. — Niech król w lica mi nie patrzy!

KRÓL.

Któżby chciał na tych licach kwiat oglądać bladszy,
Kiedy jesteś tak cudnie piękną, gdy się płonisz.

AMELJA.

Królu, ty mię obronisz — — ufam że obronisz,
Jeśli mię nie chcesz widzieć Panie pod mogiłą —
Twój dworzanin mię zelżył — Panie —

KRÓL.

Jak to było?

AMELJA.

O tak Królu, jak zwykle, dziś, o słońca wschodzie
Szłam na mszę. — Pan Mazepa mię spotkał w ogrodzie,
Na wąskiej kładce zewsząd okrytej drzewami —
Ukląkł — jam się bladością okryła i łzami.
Lecz nie chciałam się cofnąć, by nie zdradzić strachu.
Począł mówić że poznał mię po róż zapachu,
Że mu wschodzące słońce powiedziało o mnie.
Zawstydzona, ile że ubrana mniej skromnie,
Bom nie myślała że mnie kto z ludzi nadybie —
Musiałam spuścić oczy i w rzeczułki szybie
Wołać rybek na pomoc i prosić o radę —
Gdy ten bezczelnik lica moje widząc blade,
Rozumiał że mię z barwą zarazem różaną
Odleciał wstyd — i z trwogi na kładce zachwianą
Zatrzymał tak, że usta uczułam na twarzy! —

KRÓL.

O! szatan!

AMELJA.

Więc się, Panie, zawstydzona skarży —
Ufa, że się król ujmiesz za sprawą kobiety —

KRÓL.

Osądź go sama.

AMELJA.

Jak to! — ja mam sądzić — nie ty?
Królu! ty w naszym domu —

KRÓL, na stronie.

Przeklęty paziku! --

(Do Amelji.)

Pani, w naszym kodeksie jest zbrodni bez liku,
Lecz takiej nie ma zbrodni, ani kary na nią.

AMELJA.

Królu! powiedz mu że on domu tego panią
Shańbił — że podłe serce mu w piersiach uderza,
Ani serce Polaka, ni serce rycerza;
Powiedz mu, że my, biedne kobiety, się bronim
Wzgardą — więc ja pogardzam i zapomnę o nim.
Że choćbym nierządnicą była — nie skorzysta!
Bo jeszcze ja dlań będę za dumna, za czysta!
Powiedz mu, że nikogo nie mając za stróża,
Mogłabym mieć mściciela — lecz mam go za tchórza,
I wzgarda moja litość urodziła we mnie.
Ale mu powiedz królu, że zrobił nikczemnie,
Powiedz i wypędź -- niech go nie widzę przed sobą.

KRÓL.

Czemuż winienem pani że z twoją żałobą
Do mnie przyszłaś —

AMELJA.

Sądziłam że króla przytomność
Nie wstydzi —

KRÓL.

O szczęśliwy król, któremu skromność
Zawierza! i w całem się zdaje zaufaniu —
Szczęśliwy cię oglądać po świeżem spłakaniu —
Jeszcze cichemi łzami żalu brylantową!
O! nie płacz, ja ukarzę pazia — daję słowo —
Ukarzę — i nie ujrzysz go więcej przed tobą.
Teraz o innych rzeczach pomówimy z sobą,
Piękna Wojewodzino — o zakład że zgadnę
Jak masz imię; być musi imię smętne, ładne - -
Jakże twe chrzestne imię?

AMELJA.

Amelja.

KRÓL.

Bóg z nami!

Słowik tej nocy ciągle pod memi oknami
Śpiewał to imię — jam spał i słyszał potroszę —
Teraz już z serca tego słowika nie spłoszę.
Piękna Ameljo! I tak więdnąć tu odludnie? —
Ten zamek nad jeziorem położony cudnie,
Ale smętny jak moje we Francji więzienie:
Te okna, te arkady, te lipowe cienie.
Ale tu całe życie prawie przeżyć trudno — —
Ameljo! czy ci w zamku tym czasem nie nudno?
Czy nie żądasz odmiany? — Tu dnie smutne płyną!
Ja bym w tym zamku umarł już, Wojewodzino!
To więzienie jak moja francuska wieżyca.
Ach! było i tam dziewczę, tak jasnego lica,
Jak ty pani — tak w każdem ujęciu okrzętna,
Która mi wtenczas miłą, a dziś jest pamiętna.
Jesteś od niej piękniejsza, lecz podobna trochę —
Ty jesteś smutna, tamto dziewczę było płoche.
Nieraz oszukiwała więzienia pachołków
I list z kraju przyniosła w bukiecie fijołków — —

AMELJA.

Jakże się nazywała ta biedna dziewczyna?

KRÓL.

Klaudia.

AMELJA.

Więc kochała i umarła z żalu?

KRÓL.

Wdową jest po marszałku dzisiaj d'Hospitalu.

AMELJA.

Zapomniała? zdradziła?

KRÓL.

Odmieńmy rozmowę.

Dziś, gdy mię gryzą kolce korony cierniowe,
Cóżbym nie dał, by dawne powróciły lata!

Gdy chleb spleśniały przy mnie, w oknach była krata,
A serce kochające przy sercu mi biło! —
O pani! jakże teraz samotnemu miło,
Znaleść tak piękną smętnych uczuć powiernicę —
Takie dwie łzy, dwie takie w oczach błyskawice,
Co z gniewnym ogniem niosą razem przebaczenie!
Takie słyszeć nad własną niedolą westchnienie,
Tak białą dłoń i miękką mieć do łez otarcia!
Tron i koronę rzucić, bez przyjaciół, wsparcia,
Opuścić kraj, gdzie ludzie są w sercach zatruci —
Rzucić wszystko, z tą jedną co nigdy nie rzuci!

AMELJA.

Mogęż odejść?

KRÓL.

O pani! zostań — jedna chwila —
Ty nie wiesz, że w tej chwili los mój się przesila,
Że mi korona spada z głowy, co się schyla
Przed tobą, czarodziejko!

AMELJA.

Mogęż odejść panie?

KRÓL.

O, dumna! — raz niechętnie dałaś całowanie
Czołu pazia — lecz teraz spotkasz — —

AMELJA.

Już mi widne —

KRÓL.

Czoło w koronie!

AMELJA.

Zimne — —

KRÓL.

Dokończ.

AMELJA.

I bezwstydne.

(Odchodzi.)

SCENA IV.

KRÓL, WOJEWODA.

WOJEWODA, spotykając odchodzącą Amelję.

Co to jest? Do swych Aśćka idź apartamentów!

KRÓL.

Cóż tak srogi?

WOJEWODA.

Miłościwy Panie, bez wykrętów,
Coś mi dziś we łbie jęczy pogrzebowym dzwonem:
Krew, co się lała, leży pod żony balkonem.

KRÓL.

Co? Pazik taki śmiały?

WOJEWODA.

Królu! proszę o to:
Wypraw ty mi z zamczyska tę laleczkę złotą!
Wypraw ją, bo już Panie Miłościwy ranna,
To jak się dotknę, stłuc się gotowa jak szklanna.
Ja żony nie podzieram, to święta kobieta —
Lecz ten paź, on się czegoś tu królu dopyta.
Ja ciebie może Panie Miłościwy nudzę,
Lecz powiadam: jeśli chcesz mieć w dalszej usłudze
Twojego dworzanina, to go wypraw prędzej:
On się tu może zgubić jak worek pieniędzy.
Złoto wabi — on cały złoty — toć ukradną —
Wypraw go Miły Panie — ma figurkę ładną,
Ja się o niego boję.

KRÓL.

No; mój Wojewodo!
Widzę że w tobie ta krew, to nie szafran z wodą.
Cieszę się, żeś mi jeszcze czerstwy i ognisty.
Przyślij mi pazia — zaraz mu napiszę listy
I wyszlę do Warszawy.

WOJEWODA.

A ją mu dam szkapę.

(Odchodzi.)

SCENA V.

KRÓL, potem MAZEPA.

Ja zgrzeszyłem jak dziecko — a paź weźmie w łapę:
To i dobrze, on w moich zamiarach przeszkadza.
A jak widzę, to mnie tu on haniebnie zdradza
I sam pięknie przy własnej patronuje sprawie.
To i dobrze, z listami pazika wyprawię —
Zostanę sam, a pomoc mi rychło przybędzie.

(Wchodzi MAZEPA.)

Nastraszyłeś mi Waćpan przed czasem łabędzie.
Próżno spuszczasz oczęta i przegryzasz wargi:
Były tu na Waćpana, gapiu, różne skargi!
Wywędrujesz mi stąd precz, z listami do żony.
Do gabinetu za mną! —

(Wchodzi do gabinetu.)

MAZEPA.

Proszę jaki słony
Mój ortodoxus! nigdy tak źle nie zaczynał.

KRÓL, za sceną.

Za mną do gabinetu Waść — —

MAZEPA.

Djabeł kardynał.

(Wychodzi za królem.)

SCENA VI.

ZBIGNIEW wchodzi.

Tu wszedł paź — już go nie ma — zaczekam. — Tą razą
Niechaj nas po dniu zimne rozsądzi żelazo.
O! zabić go! a potem zabić się samemu!
Cóż jest w tej cichej śmierci okropnego? — Czemu
Lękamy się tej ziemi, co nam czoło plami,
I snu z założonemi na piersiach rękami?
Śmierć — innej nie ma drogi przedemną. — O Boże!
Gdyby mi kto powiedział wczoraj, że być może
Jaki człowiek na ziemi z sercem ludzkiem w łonie,
Śmielszy niż róża, listkiem kryjąca jej skronie,

Bliższy jej ust, niż swojski jej kanarek złoty,
Szczęśliwszy niż powietrze, niż owe istoty —
Muszki wieczorne, którym ja zazdroszczę co dnia.
Ach! nie wiem; wczoraj mi się zdawała to zbrodnia,
Dotknąć jej twarzy — dzisiaj możebym szalony — --
Tak więc ten, co się pali sam, żar zapalony
Ciska na serca drugich i winien pożogi,
Która człowieka wali losowi pod nogi!
Zimnym, zwalanym trupem — —

SCENA VII.

WOJEWODA, ZDZISŁAW.

WOJEWODA.

Waść tu czekasz kogo,
Waść widzę porysował marmury ostrogą?
Cóż to jest za rysunek — trupia głowa? — Synu!
Waszeć mi się chcesz rąbać? Wstyd — to człowiek z gminu;
Takiego wojewoda pod kijem zatłucze.
Posłałem Chmarę — ja go respektu nauczę —
Melka niewinna że krew pod oknem — niewinna;
Lecz z paziem, co ją sądził ścierką, to rzecz inna!
Pod kijem on odszczeka, już posłałem Chmarę —
Zostaw to wszystko Waszeć na to czoło stare.
Czy ty myślisz że matka o tem nie wiedziała?

ZBIGNIEW.

O! na to ja przysięgnę.

WOJEWODA.

Panu Bogu chwała,
Że mi nadarzył świętą kobietę za żonę!
Czy Waść uważał, miała oczęta czerwone
Od płaczu — —

ZDZISŁAW.

Bo też każde posądzenie boli.

WOJEWODA.

Posłałem ludzi — będą przy wielkiej topoli
Koło karczmy na tego czatować gałgana,

ZDZISŁAW.

Lecz jak się król pan dowie?

WOJEWODA.

Króla mam za pana,
Ale nie w moim domu.

SCENA VIII.

Ciż sami. KRÓL i MAZEPA wychodzą z bocznych drzwi.

KRÓL.

Mości Wojewodo!
Paź jedzie do Głuchowa, potem z naszą zgodą
Powraca do Warszawy, rzecz ukartowana.
Pozwólże mu Waścine uściskać kolana,
I każ mu spuścić mosty.

WOJEWODA.

Niech odjeżdża zdrowo —
A odemnie niech przyjmie szablę turkusową,
I rumakiem murzynem nie gardzi na drogę.
Koń ten bystre ma oczy i lotną ma nogę —
Oby Waści szczęśliwie niósł przez nasze pola
Do szczęśliwego celu.

MAZEPA.

Jeśli wasza wola,
Przyjmuję oba dary. — Piękny upominek!
Dobra szabla, a jeszcze lepszy koń murzynek —
I bogdajby to koń był, co kiedyś po lesie
I po łąkach aż na tron pazika zaniesie!
Jak to mi wywrużyła cyganka przed laty.

KRÓL.

A lećże mi po łąkach paziku skrzydlaty,
Wspomnij o mnie na tronie i bądź mi aljantem. —
A teraz wojewodo chodźmy, alikantem
Pić za szczęśliwą podróż tego pretendenta
Do korony. (Do Mazepy.) Niech Waszeć o listach pamięta.

(Odchodzi z Wojewodą.)

SCENA IX.

MAZEPA, ZBIGNIEW.

ZBIGNIEW, dobywając szabli.

Mości panie, do szabli!

MAZEPA, dobywając szabli.

Wiem co to się znaczy.

ZBIGNIEW.

Strzeż łba.

MAZEPA.

Mości rotmistrzu! jestem syn kozaczy —
Bić się umiem; lecz wcale nie czuję ochoty
Tłuc ojca turkusówką w syna pancerz złoty;
Ani Wojewodzica, co jak róże młody,
Zabiwszy, uciec z zamku koniem Wojewody.
Wreszcie i to Waćpanu w pokorności ducha
Wyznaję, że mnie teraz poruszyła skrusza,
Że się wstydzę tej w zamku odegranej roli —
Więc jeżeli szanowny pan Zbigniew pozwoli,
Ścisnąwszy się jak bracia, rozjedziemy w zgodzie.
Czar był jakiś w tym zamku, w księżycu, w ogrodzie,
Co mię obłąkał, ogniem zapalił, miłością —
Czar trwa — i mnie uniża teraz przed Waszmością,
I szczerym mnie afektem ku niemu zapala.
Cóż mówisz na to Waszmość? Czy serce pozwala?
Czy od proponowanej jest dalekie zgody?
Wierzaj mi, wrzućmi nasze zatargi do wody,
I bądźmi przyjaciołmi!

ZBIGNIEW.

Drwisz! Czy jesteś tchórzem?

MAZEPA.

Każdy swego honoru powinien być stróżem.
Zdaj to na mnie — potrafię zniżyć się bez szwanku.

ZBIGNIEW.

Waść zmykałeś tej nocy.

MAZEPA.

Księżyca kochanku:
Czy pewny jesteś że ja przed Waścią umykał?

ZBIGNIEW.

Mój Boże! jak wąż z bolu pod żelazem ksykał!
Zdejm rękawiczkę — krwawe masz na ręku znamię!

MAZEPA.

Pewnyż jesteś że twoje żelazo i ramię
Temu winne, Mospanie, że mam krew na ręce?

ZBIGNIEW.

Wykręcasz mi się podle.

MAZEPA.

Lecz się nie wykręcę.
Co? — Oto moja ręka — tak, dalibóg krwawa,
Lecz nie Waćpan ją zranił.

ZBIGNIEW.

Ba! to rzecz ciekawa!

MAZEPA.

Mospanie, jak nabierzesz znajomości świata,
Poznasz że nieraz części albo krwi utrata
Potrzebną jest «ut salvat» miłe nam osoby.
Waćpan jeszcze przez żadne nie przeszedłeś próby,
A jednak w tym się właśnie Wać znajdujesz razie,
Że nie tak na odwadze szumnej, na żelazie
Honor najdroższej tobie osoby spoczywa,
Jako na roztropności — to sztuka prawdziwa:
Serce mieć pełne ognia, zimne jak lód lice,
I do grobowca z sobą zanieść tajemnicę.

ZBIGNIEW.

Żadnych takich tajemnic nie mam do ukrycia.

MAZEPA.

Więc może ja się mylę. — Każdy ma do picia
Kielich mniej więcej gorzki; a ja się lituję
Nad tym, co się codzienną męką serca truje.
Zdjął mnie smutek, gdym ujrzał w chmurach ciemnych losu
Dwie istoty cierpiące bez jęku, bez głosu,
Ciche, co mając serca od Chrystusa krwawsze,
Mówią: niestety! — dodać zmuszeni: na zawsze!
Jestem dziecko; lecz takie widząc przeznacznie,
Szczere i wielkie w sercu uczułem cierpienie,
I litość — i poświęciłbym siebie —

ZBIGNIEW.

A za kogo?

MAZEPA.

To moja tajemnica.

ZBIGNIEW.

Do szabli!

MAZEPA.

Tak srogo?

ZBIGNIEW.

Sercę wydrę!

MAZEPA.

Dla czego pobladłeś jak chusta? —
Pewien mi pocałunek wiecznie zamknął usta.

ZBIGNIEW.

Kłamiesz jak pies!

MAZEPA.

Koniecznie?

ZBIGNIEW.

Do szabli, mospanie!

MAZEPA.

Ha! kochasz ją —!

(Biją się. Zbigniew końcem szabli rozdziera i wyrzuca listy królewskie, które paź był schował przy piersi.)

ZBIGNIEW.

Dostałeś.

MAZEPA.

Waść lepiej dostanie.

(Mazepa wytrąca pałasz z ręki Zbigniewowi i obala go na kolano.)

ZBIGNIEW.

Korzystaj z losu, przepędź mi sztychem przez kości.

MAZEPA, podnosząc go.

Zbigniewie! proszę teraz drugi raz Waszmości
O braterstwo i przyjaźń! Daj zemście spoczynek.
Użyłem słów wabiących gniew i pojedynek,
Abym poznał, czy Wasze jest jednym z tych ludzi,
Który się w domu ojca szpiegowaniem trudzi,
I odejmuje pokój starca włosom siwym? —
Czy Waść jesteś szlachetnym, albo nieszczęśliwym!
O tak! szczerze Waszmości chcę być teraz bratem.

(Zbigniew rzuca się w objęcia Mazepy.)

Zbigniewie mój! z tym biednym kłócący się światem
Walką wrącego serca — mój drogi! szlachetny!
Ty mi się podobałeś — ty w tym zamku świetny,
Jak rycerz dawnych czasów ująłeś mi serce!
Słuchaj! twój pożar jeszcze w maleńkiej iskierce,
A już cię strawił, już cię zwiędniałym uczynił.
Aniś ty jeszcze w niczem skalał się, przewinił —
W jej szafirowych oczach twoja bogobojność
Zostawiła anielskość dotąd i spokojność;
Lecz to nie potrwa wiecznie, to nie potrwa długo! —
Wierzaj mi — ty być musisz twego losu sługą —
Bo nie możesz być panem — nie — to niepodobna.
Zostaw ją tu — jak róża kwiatami ozdobna,
Niech się błyszczy i cicho na słońcu przekwita —
Lecz ty uciekaj — ciebie już skrzydłami chwyta
Straszny duch ognia — tobie uciekać potrzeba! —
Wierzaj mi, są miłości bez gwiazd, Boga, nieba:
Te wkrótce zetrą serca na proch — tak je znudzą,
Tak splamią, tyle razy do niczego zbudzą,
Tyle razy w sen cichy ogłupienia wtrącą,
Że wreszcie źródło wspomnień na wieki zamącą.
To się i z tobą stanie. Jedź ze mną Zbigniewie!
Jak dwa motyle w wichru kręcone powiewie,
Przelecimy przez okna otworzone dworu,
Gdzie gapie, a w kontuszach różnego koloru,
Jak ćmy głupie obsiadły starą Francuzicę.
Przewrócimy ten cały stary świat na nice,
Brzękiem, śmiechem, szyderstwem napełnimy salę!
Jak mi serce zagaśnie, to je znów zapalę
Przy ogniu twego serca — a jak ogień boski
I w tobie zamrze — wtenczas żadne łzy i troski
Już nie wrócą, i będziem śpiewali: «victoria!»
Widzisz, moje kazanie gorzkie jak cykorja,
Wycisnęło mi z oczu łzy, drogi Zbigniewie —
I cóż?

ZBIGNIEW.

Pojadę z tobą — —

MAZEPA.

Dziś przy wielkiem drzewie
Koło karczmy zaczekam na cię do północy.

ZBIGNIEW.

Nie tam — jedź inną drogą.

MAZEPA.

Co? czy tam Rakocy
Stoi z wojskiem?

ZBIGNIEW.

Nie pytaj, bo mi wstyd wyjawić,

MAZEPA.

Więc potrafię się w bliskiem miasteczku zabawić
Grą w kości, choćby z jakim wojakiem ciemięgą.

ZBIGNIEW.

Czekaj tu — ja ci każę klacz osiodłać tęgą —
Wtenczas wiatr nie doścignie!

MAZEPA.

Idź, chłopaku szczery!

(Zbigniew odchodzi.)

SCENA X.

MAZEPA, sam.

Panie Mazepo! teraz Wasze innej cery —
Co się z twoją złożoną zrobiło maszkarą?
Mówiłeś jak ksiądz — próżno djabeł krzyczał! «haro!»
Ty brnął w cnotę jak w błoto, ani dbał o siebie —
Dwa dni tego humoru, a umrę i w niebie
Będę siedział po uszy! — Ba! lecz bies powróci.

(Podnosi listy królewskie z ziemi.)

Aha! królewskie listy! — Ten król mi coś czmuci —
Dalibóg! szablą pieczęć przecięta na dwoje —
Schowam — ja się tej szelmy ciekawości boję —
To mój wróg — ba! — lecz pieczęć na dwoje złamana.
Tylko troszeczenieczkę — —

(Zaziera w listy.)

«Proszę Waszmość Pana»

Do Głuchowskiego pisze komendanta.

(Przebiega list oczyma.)

Nieba!
Ukartowane wszystko na rapt jak potrzeba —
Ortodoxus chce porwać żonę Wojewodzie!
Dalej — tu widać jakiś przypisek na spodzie —
Czy ja ślepy? czy bielmo mi na oczach leży?
(Czyta.)
«Pana Mazepę — zaraz zasadzić do wieży,
I strzedz aż do dalszego z nim rozporządzenia.»
(Chowa listy.)
Ach, panie ortodoxus! — Co? — mnie do więzienia?
A młodziutką starego żonę w twoje łapy? —
Więc ty myślisz że wszyscy, włącznie ze mną, gapy?
Że w twoich sidłach muszki uwikłane zginą? —
Tej nocy muszę widzieć się z Wojewodziną,
Jej tylko mogę wyznać tę dziecka ciekawość — —
Czegóż się lękam? — Moja zwinność, lotność, prawość
Wszystko ocali. — Będę ją widział tej nocy —
Mam jej honor i własną śmierć we własnej mocy;
Z tem się zgubić nie można! —

SCENA XI.

MAZEPA, ZBIGNIEW wraca.

ZBIGNIEW.
Koń czeka gotowy.

MAZEPA.
Do widzenia!

(Wychodzi.)

ZBIGNIEW, sam.
Skończona rzecz — ugiąłem głowy
Przed nieszczęściem! Skończona ze mną rzecz — zginąłem.
Gdyby wiedzieć, że człowiek smutny jest aniołem,
Że co tu niespokojnych miłości uniknie,
To będzie miał u Boga! — Mój cień wkrótce zniknie,
I w tej krainie więcej o mnie nie usłyszą —
Ale po latach wielu z jaką straszną ciszą,
Trumny się starych ludzi w jednym lochu schodzą,
Jakby się nigdy z sobą nie znały — i płodzą

Robactwo obrzydliwe. Patrząc na te kości,
Ktoby wtenczas przypomniał ludziom o miłości,
Odebrałby śmiech dziwny trumien w odpowiedzi
I odszedłby jak głupiec z mistycznej spowiedzi!
Czas jest rozgrzeszycielem. — O jakże tym błogo,
Co swe gryzące wiecznie serce przeżyć mogą! —

SCENA XII.

ZBIGNIEW zamyślony. — Widać Amelję zbliżającą się po drugiej stronie arkad. — KSIĄDZ idzie za nią. — Amelja staje przed Zbigniewem i uderza go lilją po twarzy.

AMELJA.

Cóż tak smutny?

ZBIGNIEW.

Nic — głowa mi cięży jak ołów.

(Amelja daje Zbigniewowi liljȩ — lecz Ksiądz, stojący za nią, wyrywa kwiat z rąk Amelji i mówi srogo.)

KSIĄDZ.

Daj do kościoła — lilja jest kwiatem aniołów.

AKT III.

SCENA I.

(Pokój Wojewody.)

WOJEWODA, CHMARA,

WOJEWODA.

Więc paź tu jest — w ogrodzie?

CHMARA.

Widziałem na oczy —

WOJEWODA.

Zdejm Wacan strzelbę — spróbuj czy zamek odskoczy.
Czemu Waść patrzysz na mnie? no? — Zbierz Acan ludzi!

Ale cicho, niech się Król Jegomość nie zbudzi —
Idź — z ludźmi bądź w ogrodzie.

(Chmara wychodzi.)

Panie! Chryste Panie!
Otóż to rzecz! W zamczysku moim polowanie
Na gacha mojej żony! — Chryste, Jezu Chryste!
A dajże ty umarłym światło wiekuiste!
Pomrą! piekielnie pomrą! —

(Wychodzi zbrojny.)

SCENA II.

Mieszkanie Wojewodziny. — Okno otwarte na balkon — z jednej strony alkowa zasłoniona firankami.)

MAZEPA, włazi oknem.

Wszystko śpi w zamczysku.
Żadnego po komnatach szmeru ani błysku.
Doskonale — to pokój kobiecy! — Gdzież ona?
Może jeszcze w ogrodzie chodzi zamyślona —
Może u swoich niewiast — —

(Pokazując na alkowę)

Może tam uśnięta.
Co robić? czy tam zajrzeć? — Alkowo przeklęta!
O najniebezpieczniejsza z zasadzek alkowo!
Za tą zasłoną lekką, wiotką, purpurową,
Ona śpi, snem różowym, cichym, — Djable! djable!
Jak ty mnie dręczysz!

(Zaziera w alkowę i wraca.)

Pusta. — Przysięgam na szablę,
Że nie miałem złej myśli, ruszając firanek.
Cóż robić? — Ona przyjdzie — skryję się na ganek,
A na wachlarzu kilka słów do niej napiszę:

(Pisząc)

Odeszlij twe niewiasty — jestem tu — —

(Rzuca wachlarz.)

Co słyszę?
Kroki dwóch osób — mury te dla mnie fatalne!
! Hajeśli mnie odkryją tu — w łeb sobie palnę!

(Wchodzi do alkowy i zakrywa firanki.)

SCENA III.

AMELJA I ZBIGNIEW.

AMELJA.

Więc to ostatnie twoje ze mną pożegnanie?

ZBIGNIEW.

Tak, moja matko!

AMELJA.

Słyszysz słowików śpiewanie?
Chce mi się płakać — biedna ja! biedna!

ZBIGNIEW.

Dla czego?

AMELJA.

Nie wiem — ja na tym świecie nie pragnę niczego,
A jednak ja nie jestem szczęśliwa! — Ja nie wiem
Co mi jest. — Siedząc teraz z tobą pod modrzewiem,
Zdało mi się, że jakaś okropna godzina
Dzwoni w nocnem powietrzu. — Wczoraj moja sina
Szpileczka turkusowa, którą mam po matce,
Złamała się — to mała rzecz! — Lecz na okładce
Książki od nabożeństwa zapisałam sobie
Ten dzień, jak zły dzień. — Boże! skądże przyszło tobie
Odjeżdżać? — Ty mi nigdy nie mówiłeś o tem.
Zostanę sama! Lecz ty odjeżdżasz z powrotem?

ZBIGNIEW.

Nie, matko!

AMELJA.

Nie! Więc nigdy tu już nie powrócisz?

ZBIGNIEW.

Nigdy! nigdy już! nigdy!

AMELJA.

Żałośnie mi nucisz,
Jak szpaczek, co jednego nauczony słowa,
Nie rozumie i gada.

ZBIGNIEW.

O matko! bądź zdrowa!

AMELJA.

Chodź tu! klęknij mi Wasze! — Cóż tak nieserdecznie
Żegnasz się? — I ty mówisz, że się żegnasz wiecznie!
Ja ciebie nie rozumiem! — Chodź — czoło Waszmości
Okropnie zimne.

ZBIGNIEW, klęka przed nią.

Matko! o matko! litości!

AMELJA.

Milcz! milcz! Ja cię rozumiem — tak padłeś przedemną!
Waćpan przedemną strasznie upadłeś. — Bóg ze mną —
Ja Waćpanu nie mogę nic — prócz łez — ja sama
Cierpię. — Idź Waść — —

ZBIGNIEW.

Litości!

AMELJA.

Prócz łez. — Jaka plama
Dla mojej czystej duszy tak z Waćpanem gadać;
Jak gdybym rozumiała! — Nie chcę o nic badać —
Ja będę wiecznie Boga za ciebie prosiła.
Nie bój się, my niewinni: Bóg cierpienia zsyła,
Ale można spokojność wyprosić u Boga.
Ja pana żegnam wiecznie — ja jestem uboga,
Nie mam co dać mu prócz łez. To ciebie nie splami,
Że schylona nad tobą, obleję cię łzami —
Ty będziesz je pamiętał, te łzy! — Proszę! proszę!
Proszę te łzy pamiętać — i o mnie. — Ja znoszę
Wielkie męki, lecz proszę źle nie myśleć o mnie,
Bo to, co teraz mówię, mówię nieprzytomnie —
Bądź zdrów! —

ZBIGNIEW, chce wstać i mdleje.

Ciemno mi w oczach!

AMELJA

Słyszysz! ktoś nadchodzi.
O wstań! o wstań! — To ojciec nasz — —
(Do wchodzącego Wojewody.)
Niech Pan Dobrodziej
Ratuje — twój syn leży mi u nóg zemdlały.

SCENA IV.

Ciż sami, WOJEWODA, CHMARA.

WOJEWODA, do ludzi za sceną.

Pilnować drzwi i okien. — Jeszcze honor cały —
Mój syn tu był na straży! — (Do Amelji) Czyś ty jego struła?

AMELJA.

Ja?

WOJEWODA.

Ty bez cześci.

AMELJA.

Mężu!

WOJEWODA.

Waćpani tu czuła
Gacha w komnacie; czarów użyłaś na dziecko.
Wszedł i omdlał.

AMELJA.

Co Waćpan mówisz?

WOJEWODA.

O! zdradziecko
Umiesz ty się wykręcać czarna ohydnico!
Panie Chmara! synowi memu pod nos świecą —
Czy żyje?

CHMARA.

Dycha, Panie.

WOJEWODA.

Wynieść do ogrodu.

ZBIGNIEW, przychodząc do zmysłów.

Gdzie jestem? co to znaczy? ojciec! —

WOJEWODA.

Bez wywodu
Panie synu — nie kryj się Waćpan — ja świadomy
Całej rzeczy. — Bogdajby mnie trzasnęły gromy!
Bogdajbyśmy obadwa legli od pioruna —
I ta winna! ta sądna! ta przebiegła kuna!
Ta —! ścierka!

ZBIGNIEW.

Ach! ona mój ojcze niewinna!

Nie — ona jest, jak mówią, kobieta uczynna,
Nic więcej — ona tylko się —

ZBIGNIEW.

Ojcze! na Boga!

WOJEWODA, do Amelji.

Jak mi Waćpani płaczesz? jak cię trzęsie trwoga?
Ha! bo też tu się stanie z nami rzecz okropna. —
Waćpani mi tu byłaś bardzo nieroztropna!
Waćpani prowadziła źle swe ceregiele,
To teraz będą kiry i trumny w kościele —
Przygotuj się Waćpani! bo to sprawa czarta.
O! jaka ty na czole ze wstydu wytarta!
Inna by już mi do nóg padła cała długa
I całowała stopy.

AMELJA.

Ja Waszmości sługa,
Ale jestem niewinną.

(Zbigniew pada do nóg.)

WOJEWODA, po Zbigniewa.

Ty śmiesz prosić za nią?

ZBIGNIEW.

Nie, ja sam jestem —

WOJEWODA, przerywając.

Tak, ty — z twoją matką panią —
Złączyliście się —

ZBIGNIEW.

Ojcze!

WOJEWODA.

Przeciw starca głowie,
Aby ją okryć hańbą! — Niech ci Bóg da zdrowie:
Wybrałeś się tu dobrze z protekcją Wasze.

ZBIGNIEW.

Ojcze! choćbyś miał piorun, to ja go zagaszę
Krwią moją, i sam jeden tę winę odkupię! —

WOJEWODA.

O synu krwi wężowej! — synu! — zimny trupie!
Bez duszy — i ty żadnym gniewem się nie palisz?

Czy twoje młode kości naruszył paraliż?
Czy serce tylko twoje tknięte paraliżem?

ZBIGNIEW.

Ojcze! te słowa dla mnie są boleści krzyżem —
Reszta będzie bez męki. — Syn z pokorą czeka.

WOJEWODA, do Amelji.

Waćpani masz w sypialnym pokoju człowieka.

AMELJA.

Ja —?

WOJEWODA.

Patrzcie na nią teraz! patrzcie jak się chwieje! —
Ona tu wnet omdleje.

AMELJA.

Nie — ja nie omdleję.
O Matko Boska! bądź ty ze mną w tej godzinie!

WOJEWODA.

Przysięgam, że Waćpani gach jak mucha zginie. —
Panie Chmara, poszukać w alkowie!

AMELJA, zatrzymując Chmarę.

Stój Wasze!
Pierwej w tych piersiach srogie utopcie pałasze,
Nim dotkniecie firanek — a ty słuchaj mężu —

WOJEWODA.

W twoim pokoju człowiek jest — kobieto! wężu!

AMELJA.

Zbigniewie! — Nie ma w moim pokoju nikogo!

WOJEWODA.

Da się to widzieć.

ZBIGNIEW.

Ojcze! nim postąpisz nogą,
Pomyśl co robisz — tu się rzecz okropna stanie —
Ja wierzę — i ty musisz wierzyć — o mój Panie!
O mój ojcze! ty wierzysz? nieprawdasz?

WOJEWODA.

Rufianie!!

ZBIGNIEW.

O! mój ojcze!

WOJEWODA.

Dla czegoż ty się z passjonatem
Druczysz — i stoisz tutaj — i jesteś mi katem? —
Dla czego ty jej wierzysz! O gadzino sromu!
Waść by mnie teraz wtrącił do szalonych domu?
A jednak ja mam zmysły wszystkie dobrze zdrowe! —
Panie Chmara! każ ludziom tę straszną alkowę
Zrewidować — tam nie ma okien — nie uciecze —
Tu go Waćpani kozak za włosy wywlecze:
Będzie ssać jego rany i całować w usta,
Położysz się na piersiach — lecz pierś będzie pusta,
Bo ja mu z piersi serce jak oko wyłupię. —
Ja Waćpani pozwolę potem spać przy trupie —
Jeśli nie będzie chciała — przywiążę jak sukę —
Ja dam niewiernym żonom okropną naukę!
Będą o niej pamiętać, aż Polski nie będzie.
Waćpani będziesz słynąć w sławnych ścierek rzędzie —
Mną będą straszyć dziatwę. — Hej, iść pod kotary!
(Ludzie zwołani przez Chmarę chcą iść do alkowy. — Zbigniew staje u wejścia i dobywa szabli.)

ZBIGNIEW.

Ojcze, każ im się cofnąć bo pójdą na mary —
Bo ja tu ich nie puszczę! —

WOJEWODA, sam daje krok wprzód.
(Zbigniew dobywa pistoletu i przykłada sobie do piersi)

On ze mną zaczyna?!

ZBIGNIEW.

Stój ojcze! bo na progu tu wstąpisz w krew syna.

WOJEWODA.

A to djabeł zacięty!

AMELJA.

Zbigniewie! Zbigniewie!
Odsłoń firanki — ja wiem że twój ojciec nie wie
Co ja cierpię — lecz niech się przekona oczyma —
Oczy są jego sercem, on innego nie ma;
Gdyby miał — ulitowałby się tysiąc razy.
(Do Wojewody.)
O Panie! ja niewinna! ja bez żadnej zmazy —
Lecz patrzaj, co ty robisz tu z sercem kobiety! —

Patrz! twój syn do ust kładzie pistolet nabity —
On nie może wytrzymać udręczenia mego,
On się chce zabić, panie! —

WOJEWODA.

A wiesz ty dla czego
Do ust włożył pistolet i za śmiercią dyszał?
Bo tam za sobą szelest człowieka usłyszał!
Bo ja aż tu słyszałem.

AMELJA.

Ten starzec mię łamie!
Zbigniewie! tyś nie słyszał nic? — ten starzec kłamie.

ZBIGNIEW, jakby pasując się z sobą i wpadając w obłąkanie.

Nie, ja nic nie słyszałem — nic — to rzecz skończona.
Tam nikt nie wejdzie. — Piersio Chrystusa, czerwona
Siedmią ranami — tu nikt nie wejdzie — o Boże!

(Idzie ku Amelji.)

Matko! — macocho —

(Cofa się ze wstrętem i znów wraca pod alkowę.)

Ojcze — ja się tu położę
Jak pies — i nikt nie wejdzie. Miej litość nademną,
Ojcze! O! ja omdleję — słabo mi i ciemno —
Ja omdleję drugi raz! — Ta scena mię dręczy!
Ojcze! syn ci na duszę nieśmiertelną ręczy,
Że tam nie ma nikogo — czy ci nie dość na tem —
Ojcze! — O! będzie ze mną tak jak z moim bratem,
Którego ty zabiłeś przed laty niechcący —
Patrzaj — ja cały blady — patrzaj cały drżący —
Ja słabnę — jeszcze chwila a serce mi pęknie —

AMELJA, do Wojewody.

Litości, Panie! — niechaj twa zaciętość zmięknie —
Ja bardzo cierpię! —

WOJEWODA, ponuro.

Chciałbym uwierzyć w Waćpanią.

(Zdejmuje ze ściany krucyfiks.)

Przysięgniesz na krucyfiks?

ZBIGNIEW.

Ja przysięgnę za nią,
Ojcze! co myślisz? kazać przysięgać kobiecie?

Ja sam oto na moje nieśmiertelne życie,
Na tym krzyżu obiedwie położywszy ręce,
Przysięgam! — Usta kobiet są jak niemowlęce —
Ich straszliwemi słowy nie potrzeba mazać —
Mój ojcze! daj krzyż — ludziom już można rozkazać
Aby odeszli. — (Na stronie) Co to i ona się zbliża? —

AMELJA.

Ja przysięgnę.

ZBIGNIEW.

Ty?

AMELJA.

I cóż?

ZBIGNIEW, cicho, do ucha Amelji.

Matko — precz od krzyża! —

AMELJA, kładzie rękę na krucyfiksie.

Na Chrystusowe rany, i na matki duszę,
Na wycierpiane teraz krzyżowe katusze,
Przysięgam, że niewinnie byłam posądzona.
Niech wam tak Bóg odpuści! —

ZBIGNIEW.

Ojcze! rzecz skończona.

WOJEWODA.

Ha?

ZBIGNIEW.

Wszak przysięgła?

WOJEWODA.

Amen.

ZBIGNIEW.

Ojcze! idźmy razem —
Ja sam jestem jak senny!

WOJEWODA.

Chmara! idź z rozkazem,
Niechaj mi tu mularzy przyszle budowniczy.

(Chmara odchodzi.)

ZBIGNIEW.

Cóż to jest?

WOJEWODA.

Król Jegomość tutaj sobie życzy
Kaplicę mieć pod bokiem; więc trzeba mularzy,

ZBIGNIEW.

Ojcze? tobie coś patrzy okropnego z twarzy!

WOJEWODA.

Ja? Mospanie, spokojny. — Na Chrystusa rany
Spokojny jestem starzec. Choćby teraz w tany
Tak mi wesoło, tak mię ta przysięga cieszy! —
Gdyby nie to, że śmierci się kościotrup śpieszy
I już stoi nad głową, śmiałbym się na gardło —
Lecz, Mości Panie, serce już we mnie umarło.
Śmierć się dotknie i kości na proch się rozsypią —
Cyt — cyt — cyt — czy słyszałeś? jakieś bóty skrzypią —
Czemu Waść drżysz?

ZBIGNIEW.

Już późno, ojcze, już poranek —

(Wchodzą mularze i Chmara.)

WOJEWODA.

Zamurować alkowę — nie tykać firanek.

ZBIGNIEW.

Mój ojcze, ta niewiara —

WOJEWODA.

A Waść mojej żonie
Wierz — przysięgła na krzyżu — to ja teraz bronię,
Abyś ją Waść o krzywą nie sądził przysięgę. —
Zamurować! — Na piekieł czerwonych potęgę
Zaklinam się, że nigdy tam nie zajrzą ludzie!
Tam leży tajemnica, tam żeńskiej obłudzie
Jest zamknięta rzecz czarna, dręcząca — tam kara!
Tam po ciemnościach z głodem tłukąca się mara,
Tam letarnik żyjący swego ciała strawą —
Ze szklannemi oczyma, z gębą wyschłą, krwawą,
Gryzący ręce! — Patrzcie jak ten mur podrasta! —
Otóż to z sercem prawie kamiennem niewiasta,
Żona co dba o siebie, o honor kobiecy,
Zabójczyni, zrobiona nagle z nierządnicy!
Synu! Co Wacan myślisz o swojej macosze?

(Podczas tych słów mularze już część wejścia zamurowali. — Amalja, która stała zamyślona, rzuca się nagle do nóg Wojewody.)

AMELJA.

Panie! mój mężu —

WOJEWODA.

Aśćka mi rozkazuj.

AMELJA.

Proszę
Pozwól mi, nim alkowę zamurują —

WOJEWODA.

Aha!

AMELJA.

Ja muszę tam wejść mężu!

WOJEWODA.

Już Aśćka się waha? —
A przysięgłaś!

AMELJA.

Ja muszę tam wejść nim dokończą.

WOJEWODA.

Jak Waćpanią Bóg złączy — ludzie nie rozłączą —
Gotowi zamurować.

ZBIGNIEW, na stronie.

Dzień sądu prawdziwy!

AMELJA, pokazując na alkowę.

Panie tam jest -

WOJEWODA.

Ha! — jest kto? i cóż?

AMELJA.

Tam jest żywy —

ZBIGNIEW, na stronie.

Kto? czy sam król?

AMELJA.

Konterfekt mej nieboszczki matki!

WOJEWODA.

Na Boga ran siedmioro! — wybieg bardzo gładki!
Precz od kolan! a wy tam śpieszniej z tą robotą.
Rozwiedziemy się Pani — tę obrączkę złotą
Odbierzesz cudzołożna żono w konsystorzu!
A teraz mi Acani utoniesz jak w morzu —
Pod klucz serce — nie będziesz mnie więcej hańbiła!

CHMARA.

Panie, mur dokończony.

WOJEWODA.

Zamknięta mogiła.
Na murze krzyż napisać —

ZBIGNIEW, znajduje wachlarz rozłożony, na którym był Mazepa o swojem przyjściu napisał. — Czyta i chowa wachlarz.

O nieba! — co widzę!

WOJEWODA.

Chodź stąd Waćpani, nie płacz — ja z łez próżnych szydzę.
Precz stąd wszyscy — tu będzie królewska kaplica —
A za ołtarzem straszna, trupia tajemnica;
Między tobą, niewierna, a piekłem chowana —
O! straszliwa to ściana! bolesna to ściana!

(Do Chmary.)

A wy — co tam byliście tego mura bliscy
Milczcie. — «Et requiescat in pace!» — I wszyscy
Precz ztąd!

(Wychodzą wszyscy. Wojewoda ostatni żonę za rękę na pół omdlałą wyciąga.)

AKT IV.

SCENA I.

(Pokój ciemny — okno jedne z kratami.)

AMELJA sama, potem CHMARA.

AMELJA.

Z wszystkich nędz — najstraszniejsze ludzkie zapomnienie! —
O jak posępnie błyszczą księżyca promienie!
Już druga noc — jam ani godziny nie spała —

CHMARA, wchodząc z wody dzbankiem i z chlebem.

Czy Pani będzie jadła?

AMELJA.

Nie.

CHMARA.

Pani płakała?

AMELJA.

Nie — — Czy nikt się nie pytał ciebie, Panie Chmara,
Jak ja się mam?

CHMARA.

Nikt, Pani.

AMELJA.

I nikt się nie stara
Za mną? nikt się nie wstawia? — Czy jegomość w zdrowiu?
Powiedz, że tu od tego na dachu ołowiu
Zimno mi — ja mam febrę!

CHMARA.

Czy przysłać doktora?

AMELJA.

O nie! jeszcze nie jestem je śmiertelnie chora,
Tylko mi zimno. Czy tu ksiądz nie przyjdzie do mnie?
Ksiądz spowiednik —

CHMARA.

Pan się dziś rozgniewał ogromnie
Na panicza — godzinę się kłócili z synem.

AMELJA.

Ach!

CHMARA.

Panicz się za księdzem ujął kapucynem,
Lecz bardzo było trudno dojść do ładu z panem —
Wreszcie zezwolił. Oto chleb i woda z dzbanem
Niech się Pani posili — wszystko dobrze będzie.
Przypomniały dziś Panią Panu dwa łabędzie,
Co przypłynęły po żer aż pod okno szklanne —
Pan je chciał spłoszyć —

AMELJA.

Moje łabędzie kochane?

CHMARA.

Pan je chciał spłoszyć, nawet już ze strzelby mierzył,
Ale Pan Zbigniew ręką po lufach uderzył
I nabój poszedł na wiatr. Jegomość już wzdycha;
Wczoraj, ledwo przy stole wziął się do kielicha
Nie mógł dopić — i ryknął jak lew — wstał od stołu
I chciał odbić alkowę — ba — pańskiemu czołu
Coś cięży, coś dolega — wstyd samego siebie —
Ja go znam — on się prędzej pod zamkiem zagrzebie,
Niż przyzna się do żalu — to panisko dumne!

Ja go znam; taki dzieckiem był i pójdzie w trumnę.
Ja go znam — to dotkliwy jest Pan na honorze.

AMELJA.

Panie Chmara! Acana słowo wiele może —
Proś Acan jegomości i nalegaj ne to
Aby zajrzał w alkowę.

CHMARA.

Jużciż, całe lato
Nie przejdzie tak, wypłynie na wierzch tajemnica —
Ale teraz nie można.

AMELJA.

Czemu?

CHMARA.

Tam kaplica
Gdzie był pokój Imości, ołtarz gdzie alkowa.
Królisko się tam ciągle z brewiarzem chowa —
Wpadł w religijny afekt i sprowadził popów
Unitów —

AMELJA.

Panie Chmara, zbierz ty kilku chłopów
Pójdź w nocy — każ rozwalić mur! — Pan się przekona
Że niewinną posądził — że ja wierna żona.
Ty nawet Panu wielką uczynisz przysługę —

CHMARA.

Ale Pani, tam człowiek jest — ja w tę framugę
Zajrzałem — stał tam blady jak trup —

AMELJA.

Matko Boska!
Czy to jest urok jaki? Panno Częstochowska!
Czy jaki zły duch ludziom tym pokazał lice.
Człowieku! ty widziałeś szatana źrenice,
Błyszczące się w ciemności po nad mojem łożem —
Idź precz! idź! — jesteś kłamcą!

(Chmara wychodzi.)

SCENA II.

AMELJA.

O! gdyby tym nożem
Można się przebić i być spokojną i zasnąć!

Nie, nie — nie mam odwagi — ja muszę zagasnąć
Zwolna; wypiwszy do dna, ten kielich goryczy.
Cóż to? słychać po wschodach znów krok tajemniczy?
Ktoś idzie — ksiądz zapewne.

SCENA III.

AMELJA, ZBIGNIEW wchodzi zakapturzony w księdza habicie.

AMELJA, rzucając się ku niemu.

To anioł z obłoków!
Zbigniewie! jam poznała szelest twoich kroków
To ty!

ZBIGNIEW.

Precz! precz! — z daleka odemnie —

AMELJA.

Co słyszę!
To musi być kto inny —

ZBIGNIEW, odsłania twarz.

To ja.

AMELJA.

Gniew kołysze
Twoją wiotką postacią, jak znikomym cieniem. —
I z czemże ty przyszedłeś do mnie?

ZBIGNIEW.

Z potępieniem —

AMELJA.

Za cóż ty mię potępić chcesz? Ty cały drżący!

ZBIGNIEW.

Przyszedłem cię potępić jak umierający,
I przekląć — i przed tobą trupem się położyć,
Lecz pierwej przekląć! —

AMELJA.

Skądże ci mię biedną trwożyć!
Dla czego ty przeklinać mię masz? Wszak ty jeden
Nie masz prawa przeklinać.

ZBIGNIEW.

O! tu mi był Eden —
Oczy twe były dla mnie gwiazdami zbawienia,

Hymnem anielskim, twoje tłumione westchnienia —
Twoje dusza, połową mej duszy weselszą!
Nie mówiłem ci tego pókiś była bielszą;
Teraz ty czarna, ciebie już słowa nie splamią.
Choćbym powiedział: kocham — oczy twoje kłamią,
Serce twoje jest brudne, usta twoje drżące
Zdają mi się tak na mnie oddychać gorące,
Że mi się czoło pali i więdnie. — O matko!
Z daleka stój! — Przyszedłem się na twoją gładką
Twarz zapatrzyć i ludzkiej piękności urągać —
Nie śmiej już po mnie żadnej przysięgi wyciągać,
Bo już nie mógłbym przysiądz żeś nie jest fałszywą;
Chociaż ty mnie przysięgać nauczyłaś krzywo! —
Ja ciebie teraz czegoś nawzajem nauczę —
Chodź tu — powiem na ucho. — Utnij włosy krucze,
I powieś się — lub — słuchaj, zakryj twarz włosami,
Bo się nie płonisz —

AMELJA.

Zbigniew!

ZBIGNIEW.

Ty mię raz już łzami
Oszukałaś — więc oszczędź sobie teraz mdłości —
O! — jak ja tę kobietę kochałem! — Litości!
O jak ja tę kobietę kochałem!!!

AMELJA.

Zbigniewie!

ZBIGNIEW.

Ktoby myślał że ona nic o żądzach nie wie!
Ja sam myślałem — głupi! — Teraz dobrze pomnę
Jakie mi ona nieraz uściski nieskromne,
Jakie gorące usta na czole mi kładła! —
Drżę cały kiedy myślę — i tego widziadła,
Nie mogę teraz wygnać z pamięci — nie mogę!
Śmiała się ze mnie w duchu! — Chodź, dam ci przestrogę:
Nie kochaj się ty nigdy w człowieku cnotliwym,
Bo to jest miłość długa i głupia, i żywym
Nie przystoi — lecz musi być wreszcie wyśmianą.

AMELJA.

Jakżem się ja za niego modliła dziś rano!

ZBIGNIEW.

Ty?

AMELJA.

Czy wiesz ty, co do mnie mówiłeś Zbigniewie?

ZBIGNIEW.

Czy ty go bardzo kochasz?

AMELJA.

Kogo?

ZBIGNIEW.

O! zarzewie
Piekielne! — Ona pyta kto — wiesz! twoj kochany!
Wiesz — o! ten podły! o ten tchórz — zamurowany! —
Czy ty go bardzo kochasz? mów! mów! klnę się duszą,
Że się raczęta twoje w moich rękach skruszą!
Jeśli nie powiesz! — Wyznaj, nie potrzeba szlochać —
Ty zamurowanego musisz bardzo kochać,
Bo ty myślisz że się on poświęcił za ciebie?
Kłamstwo! omdlał ze strachu! — to tchórz! — Jak Bóg w niebie!
To tchórz! — Ze strachu omdleć musiała gadzina —
Ale gdy się obudził, to ciebie przeklina!
To pierś drze, i przeklina; ręce w piersiach broczy —
Ot — i chciałby tę swoją krew ci rzucić w oczy —
Tu! — gdzie te łzy, po czystym migają lazurze —
On cię przeklina, ręce swe krwawi na murze —
Potem je niesie do ust z głodu i krew pije!
Ten człowiek teraz tylko przekleństwami żyje! —

(Zamyśla się.)

Ona go będzie wiecznie kochać umarłego —
To sęk jak wydrzeć marę z pamięci — bez tego —
Zemsta się jak skorpijon własnym jadem chłoszcze!

(Ze smutkiem i skargą.)

Ameljo! o Ameljo! — chodź tu! — ja zazdroszczę
Tamtemu człowiekowi i zawiść mię dręczy! —
Ameljo! — ja jęczałem, jak on teraz jęczy,
Jak on patrzaj — pogryzłem z bólu ręce obie;
Ja mu będę zazdrościł spokojności w grobie!

Tak, jak teraz zazdroszczę męczarni i głodu —
Daj mi ten nóż — to serce chce zimnego lodu.
Obaczysz, jak ja umię kochać, cierpieć, konać —
Daj nóż! — Ja ciebie muszę kobieto przekonać,
Że gdybyś mię kochała, to jabym był godny
Nawet miłości wiecznej!

AMELJA.

Stój! nóż nadto chłodny —
Ja ci go mojem sercem rozdartem ogrzeję!
O jak ten człowiek straszny! serce we mnie mdleje.
Zbigniewie! czy ty pewny że tam był kto taki?

ZBIGNIEW, rzuca jej wachlarz.

Patrz!

AMELJA.

Wachlarz mojej matki.

ZBIGNIEW.

Czytaj! tam są znaki,
Po których ja poznałem że był —

AMELJA.

Chryste Panie! —
Prowadź ty mnie — przed królem uczynię wyznanie,
Prowadź mię — ja niewinna — lecz tam człowiek kona!
Potem umrę ze wstydu i w twoje ramiona
Upadnę skonać. — Ty mię uwierzysz niewinną!
O! przed królem ujrzycie wy mnie teraz inną —
Ja was tam dobrze wszystkich i ciebie przekonam,
Ja wam opowiem wszystko co wiem — potem skonam.
To może wy się przecie zmiękczycie litością!

SCENA IV.

Ciż sami. WOJEWODA.

WOJEWODA.

Waćpani masz przed królem stanąć Jegomościa —
Ze mną! Rzecz się odkryła.

(Wyciąga za sobą żonę.)

ZBIGNIEW.

Bronić ją! niewinną!

(Zrzuca habit księdza i wychodzi.)

SCENA V.

(Pokój jak w trzecim akcie, przemieniony na kaplicę.)

KRÓL stoi na stopniach ołtarza. — Kilku KSIĘŻY. — Potem WOJEWODA, AMELJA, potem ZBIGNIEW.

KRÓL.

A! to święci ojcowie, jakby powieść gminna!
Mury jęczą — trudno tu strachom nie dać wiary
Coś mi się bardzo kręci Wojewoda stary.
Żona jego zniknęła — może tu zamknięta.

(Wojewoda wchodzi z Amelją.)

WOJEWODA.

A ot mi, królu, moja zmartwychwstała

KRÓL.

Lecz tam jęk słychać była, przeniknął mi kości.
A! Panie Wojewoda — gdzie jest syn Waszmości?

WOJEWODA.

Nie wiem?

(Wchodzi Zbigniew.)

A ot i Pan Bóg zesłał mego syna.

KRÓL.

To rzecz dziwna! Ojcowie święci, to kraina
Zaczarowana! — duchy wywołane stają!
Mury te, Wojewodo, dziwne rzeczy tają,
Rozkazujemy zaraz tę ścianę rozwalić! —

WOJEWODA.

Wolałbym miłościwy Panie zamek spalić,
Za mur ten nie zajrzawszy, lecz gdy taka wola —
Panie Chmara rozbić mur! — Panie Chmara hola!
Krzyknij mi tam na ludzi niechaj przyjdą z młoty.
Lecz miłościwy Panie królu, ten skarb złoty
Będzie należyć do mnie — cały skarb cacany,
Bo to skarb przez małżonkę moją pochowany.

KRÓL.

Rozbić mur! —

(Ludzie rozwalają mur; jeden z księży wchodzi do alkowy.)

Cóż tam?

KSIĄDZ.

Jakiś człek bez zmysłów leży.

KRÓL.

Wynieść go tu —

WOJEWODA.

Lecz — królu, on do mnie należy!

SCENA VI.

Ciż sami. MAZEPA wyprowadzony z alkowy przez Księdza.

KRÓL.

Co to znaczy? mój własny paź — to pan Mazepa!

WOJEWODA.

Fortuna mi, widzisz królu, daje ślepa —
Twego pazia za trupa.

KRÓL.

Ocucić go winem.
Na Boga! — Wojewodo! z twoim panem synem
Odpowiecie przed sądem i przed trybunały!

WOJEWODA.

To mi więc, Mości Królu, jest krok nazbyt śmiały
Zabić cudzołożnika?

KRÓL.

Rzecz się ta wyświecci —
Gościnny mi się wcale zdaje dom Waszeci! —
Panie Mazepo — cóż się Waćpanu wydarza?

MAZEPA.

Mości Królu wychodzę z pod tego ołtarza
Jak Lazarus — rzecz całą jak była odsłonię,
A przynajmniej że honor tej Pani obronię,
Która niewinnie męża posądzenie znosi.
Potem paź kogo trzeba pokornie przeprosi,
A komu trzeba — mignie pod oczy żelazem.
Wyprawiony przez ciebie panie mój, z rozkazem;
Wziąwszy w zanadrze listy, groźby i odprawę,
Musiałem tu załatwić honorową sprawę —
W pojedynku zaś owym przez traf oczewisty
Przeciwnik mi otworzył szablą twoje listy,
A ja w otwarte, jak paź ciekawy —

KRÓL.

Mazepo!

Listy te były takie, żem się tu na ślepo
Wrócił do zamku. — Króla chcąc uniknąć twarzy,
Wkradłem się do ogrodu, nie spotkałem straży,
I długo ważąc w myślach owego wieczora,
Kogo by w mojej biedzie wziąść za protektora —
Albowiem mnie to srogie groziło więzienie —
Wpadłem, bo tak nieszczęsne chciało przeznaczenie,
Do pustego pokoju tej Pani. — W tem słyszę
Ktoś nadchodzi — osób dwie — kilka słówek piszę
Na wachlarzu Jejmości, o prezencji własnej,
Potem z trwogi do ciupy tej wpadam niejasnej
I zapuszczam firanki. — Moja dotąd wina!
Z Wojewodzicem była to Wojewodzina.
Jużem chciał łeb wychylić jak ryba z niewoda,
Gdy oto wpada z ludźmi zbrojny Wojewoda!
Krzyczy, grzmi, wietrzy — zwietrzył mię za tą firanką;
Już miałem wyjść i moją szabelką acanką
Drogę sobie otworzyć i wrota kozacze —
Lecz słucham — ona, Panie miłościwy, płacze!
Ona, kiedy mąż wrzeszczy i tupce ciemięga,
Na krzyżu mu najświętszym Chrystusa przysięga,
Że mnie w alkowie nie ma! — Jakże tu wyjść było?
Przysięgła — jam się kurczył i serce mi biło?
Już myślałem że burzę przeczekam bez szwanku —
W tem Wojewoda ludzi zawołał z krużganku.
Przyszli — ja słucham — — włosy mi wstają na głowie,
Każe mię kamieniami zawalić w alkowie! —
Walą głazy — ja słucham — stosują do węgła —
Lecz jakże, było, Królu, wyjść? — Ona przysięgła!
Tej kobiecie by nigdy wtenczas nie wierzono —
Nie wyszedłem. — Lecz jakże drżało moje łono,
Gdy usłyszałem już mur rosnący przedemną.
Zamurowali! — Ciszę uczułem podziemną —
W oczach stanęły różne młodości obrazy,
Wyciągnąłem przed siebie ręce, czuję głazy
Zimne, nieporuszone — zacząłem żałować
Że się tak marnie dałem żywcem zamurować —

I zdjął mię strach — o głodzie pierwsza myśl nadbiegła,
Gdzie zajrzę — ciemność: czego się dotknę, to cegła.
I zdjął mię strach i strach mi był bratem do końca —
Nie wiem wiele tych godzin minęło bez słońca!
Jużem się rezygnował na wszelkie boleści —
W tem słyszę — coś nademną jęczy, i szeleści —
Szukam, przebiegam ręką drżącą czarne ściany —
Znalazłem — — to kanarek był zamurowany
I zdychający z głodu! Te skargi piskłęce,
Trzepiotanie się jego — gdy konał na ręce,
Taką mię zdjęły zgrozą — że padłem bez ducha

KRÓL.

Byłbyś tam Waszeć zamarł jak w bursztynie mucha
Gdyby nie ja. — Nad czemże dumasz Wojewodo?
Nie widzimy aby to było z jaką szkodą
Waścinego honoru, że ten świszczypała
Zmartwychstał.

WOJEWODA.

Co?

KRÓL.

Ta rzecz się przez omyłkę stała.
Paź mówi prawdę, mógłbym pokazać te listy,
A zobaczyłbyś Waćpan że miał zamiar czysty:
Że pragnął owszem honor Waściny ocalić.

WOJEWODA.

Na Boga! — To mnie, Królu, na nic się nie żalić;
Być ukontentowanym — z hańbą zostać wiecznie —
Nie prawdaż?

KRÓL.

Ja tu hańby nie widzę —

WOJEWODA.

To grzecznie!
To miłościwy Panie dowód twojej łaski —
Więc ty hańby nie widzisz? Ja stawiam zatrzaski
Na wilka, a złowiłem wróbla i czyżyka;
Pokój chcę zamurować — i cudzołożnika
Zamurowałem. — Smutny to wypadek Panie!
A teraz niech się ze mną wola Boska stanie:
Ale ja tego pazia już mam i nie puszczę.

KRÓL.

Co? — i ty śmiesz? —

WOJEWODA.

Gdy jeleń wejdzie w moją puszczę —
To, mości Królu, jelen mój — ja dobrze strzelam,
Ja tu was teraz starą męką rozweselam.
Śmiejcie się! — i ty żono śmiej się — pókiś żywa —

KRÓL.

Cóż to za zemsta w starym twarda i straszliwa!

MAZEPA.

Chodzi mi o tę panię — co u Waszej Mości
Nie znajduje obrony, ani też litości. —
Cóż pocznie tu obelgom na zęby wydana? —
Oto miłościwego mi zaklinam Pana,
Aby temu, co powiem, chciał dodać powagi
Królewskiem przyzwoleniem. Oto jest miecz nagi,
Na tym pałaszu honor niewiasty spoczywa
Kto śmie ją lżyć, niech szabli z jaszczura dobywa —
Ja żądam sądu Boga!

KRÓL.

Zezwalamy z żalem.

WOJEWODA, dobywając szabli.

Chodź się bić —

KRÓL.

Ty sam starcze?

WOJEWODA.

Ja będę rywalem
Tego gacha, co broni niewiernicy sprosnej.
A jużby też był Pan Bóg bardzo nielitośny,
Gdybym ja go nie zabił.

ZBIGNIEW.

Ojcze, zdaj to na mnie!
Lecz jeżeli zginę — to wtenczas przynajmniej
Uwierz ty w jej niewinność. — Niechaj żyje błoga,
Krwią ludzką od potwarzy broniona przez Boga.
Przyrzekasz mi — tu Boski cios nie może minąć —
Przyrzekasz mi? —

AMELJA, do Wojewody.

Nie pozwól mu iść — on chce zginąć.

WOJEWODA.

Precz! on zwycięży — a ty! — (Odpycha ją.) No, synu do szabli!
Zbigniewie! — ot mi teraz szepcą jakby djabli,
Że ty się pomścisz za mnie. Czy czujesz to w sobie?
Jeżeli nie, to zostań.

ZBIGNIEW.

Nie myślę o grobie —
To za wcześnie, za wcześnie. Cóż? Panie Mazepo —
Co się tak mamy rąbać i może na ślepo
Przy księżycu, albo li przy pochodni blasku,
Proponuję broń palną. Miejsce, w bliskim lasku —
Czekam na Pana —

MAZEPA.

Chodźmy —

ZBIGNIEW.

Aha! — Mości Panie!
Nim się tu z nami wola Pana Boga stanie:
Jako rycerz osoby, której cześci bronisz,
Warto że się jej kornie do kolan ukłonisz;
Że ciebie i obrończą broń pobłogosławi —

WOJEWODA.

Paź przed nią? —

ZBIGNIEW.

Jeśli winna, to pazia odprawi
Z błogosławieństwem zguby. — Bóg winnym nie sprzyja.

(Mazepa klęka przed Amelją, która stoi nieruchoma.)

WOJEWODA, do Amelji.

Słyszysz! Błogosławieństwo Wać pani zabija —
Błogosław go! — Cóż, martwa jak kamień, daj rękę!

AMELJA, wyrywając rękę Wojewodzie.

Czemu mnie Waćpan ciśniesz! —

(Błogosławiąc Mazepą.)

Na Chrystusa mękę,
Bądź pobłogosławiony. — A tamtem? a drugi?

WOJEWODA.

Tamtego błogosławił ojciec — Hej! niech sługi
Wyjdą w las z pochodniami — poświecić synowi! —

ZBIGNIEW.

Niech nikt nie idzie za mną.

WOJEWODA, do Zbigniewa.

Zamorduj! strach mrowi
Przenika mnie. — Zamorduj! mierz w serce głęboko!

(Zbigniew całuje ojca w rękę i daje znak Mazepie. Wychodzą oba.)

SCENA VII.

(Ciż sami prócz Zbigniewa i Mazepy.)

KRÓL, do Wojewody.

Osłupiał mi coś Waszmość — w ziemię wlepił oko.
Pomyśl, jeszcze czas cofnąć tych szaleńców obu.

WOJEWODA.

Już nie czas — moja krzywda domaga się grobu. —
Już nie czas, Mości Królu! — Wszak tam winny padnie.
A mój syn — ot mi czoło ni trochę nie bladnie;
Mój syn przeciwko mojej cześci nie zawinił.
Niesprawiedliwość by to sam Pan Bóg uczynił,
Gdyby mój syn nie wrócił. — Cyt, proszę o ciszę —
Proszę — o wielką cichość —

(Chwila milczenia, słychać strzał pistoletu.)

KSIĄDZ.

To sąd Boga.

WOJEWODA.

Słyszę. —
To mój syn strzelił — drugi nie strzela. Nie strzeli —
Już mu się czoło śmierci okropnością bieli —
Już serce pękło — leży u stóp mego syna.
Bądź pochwalony Boże! — Twoja to przyczyna
Najświętsza Panno! Ciebie moje serce sławi!
Jakże się nad tym trupem mój syn długo bawi —
To dziwnie — strzał był tylko jeden, mego syna,
A po nim już ogromna ubiegła godzina —
Trup musiał umrzeć. — Czemuż tu nie widać mego —

SCENA VIII.

(Ciż sami. MAZEPA wchodzi z pistoletem w ręku i staje przy królu.)

WOJEWODA.

Gdzie jest mój syn? gdzie syn mój? Gdzie mój syn? Dla czego
Wy tacy bladzi? — W imię przenajświętszej Panny.
Co to jest? — Pokaż piersi mi twoje? —

(Biegnie do Mazepy i rozdziera mu żupan na piersiach.)

Nie ranny!!!
Mój syn zabity! — Chłopiec mój zamordowany!!!

(Wali się u stóp króla twarzą do ziemi.)

KRÓL.

Nie ruszać go — nie mówić nic — bo takie rany
Same się muszą goić — i łzy mają swoje.

WOJEWODA, wstając.

Gdzie moje dziecko! ja chcę widzieć dziecko moje!

(Wychodzi.)

KRÓL.

Iść za nim —

(Jeden z księży wychodzi za Wojewodą.)

SCENA IX.

(Ciż sami, prócz Wojewody.)

KRÓL, do Mazepy.

Czy się wszysto odbyło z honorem —

MAZEPA.

Nie pytaj Najjaśniejszy Panie; on był wzorem
Szlachetności i wdzięku — śmierć miał bardzo smutną.
Zajmij się ty jej losem — patrz — blada jak płutno,
Posąg który się trzyma strętwieniem boleści —
Jej ducha anioł teraz podnosi i pieści —
A ona mu rozpaczy ciszą odpowiada!

KRÓL.

Patrzcie, powraca stary — wraca mara blada —
Nie zatrzymujcie — idzie obłąkany — puśćcie! —

SCENA X.

(Ciż sami. Wojewoda wraca, niosąc w ręku chustę zbroczoną.)

WOJEWODA.

Oto me łzy i syna mego krew na chuście.

AMELJA, z obłąkaniem postępuje ku niemu.

To dla mnie.

WOJEWODA, rzuca jej w twarz chustkę krwawą.

Masz ją w oczy.

AMELJA.

A! — A! —

(Pada na wznak omdlała.)

KRÓL.

To dzień sądny!

WOJEWODA.

Królu! proszę na pogrzeb — a będzie porządny —
A ty mi panie wszakże nie odmówisz, sądzę —
I ten paź także. — U wrót zasunąć wrzeciądze! —
I ten paź także. — Czarną wywiesić chorągiew —
Tokaju z beczek zaraz utoczyć do stągiew —
Będzie stypa —

KRÓL, na stronie.

On widzę mię tu więzi gwałtem.

WOJEWODA.

Dla oszczędności — grzebać będziemy ryczałtem.

AKT V.

SCENA I.

(Sala w zamku.)

WOJEWODA, CHMARA

WOJEWODA.

Czy syn już w trumnie?

CHMARA

W trumnie już panicz spoczywa.

WOJEWODA.

Czy moja żona jeszcze nie umarła?

CHMARA.

Żywa —

Ale już jej nie długo. —

WOJEWODA.

Teraz Panie Chmaro

Cokolwiek się tu stanie z moją głową starą,

Waćpan mię nie opuścisz?

CHMARA.

Przysięgam na krzyżu!

WOJEWODA.

Więc ty widziałeś wojsko kwarciane w pobliżu?

CHMARA.

Jadąc po trumnę, wojsko spotkałem i działa.

Tu szli —

WOJEWODA.

Stąd o dwie mile?

CHMARĄ.

O dwie.

WOJEWODA.

Bogu chwała!

Dosyć mam czasu. — Król chce wyjechać koniecznie —

Ja króla puszczę — lecz paź tu zostanie, wiecznie,

Choćby mi spadł łeb siwy. Idź — czekaj rozkazu!

(Chmara wychodzi.)

Proszę — nie zapłakałem jeszcze ani razu,

Tak mi ta zemsta wszystkie łzy w oczach wypiekła —

Lękam się tylko, by mi już z rąk nie uciekła!

SCENA II.

WOJEWODA, KRÓL, ubrany jak do podróży. MAZEPA — kilku pokojowych królewskich.

KRÓL.

Mój Wojewodo, z naszą by to chęcią było

Nad twojego chłopaka zapłakać mogiłą,

Bo to nam i pancerny tęgi wojak ubył —

Zaprawdę, że to smutna rzecz! on wczoraj tu był,

Śmiał się z nami, rozmawiał, dziś już gdzieś przed Bogiem,
A na nas tu spogląda z litością, i głogiem
Nazywa róże świata. To rzecz jest głęboka,
Kiedy tak nagle młodość nam schodzi z przed oka,
I wynosi swe wszystkie, za ten świat, nadzieje.
Dziwnie, że się i kiedy człowiek głośno śmieje,
Będąc na takim świecie — lecz róż robić z dolą!
Stary mój druhu, jak ci te rany przebolą,
Zapraszamy cię do nas, do stolicy, w gości.
Dalipan że mi smutno rzucać dom Waszmości!
Ale są interesa Rzeczy-pospolitej —
I te mię bardzo naglą.

WOJEWODA.

Pogrzeb nie odbyty,
A ty Panie wyjeżdżasz? —

KRÓL.

Wierzaj Wojewodo,
Że gdyby to nie było z wielką kraju szkodą - -

WOJEWODA.

Ot — na co próżno gadać, Miłościwy Panie,
Ty wyjeżdżasz — lecz syna mego kat zostanie —

KRÓL.

Na Boga! Mości Panie, na co?

WOJEWODA.

By zdał sprawę.

KRÓL.

Cóż to? Czy Waszność sądną chcesz postawić ławę.
A niechże się coś Waszmość na Króla ogląda —
Czy Waszeć męki, czy Waść krwi człowieczej żąda?
Na Boga! — a to może gdy mi pryśniesz w oczy,
I Waćpana się głowa po trumnie potoczy.
Śmiałżebyś tutaj zrobić rokoszową próbę? —
Czy Waść myśli uwięzić królewską osobę?

WOJEWODA.

Król stąd wyruszy — ale bez pazia wyruszy.

KRÓL.

Zobaczymy czy śmiesz nas trzymać? — Waść się puszy?
Ale Waść nie śmie!

WOJEWODA.

Żadnej nie użyję siły;
Ale ci królu drogę zastąpią mogiły.

KRÓL.

Do szabel Mospanowie!

WOJEWODA.

Moja w pochwie leży.
Kazałem zaszpuntować gardła mych mozdzierzy.
Ja się nie oprę siłą — tylko w moim dworze
Nieprzestąpiony jeden próg tobie położę.
Próg dla królewskiej nogi —

KRÓL.

Ba — gadzino dumna! —

(Wojewoda wychodzi do bocznego pokoju i wraca, niosąc na ramionach trumnę syna, którą we drzwiach stawia na poprzek.)

WOJEWODA.

Oto jest, Mości Królu, syna mego trumna!
Oto próg Mości Królu, święty trup człowieka!
Teraz że, Najjaśniejszy Panie, ojciec czeka.
Niechaj twoja ostroga to ciało ubodzie,
Niech będzie każda hańba znaną w moim rodzie —
Daj pazia, lub idź Panie —

KRÓL.

Odsuń tego trupa —

WOJEWODA.

O! teraz dobrze moja zamknięta chałupa? —
Cóż Panie paziu ze mną zostajesz? czy zgoda?
Ja Waćpana dzień jeden chcę mieć. Dzisiaj środa —
W piątek wypuszczę — żywcem wypuszczę — niech zginę.
Lecz cię żywego będę miał — choć przez godzinę —
Na matkę się Najświętszą klnę, że wyjdziesz żywy.
Ja tylko chcę mieć ciebie w rękach —

MAZEPA, na stronie.

O, straszliwy! - -
W ręce mię chce wężowe owinąć jak w bluszcze.

WOJEWODA, do króla.

Przysięgam Panie, że ci go żywcem wypuszczę.

MAZEPA, do króla na boku.

Panie, zostaw mię — jedź. Twoje szyki blisko.

Przyjedziesz tu, działami otoczysz zamczysko,
Mnie się tu nic nie stanie. Król stracisz powagę —
Mam szczęśliwe przeczucie, będę miał odwagę,
Król wrócisz za godzinę —

KRÓL, namyśliwszy się do Wojewody.

O! starcze zacięty
Ja ci pazia zostawiam — lecz za jeden zdjęty
Włosek z niego — za jedną plameczkę na części
Ty mi odpowiesz głową!

WOJEWODA.

W tym domu boleści
Paziowi będzie dobrze —

KRÓL.

Zobaczym się, stary!

(Wojewoda trumnę bierze na ramiona: Król i pokojowce wychodzą.)

SCENA III.

WOJEWODA, MAZEPA, potem Chmara i słudzy w żałobie.

WOJEWODA.

Nie wiem czy do widzenia — tu szerokie mary
Ja może pójdę z synem — tu śmierć ludzi ściga —
O! patrzajcie jak człowiek krzyż Chrystusa dźwiga.
Zmorduje się i gotów powalić się trupem —

(Kładzie trumnę na środku sali.)

MAZEPA, na przodzie sceny sam z sobą gada. — Wojewoda zaś nad trumną stoi i daje rozkazy.

Zostałem się więc teraz królewskim okupem.
Stary zda się że nie dba — ani na mnie patrzy —
Lecz się w nim żółć gotuje strasznie, coraz bladszy —
Coś żuje jakby zemstę żuł —

WOJEWODA.

Hej! Panie Chmara

(Wchodzi Chmara i słudzy.)

Ustawić tu katafalk — trupów będzie para —

MAZEPA.

Zimno mi trochę —

WOJEWODA.

Rzędem postawić gromnice.

MAZEPA.

Wolałbym jaką prędką śmierć jak błyskawicę.

WOJEWODA.

Na drugiej trumnie także przybić moje herby! —

MAZEPA.

To nie dla mnie —

WOJEWODA, do Mazepy, uderzając go po ramieniu.

Mospanie!

MAZEPA.

Co?

WOJEWODA.

Czy liczysz szczerby

Na tym suficie?

MAZEPA.

Patrzę na sufit bez celu —

WOJEWODA.

Stary dom.

MAZEPA.

Jeszcze potrwa.

WOJEWODA.

Dłużej niż nas wielu.

MAZEPA.

Życie jest w ręku Boga.

WOJEWODA.

Waszmość mi pozwoli

Że zostawię samego — jest to dom niedoli —

Ot zostawiam Waćpana z nim.

(Pokazuje na trumnę syna, i do niej mowę obraca.)

A wstańże śpiochu!

Wstańże i baw. — Co, nigdy już? — nigdy! — Garść prochu!

Kilka desek — i wszystko! —

MAZEPA, na stronie.

Biedny stary!

WOJEWODA.

Proszę —

Zostań Waść z tym nudziarzem i baw się potrosze,

Jak można, aż powrócę.

MAZEPA.

Mam suplikę jedną
Do ciebie, Mości Panie —

WOJEWODA.

Co? — masz matkę biedną?
Którą żywisz? — ja dam jej dławiącego chleba
Jak Waść umrzesz —

MAZEPA.

Tu mówić otwarcie potrzeba.
Syn twój, Wielmożny Panie, nim skonał —

WOJEWODA.

Nim? — dalej —

MAZEPA.

Kilka mi prośb ostatnich zdał —

WOJEWODA.

Starcze! oszalej!
Syn go egzekutorem zrobił testamentu! —

MAZEPA.

Nie chcesz więc słuchać Panie, cierpliwie?

WOJEWODA.

Bez wstrętu.

MAZEPA.

Klnę się Bogiem, i śmiercią jak sądzę już bliską,
Że mam czyste zamiary. Te biedne chłopczysko
Polecił mi, bym widział się tu z matką panią.

WOJEWODA.

Ja ci ją przyszlę.

(Wychodzi.)

SCENA IV.

MAZEPA później AMELJA.

MAZEPA.

Boże! o jakże mię ranią
Słowa tego człowieka! — Próżno — cierpieć muszę.
Wartoby też i na śmierć przygotować duszę
I pomodlić się Pannie Najświętszej przy trumnie —

To potem czoło moje będę nosił dumnie
I będzie mi pomocą Przenajświętsza Trójca — —.
(Wchodzi Amelja z rozpuszczonemi włosami biało ubrana.)
Otóż i ona. — Jaka ty blada?

AMELJA, dając mu znak aby się nie przybliżał.
Zabójca!

MAZEPA.
Pozwól mi się przybliżyć — biedna moja Pani!
Nie oddalaj mię ręką — jesteśmi związani
Łańcuchem tajemnicy, jak trzy cienie bratnie —
Ja mam od umarłego zlecenia ostatnie. —
On ciebie kochał, Pani! —

AMELJA.
On!

MAZEPA.
Śmierć jego sama —
(Amelja pokazuje ze zgrozą na Mazepę.)
O nie! na czole mojem krwi nie leży plama —
Jam go nie zabił!
(Amelja postępuje krokiem ku niemu.)
Słuchaj! — Gdyśmy byli w lasku
Brzozowym — przy księżyca ujrzałem go blasku,
Bardzo smutnym i bladym. — Co? serce ci bije?
(Amelja daje znak ręką aby mówił dalej.)
On mi się rzucił pierwszy z uściskiem ną szyję,
I położywszy głowę mi na pierś bijącą,
Milczał długo — i rękę moją trzymał drżącą,
Niestety! w mojej ręce była broń nabita! —
Nagle — strzał usłyszałem! Patrzę — on się chwyta
Rękami za powietrze i ne wznak się wali —
Przybiegam — patrzę; mały sznureczek korali
Zbiegał mu po puklerzu i plamił stokrocie.
Otworzył oczy, całe w księżycowem złocie,
I rzekł — przebacz! ty byłeś rycerzem shańbionej,
Ja ginę z ręki przez nią pobłogosławionej!
Przebaczcie mi i razem pamiętajcie o mnie —
Potem zaczął pacierze mówić nieprzytomnie
I zamknął oczy pełne łez — mówiąc o tobie.
(Amelja zaczyna płakać.)

O płacz! o płacz go Pani! — ten, co leży w grobie,
Godzien jest teraz naszej zobopólnej cześci.
Ameljo! — oto jestem ci bratem boleści! —
Jeśli kiedy, ja biedny na dworze sierota —
Wszak nie masz braci? Jeśli więc biedna istota,
Dworskie pacholę, może być tobie pomocą?
Otom jest na kolanach.

AMELJA. kładąc ręce na głowie klęczącego pazia i nachylając się nad nim.

Niech ci drogę złocą
Matki Boskiej anieli. — Ja umierająca — —

SCENA V.

Ciż sami. WOJEWODA.

WOJEWODA, chwyta za rękę Amelję i odrzuca ją od pazia.

Co? w obec trupa?!

AMELJA.

Niech mię Waszmość nie odtrąca
Ja sama padnę — jestem otruta —

(Chwiejąc się idzie i klęka przy trumnie.)

WOJEWODA.

To dumnie!
A nie kładź się Waćpani tam, na dziecka trumnie,
Bo ją splamisz —

MAZEPA.

Okropność! — Starcze, daj! niech skona —

WOJEWODA.

Co? trupie ty!

SCENA VI.

Ciż sami. CHMARA potem GONIEC od Króla.

CHMARA.

Posłaniec króla —

WOJEWODA.

Śmierci wrona,
Niech wleci — ścierwa tutaj gotowe i świeże!

(Goniec wchodzi.)

GONIEC.

Król Jegomość, spotkawszy kwarciane żołnierze,
Jest przed zamkiem i każe ci otworzyć wrota!
O dworzanina się też upomina.

WOJEWODA.

Złota

Wolność szlachecka! — zamku nie dam. Niech król bierze. —
Co zaś do dworzanina: na szlacheckiej wierze
Król może poledz; pazia mu wypuszczę żywcem.
Ale król będzie dobrym, Mopanku, myśliwcem,
Jeśli go złowi

GONIEC.

Mości Panie, są armaty.

WOJEWODA.

Da się to słyszeć — idź precz!

(Goniec i Chmara odchodzą.)

SCENA VII.

(WOJEWODA, MAZEPA i AMELJA, umarła na trumnie.)

WOJEWODA.

Moje antenaty!
Cieszcie się — ja ostatni nie bez szlachetności
Światowi daję habdank.

MAZEPA, na stronie.

Mróz idzie przez kości —

WOJEWODA, zbliżając się to trupa Amelji

Cóż to? na trumnie! — czy to cudzołożne łoże?
Cóż to? Waćpani milczysz. — Co? ja ci otworzę
Piersi, i tam zobaczę twój strach. — Wstań obłudna!
Waćpaniś mi taka była zawsze czysta, schludna,
A teraz się nie lękasz popiołem powalać —
A wstańże Imość i precz!!

(Zrzuca ją z trumny.)

Jak się można skalać,
Dotknąwszy takiej rzeczy rękami — pfu! zgroza!

(Do Mazepy, który klęczy nad ciałem Amelji)

Słuchaj mię tu urwany wisielcze z powroza!
Ty mi nie tykaj żony —

MAZEPA, wstając.

Starcze wściekły, siwy!
Żałowałem cię, sądząc żeś był nieszczęśliwy —
Teraz pogardzam!

WOJEWODA.

Mówisz paniczu rozumnie —
Poczekaj — pogadamy — usiądę na trumnie —
No — i cóż? —

MAZEPA.

Podłą duszę masz. — Jać się nie boję,
Ha —

WOJEWODA.

MAZEPA.

Mogę na proch strzaskać podłe ręce twoje —
Mogę cię tu otrętwić jak piorun co miga —
Ot — wstań z trumny, bo trup się tam, pod tobą, wzdryga

WOJEWODA.

Trup mego syna! —

MAZEPA.

Syna twego trup się męczy,
On cię nie chce na sobie czuć — on w trumnie jęczy.
Wstań hańbicielu zmarłych i upadnij czołem —
Bo ja tu jestem dla nich mścicielem aniołem! —
Bo ja mam piorun w ustach i przez litość jedno,
Nie rzucam go na twoją głowę siwą, biedną!
Na twoją nędzną głowę —

WOJEWODA.

Waszmość jesteś głupi —
Mówisz, a tu w około słuchają cię trupi;
A waszmość jesteś trzecim.

MAZEPA.

Jam się zdał na Boga —
Lecz Waść mi Wojewodo do nóg, bo wieść sroga —
Bo jak powiem — Waćpana krew zabić gotowa —

WOJEWODA.

Mów —

MAZEPA.

A Waćpan precz z trumny!

WOJEWODA.

Mów! bo twoja głowa —

MAZEPA.

Niechże więc ciebie żółcią zgryzoty napoję.
Ot — kochało się razem do śmierci: tych dwoje!

WOJEWODA, porywając się z trumny.

Łżesz!

MAZEPA.

A ty wstałeś z trumny.

WOJEWODA.

Przenajświętsza Trójco!

MAZEPA.

I twój syn był dla żony twojej — samobójcą!

WOJEWODA.

Mój syn — czekaj! przypomnę czy prawda. — Ohydni! —
(Słychać huk dział: kilka kul wlatuje do sali.)
Idź Waćpan stąd — tu kule latają. — Bezwstydni!
Idź Waść! —

MAZEPA.

Powrócę z królem, Mości Wojewodo! —
Syn twój chce leżeć przy niej —

WOJEWODA.

Precz!

MAZEPA.

Z Waszmości zgodą
Oddalam się, cokolwiek mię czeka za progiem
(Wychodzi. — Słychać że go w korytarzu napadają ludzie zbrojni. — Szczęk krótkiej walki.)

SCENA III.

WOJEWODA, sam.

Biorą go — wiążą. — To mi to zemsta nad wrogiem!
Sznury się w mięso wpiły — koń ciało roztarga —
Zimno mi. — Synu! ojciec Waszmości się szarga
We krwi, a ty się krwawej nie przelęknij mary —
Co to jest? — jak tu ciemno? — Jakie to poczwary
Całujące się głośno w ciemnym korytarzu? —
A wstańże z trumny — wstańże ohydny nędzarzu!

Powiedz że to nieprawda — każ się deskom spaczyć!
Wstań! otwórz ty się trumno! ja gotów przebaczyć,
Jak mi do nóg upadniesz. — Łzy gotowe pociec —
O trumno! ja ci gotów przebaczyć — ja ojciec!
Jeżeli z ciebie wyjdą łzy nad moją nędzą! —
Dosyć oszukiwania, i dosyć żywota!

SCENA IX.

WOJEWODA, CHMARA, później KRÓL na czele zbrojnych.

CHMARA.

Król —

WOJEWODA.

Daj mi kindżał.

CHMARA.

Panie! ukorz się —

WOJEWODA.

Do błota?

(Król wchodzi.)

KRÓL.

Wojewodo! dasz głowę —

WOJEWODA, zabija się.

Ot masz — niech ją zwleką! —
Lecz każ mię od tych trupów pogrzebać — da — le — ko —

(Pada martwy.)

Drukiem F. A. Brockhausa w Lipsku.

WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA w KIELCACH
BIBLIOTEKA
114427
L-F